

NRLF-1
MAIN





BIBLIOTEKA
DZIEŁ WYBOROWYCH

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH
Wydawnictwo tygodniowe

**Redaktor i Wydawca
Feliks Gadomski**

Rok II. Tom XL

(Ogólnego zbioru serja II, tom LIII)

1925 r.

Cena tomu w prenumeracie:
w oprawie płóc. zł. 1.39
bez oprawy zł. 1.00

Cena tomu poza prenumeratą:
w oprawie płóc. zł. 2.20
bez oprawy zł. 1.80

**Redakcja i Administracja
Warszawa, Sienkiewicza 12**

ANTONI FERDYNAND OSSENDOWSKI

ORLICA

POWIEŚĆ

Z ŻYCIA GÓRALI WYSOKIEGO ATLASU

*Leopold Benedikt Ossendowski
L.B.O.*

PRINTED IN POLAND

Wydawnictwo Biblioteki Dzieł Wyborowych
Warszawa, Sienkiewicza 12

**POLISH BOOK IMP. CO., INC.
38 UNION SQ., NEW YORK, N.Y.**



Warszawskie Zakłady Graficzne i Wydawnicze, Sp. z O. O.
Warszawa, Nowy-Zjazd 1. Tel. 410-67.

OD AUTORA

W tym roku wydaję obszerny opis swej ostatniej podróży po Afryce Północnej. Ująłem ją w dwóch tomach, gdzie opowiadam o swych obserwacjach, badaniach i studiach, przytaczam mało znane w Europie fakta z historji tej części czarnego kontynentu, w celach poznania miejscowego folkloru przytaczam szereg legend, opisów z dziedziny przesądów, kultów magicznych i pogańskich, pozostałych po Fenicjanach, Kartagińczykach, Grekach, Rzymianach i pierwszych Arabach, przybywających tu z Azji, ukazując na zakończenie duszę muzułmanina północno-afrykańskiego i ideologię Islamu.

Długie i wyczerpujące studja, poprzedzające moją podróż, oraz badania, na miejscu dokonane, pozwalają mi mniemać, iż w zakresie interesujących mnie zjawisk, — kraj ten i jego ludność znam.

W obecnej powieści na tle prawdziwego dramatu, dramatu, który istotnie miał miejsce, w formie romantycznej pragnąłem pokazać życie górskich szczepów z Wysokiego Atlasu, a więc szczepów Suss, Szleu, Draa, Abda i innych.

Ludzie tych plemion z powodu swego pochodzenia dość tajemniczego, a w każdym razie bardzo mieszanego, z powodu dawnych wojskowo-zbójeczych tradycji i niektórych cech swego charakteru, wreszcie z powodu pewnego załamania się w obowiązujących przepisach Islamu, zasługują na uwagę pisarza, gdyż życie ich, ich dusza i odruchy są nadbarwne, malownicze i nieraz niespodziewane.

Nie znaczy to bynajmniej, że pisarz chce w tym wypadku fantazjować! Autor snuje opowieść romantyczną na tle rzeczywistych wypadków, pośród odmalowanych z natury psychologii, dekoracji i typów.

Dowody tego realizmu znaleźć można w dziełach francuskich uczonych: A. Servier, H. Basset, A. Certeux, E. Doutté i najlepszego znanego Berberów-górali, — francuskiego pisarza Maurycego Le-Glay'a, którego utwory autor gorąco poleca uwadze swoich czytelników.

AUTOR.

Zakopane, willa „Konradówka”,
Sierpień—1925.

ROZDZIAŁ I

Na starej drodze karawanowej.

Pomiędzy Tarudantem a hiszpańską kolonią Sidi Ifni istnieje stara droga karawanowa. Przechodzi ona wązkiem dolinami, przecinającymi ostatnie uskoki dwóch grzbietów — od południa Anti-Atlasu, od północy — Wysokiego Atlasu. Droga ta niegdyś była bardzo uczęszczana przez kupców, ponieważ temi dolinami przedzierali się oni ze swoimi wielbłądami z Mahrebu *) na brzeg Atlantyku i dążyli dalej na południe — do Senegalu po kość słoniową, po towary podzwrotnikowe i po czarne, niby z hebanu rzeźbione, rosłe i płomienne niewolnice, o spiżowych piersiach, białych zębach i oczach o złocistym, namiętnym połysku. Od pięciu lat karawany nie suną już tą drogą, gdyż wytknięto inne szlaki, — krótsze i dogodniejsze.

Pewnej nocy starą drogą karawanową posuwał się mały oddział konny. Byli to jeźdźcy ze szczezu Szleu. Można było ich poznać od razu z orlich nosów, szlachetnych rycerskich rysów twarzy i postaw, a także z długich włosów, zwisających kosmykami z pod białych zawojów.

*) Mahreb — arabska nazwa Marokka.

Jeźdżcy mieli piękne konie górskie o cudnych, kościstych głowach i cienkich, śmigłych nogach, a byli dobrze uzbrojeni w długie skałkowe karabiny, ozdobione srebrem i perłową masą, prochownice z cyzelowanej miedzi, haftowane, skórzane sakwy „czakras” z pełnym ładunkiem kul i za pasami krzywe „kumia” obosieczne, do sierpów podobne handżary.

Oddział posuwał się szybko naprzód, i białe lekkie burnusy, jak skrzydła drapieżnych ptaków, miotały się nad pochylonymi do końskich karków jeźdźcami.

Gdy droga wcisnęła się w głęboki wąwoz, wcinający się w spadki Dżebel Orak, jeźdżcy wstrzymali konie, zeskoczyli z siodeł i, zwróciwszy rumaki pyskami ku wyjściu z wąwozu, wydali krótki, chrapliwy krzyk. Wierzchowce, nawykłe do głosów swych panów, wspinają się na zadnie nogi i, jak strzały, wypuszczane z łuku, pomknęły przebytą już drogą do domu.

Jeźdżcy tymczasem obejrzały miejscowości i ukryły się za kupami zwałów skalnych i w wyrwach z obydwu stron drogi.

W wąwozie zaległa i zaczaiła się cisza. Najbardziej czujny człowiek nie zauważałby obecności ośmiu uzbrojonych ludzi, czyhających za skałami.

— Ras ben Hoggar! — rozległo się ciche wołanie z poza kamieni.

— Co powiesz, Ahmedzie! — odpowiedział jeden z zaczajonych Szleu.

— Czy dobrze wybraliśmy miejsce na zasadzkę?

— Lepszego nie znajdziemy na całej drodze! — odparł Ras i zapytał: — Czy wygodne macie do strzału kryjówki, towarzysze?

— Zupełnie dobre! — odpowiedzieli inni. — Widzimy z nich drogę aż do zakrętu nad potokiem.

— Niebezpieczne nasze przedsięwzięcie.. — rozległ się niepewny głos Ahmeda.

— Nie mówiłem tobie, Ahmedzie, że jest ono bezpieczniejsze od odwiedzenia kawiarni lub strzału do zająca, — odparł Ras. — Jeżeli jednak boisz się, to lepiej zmykaj póki czas!

— Nie boję się. — zaprotestował Ahmed, — ale nic chcę popaść w ręce wielkiego kaida Glau, który z ramienia sułtana i Francuzów rządzi górami i przysięgał, że nawet kobieta i dziecko mogą bezpiecznie przechodzić drogami górskaimi. W szlachetnym roku, gdy około Amizmis górale Suss napadli na jakiegoś kupca, kaid schwytał ich, kazał ściąć i głowy ich wywiesić na murach swej stolicy w Tarudant.

— To inna rzecz! — zaśmiała się któryś ze Szleu. — Tu napadniemy na karawanę hiszpańską. Dąży ona bez przepustki wielkiego kaida i bez eskorty jego spahisów. Nikt się o losie tej karawany nie dowie, chyba po roku, albo po dwu, gdy szakale i hieny zatrą resztki śladów. Bądź dobrzej myśli, Ahmedzie!

Znowu zapanowała cisza i przez wąwoz przemykał się tylko lekki wietrzyk, szeleszcząc w zaroślach suchych tamaryndów i aloesów.

Ras ben Hoggar, trzydziestoletni silny i zwinny człowiek, siedział w pierwszej kryjówce, kierując całą wyprawą. On to miał podać sygnał do napadu, wypuszczając pierwszą kulę. Ras wyciągnął się wygodnie pośród kamieni, swój karabin, oparty na skale, skierował na drogę, czekał i myślał.

Dusza jego błąkała się w tej chwili w rodzinnych górach około kasby, — wielkiego warownego gmachu, z grubymi murami, wieżycami i potężną bramą; w kasbie mieściła się cała wieś, gdzie dom stał przy domie, gdzie przez wszystkie mury prze-

chodziło szerokie, ciemne przejście, łącząc wszystkie budynki w jedną całość, przypominającą ul z labiryntem woskowych komórek. Góral widział swój dom, a w nim Czar Aziza, najpiękniejszą z kobiet w całej okolicy. Pojął ją za żonę dopiero dwa lata temu, a był szczęśliwy, jak tylko może być szczęśliwy człowiek, którego kocha góralka Szleu.

Ras uśmiechał się do żony, gdyż widział ją wiotką i zgrabną, jak sarna, szybko idącą z dzbanem na ramieniu do źródła po wodę. Szła, prawie nie dotykając sprężystymi nogami różowej ziemi, lekko się kołysząc w wązkich, silnych biodrach. Dumnie niosła wysoką wybujałą pierś i piękną głowę o oczach, jak gwiazdy, i ustach, podobnych do płatków czerwonego oleandru.

Ras kochał i był kochany. Gdy myślał o pieczotach Czar Aziza, dreszcz biegł mu po grzbicie i po stawach. Zaczął nadsłuchiwać, gdyż wydało mu się, że dolatuje go głos żony, śpiewającej starą piosenkę góralską.

— Czy uda się nam dziś? — zapytał cichym głosem siedzący obok niego Ahmed.

Ras drgnął i odpowiedział:

— In Cza Allah! Jak zechce Allah!

Tymczasem do mroku nocy wlewać się zaczęły niewidzialne potoki szarych cieniów, później białawych, spływających z gór. Zachichotała gdzieś zupełnie blisko błakająca się w górach hiena, zaszlochała para szakali, gwizdnęły budzące się ptaszki, a z ich ostatnim piskiem wierzchołki gór różowieć zaczęły.

Świtało ...

Upłynęła jeszcze godzina i wąwozem przemknął szakal, trwożnie się oglądając. Wtedy Ras podniósł się, obejrzał karabin, podsypał prochu na panewkę, umocował się na kolanach i cicho zakwilił, jak

jastrząb. Głuchy szczęknęły w wąwozie odwiedzone kurki karabinów.

W pół godziny później w końcu wąwozu za- czerniły się jakieś postacie.

Bystre oczy Rasa dostrzegły obładowane wiel- błądy. Szły po dwa i po trzy w rząd, wyciągając się po woli na wąskiej drodze w długi sznur. Z tyłu jechało kilku jeźdźców.

Ras przepuścił wielbłądy, a gdy przed skałą, gdzie się czaił, zjawiła się gromadka jeźdźców, wy- strzelili. Zawtórowały mu karabiny towarzyszy. Dwuch jeźdźców spadło z koni, reszta zwróciła i zaczęła umykać.

Karawana dostała się w ręce Szleu.

Wybiegli więc wszyscy ze swych kryjówek na drogę i zaczęli łapać wielbłądy, rozwiązywać wory i paki, przeglądając zdobycz. Byli tak pochłonięci pracą, że nie od razu mogli zrozumieć, co się stało, gdy rozległy się nowe strzały, po których Ahmed i dwóch innych górali upadło i zaczęło kopać ziemię nogami.

Ras obejrzał się i ujrzał kilkunastu jeźdźców, szybko mknących drogą i wymachujących karabinami.

Nie namyślając się ani chwili, góral porwał swoją strzelbę i jał, jak żbik, wspinać się na skały, kryjąc się wśród nich i czając, obsypywany kulami eskorty, broniącej karawany. Widział, jak jeden po drugim padali jego towarzysze, rozpraszający się w różne strony, niby stadko spłoszonych myszy.

Ras dotarł nareszcie szczytu gór i tu się zaczał. Słuchał długo i baczenie, lecz pościgu nie było. Wytknął głowę z poza skał, zobaczył ogon karawany, wychodzącej już na obszerną płaszczyznę za wąwozem. Na drodze zaś Ras nie dojrzał ciał zabi-tych towarzyszy.

— Zabrali ich ze sobą... — domyślił się góral. — Źle! Teraz dowiedzą się, która kasba dokonała napadu. Nie mogę powracać do domu, bo utnie mi wielki kaid głowę. Nie chciał Allah dopomóc przedsięwzięciu Rasa!

Jakieś złe i ciężkie przeczucia ścisnęły serce górala.

Ześlizgnął się z gór na drogę, gdzie padli jego towarzysze. Znalazł tu kałuże krwi i ślad ciał, wlewanych po piasku.

— Zabrali zabitych, czy rannych ze sobą przekleići kupcy! — zamruczał Ras ben Hoggar i głęboko się zamyślił.

Cały dzień spędził wśród skał przy małym źródleku, które z trudnością odnalazł.

Ras był doświadczonym myśliwym, oddawną wałęsającym się po górach Atlasu o głodzie i chłodzie, więc umiał sobie radzić. Wynalazł kilka sterczących z ziemi gołych łodyg „kemji” *) i zaczął je wyciągać. Roślina ta posiadała długie i grube korzenie, którymi szukała dla siebie wody na wielkiej głębokości pod ziemią, jak prawdziwa mieszkanka pustyni.

W ten sposób Ras zaopatrył się w paliwo, poczem przygotował sobie strawę, miał bowiem w swojej sakwie kawę, kociołek i duży placek „keseras”, upieczonego rękoma Czar Aziza. Przespał się do wieczora, a po modlitwie, o zachodzie słońca, ruszył ku domowi. Szedł lekkim, sprężystym krokiem, nawykłym do szybkiego chodzenia, szedł aż do wschodu słońca; po modlitwie porannej przebrnął rzekę Suss i zapadł w góry. Tu się zaczał około źródła, płynącego w pobliżu jakiejś wioski. Narwał sobie dojrzałych oliwek i parę granatowych owoców,

*) Arabska nazwa rośliny górskiej.

napełnił kociołek wodą i włazł w gęste zarośla fig berberyjskich. Musiał przeczekać dzień, aby po nocy przekraść się do swojej kasby. Wiedział, że w nocy, gdy bramę zamknie wiejski kadi, *) stary Ahmed el Azuin do kasby nikt się już nie dostanie, gdyż, podług prawa, do wschodu słońca wejście i wyjście były surowo zakazane.

Ras postanowił więc wyszedł i rozmówić się z żoną, gdy ona pojedzie rano do studni po wodę.

Tak też uczynił. Dzień cały przespał, całą noc znowu szedł i gdy ujrzał nareszcie na jasnym niebie ciemne kontury wieżyc i murów kasby, przesłizgnął się przez gaje oliwne ku małemu białemu budynkowi o półokrągłej kopule i zębatach ścianach. Była to kubba — grobowiec świętego człowieka Sidi Ali el Slimana, który żył niegdyś w kasbie i był kadim przed wiekami. Obok kubby mieściła się głęboka studnia z czystą i cudotwórczą wodą, którą codziennie nabierała w dwa wielkie dzbany gospodarna Czar Aziza dla domu.

Wkrótce potem, jak zamilkły nawoływanie starego muezzina do modlitwy porannej, z kasby wyszedł tłum kobiet i skierował się ku studni. Zdaleka już Ras rozpoznał swoją żonę. Była najzgrabniejsza, szła najbliższym krokiem i była najpiękniejsza.

— Czar Aziza! Umiłowana na całe życie! — szepnął Ras, czując jak serce mu zaczęło gwałtownie kołatać w piersi.

Wkrótce kobiety przeszły blisko od zaczajonego Rasa, a wtedy on dojrzał pochmurne, strwożone oczy Aziza i jej piękną, bladą twarz. Niosła tylko jeden dzban.

— Drugi pewno stulkła — domyślił się Szleu.

*) Kadi — wójt i sędzia.

Gdy kobiety, nagadawszy się dosyta przy studni, szły z powrotem, Ras zauważył, że Aziza szła na ostatku i bacznie rozglądała się dokoła, trzymając dzban na lewem ramieniu.

Ras gwizdnął zcicha. Kobieta drgnęła i obejrzała się w jego stronę, po chwili, założywszy wolną rękę za siebie, uczyniła jakiś znak.

Ras uśmiechnął się radośnie.

— Mądra i przebiegła, jak orlica — szepnął namiętnie; wiedział teraz, że zobaczy się z żoną.

Istotnie, w porze obiadowej, gdy wszyscy siedzieli w swoich domach w otoczeniu rodziny, Aziza, kluczając po gajach i ogrodach, przyszła do niego.

— Bądź pozwłony, panie mój i mężu! — zawała z wybuchem, rzucając się mu w objęcia i mrużąc swoje promienne oczy pod jego namiętnymi pocałunkami. — Już wiem o wszystkiem! Dziś po spytkach umarł ostatni z twoich towarzyszy Hadż ben Abmar, wyznawszy wszystko przed wielkim kaidem. Wiedziałam, że ty nie zginiesz, bo jesteś śmiały, jak „sid,” *) i chytry, jak lis. Wiedziałam, że przyjdziesz i czekałam na ciebie, Ras! Nie możesz jednak powracać do kasby! Kadi dostał rozkaz schwytać ciebie i odstawić na sąd do Tarandtu. Uciekaj! Przyniosłam ci kika keseras, kawał mięsa i cebuli. Uciekaj jak najprędzej i pamiętaj, że będę czekała na ciebie, chociażby do starości! Bywaj zdrów — niech Allah prowadzi ciebie szczęśliwie! Gdy zapomną ludzie o wypadku, a ty znajdziesz bezpieczne schronisko dla nas obojga, przybędziesz tu i zabierzesz stąd swoją Aziza, swoją żonę i niewolnicę, cień twoego ciała i cień twojej duszy. Idź już w imię Allaha!

*) lew.

Nastąpiło krótkie pożegnanie. Rasowi Izy ścisnęła gardło, gdy odchodząca Aziza rzuciła nań ostatnie spojrzenie. Smutek niezgłębiony i rozpacz dojrzał mężczyznę w pięknych oczach ukochanej. Jednak nie było czasu do namysłu. Czając się w krzakach, przypadając za kamieniami, dążył w góry, jeszcze nie wiedząc, dokąd pojedzie i jakie będą ich losy.

Wkrótce już góral drapał się na strome spadki, porosłe gęstym lasem „adrar” *) i krzakami oleandrów. Gdy podniósł głowę, ujrzał szczyty Atlasu. Połykowiwały i lśniły się bielą śniegów i wołały go do siebie głosem niezamoconej ciszy i wielkiego spokoju.

*) arabska nazwa drzewa tuji.

ROZDZIAŁ II

Włóczęga.

Ras dopiero przed wieczorem zatrzymał się w głębokiej kotlinie górskiej. Zbiegały tu zewsząd zbocza głównego grzbietu Atlasu, od dołu porośnięte krzakami i drzewami, wyżej — wysoką i soczystą trawą, a jeszcze wyżej — połyskujące barwnemi skałami, uwieńczonemi turbanem ze skrzących się lodowców.

Ras spędził noc przy małem ognisku, rozpalonem między skałami. Słyszał nieraz, budząc się co chwila, jakieś głosy niewyraźne i chrąplawe.

— Muflony! — domyślił się Szleu. — Jutro zapoluję na nie...

Gdy tak myślał, czujnem uchem zaczął łowić jeszcze inne dalekie odgłosy.

Dolatywały one zrzadka, lecz stawały się coraz wyraźniejsze.

Było to głucho, ponure miauczenie, przerywane niby głośnemi westchnieniami.

Ras podniósł głowę i nadśluchiwał czujnie, zrozumiał bowiem, że niebezpieczny sąsiad krąży dokoła jego kryjówki.

Miauczenie i coraz głośniejsze westchnienia zbliżały się szybko, lecz wkrótce umilkły. Wtedy

Ras wyraźnie poczuł, że ktoś groźny i gotowy do napadu przygląda się mu, nie spuszczając z niego żrenic.

Szleu porwał za karabin, a potem cisnął do ognia kupkę suchej trawy i gałęzi. Ogień z trzaskiem i sykiem buchnął wyżej, a jego czerwone cienie pobiegły daleko i drgać poczęły na pogranżonych w ciemności skałach. Ras usłyszał wtedy miękki bieg zwierza, szmer toczących się z gór kamyków i — wkrótce zapanowała cisza.

— Czyżby pantera miała tu swe legowisko, a jam tu właził nieproszony, niby do zajazdu w sąsiedniej wiosce? — pomyślał człowiek, zawijając się w swój burnus i kładąc się przy ognisku.

Tak spędził swoją pierwszą noc włóczęgi Ras ben Hoggar, mieszkaniec kazby z Ued Tafdiif i najlepszy strzelec z całej okolicy.

Przed świtem Ras zalał wodą ognisko i wyruszył na polowanie. Pamiętał kierunek, skąd dochodziły go głosy muflonów i skierował się w góry, idąc łożyskiem małego potoku, płynącego z pod śniegu, biejącego na szczytach grzbietu. Minął pasmo lasów i krzaków i wyszedł na spadki, pokryte wysoką trawą i drobnymi krzaczkami kwitnącymi różaneczników. Góral szybko przecinał piękne łąki szmaragdowej trawy, z bukietami barwnych kwiatów i szemrzącymi strumykami, i ostrożnie się rozglądał. Nareszcie dojrzał stadko muflonów. Potężny, stary samiec o wspaniałych rogach, niby wykutych z ciemnego kamienia, stał na czatach, samki i młódź pasły się dokoła, spokojnie skubiąc trawę.

Ras zaczął się skradać, przypadając do ziemi i czołgając się od kamienia do kamienia, od łogu do łogu.

Muflon zwęszył jednak zbliżającego się myśliwego, a może jakiś kamyk, obsuwając się z pod ko-

ian Rasa, zdradził jego obecność. Baran wydał krótki, trwożny ryk i po chwili całe stado pędziło już w szalonym biegu w góry, przesadzając wysokie zwały kamieni i szerokie szczeliny.

Ras ścigał muflony i znowu podszedł je. Udało mu się podkraść o jakieś pięćdziesiąt kroków do najbliższych zwierząt. Wymierzył starannie i chciał już strzelić, gdy stado w największym popłochu zaczęło uciekać, mknąć wprost na Rasa.

Myśliwy strzelił, i jeden z młodych samców potoczył się na dół, porywając ze sobą większe kamienie i zsuwające się lawiny drobnych odłamków i piasku. Nagle pomiędzy skałami mignęło coś żółtej skórą w czarne plamy.

Była to pantera. Ras, nie namyślając się, spieszyl się z nabiciem swojej strzelby, aby być przygotowanym do możliwego ataku drapieżnika.

Panterą tymczasem zniknęła Rasowi z oczu. Rozglądał się, naprzóźno szukając jej dokoła. Myśliwy sądził, że drapieżnik uciekł, spostrzegłszy człowieka, poszedł więc w tę stronę, gdzie stoczył się na dno wąwozu postrzelony przez niego muflon; ślizgał się stromym spadkiem góry, skakał przez szczeliny, jak koziół skalny, i zbiegał coraz niżej i niżej.

Nagle zatrzymał się, jak wryty, bo usłyszał tuż przed sobą głucho mruczenie, a w chwilę później ryk. Ras ledwie zdążył podnieść do ramienia karabin i strzelić, gdy pantera, zaczajona za odłamkiem szaro-żółtej skały, zrobiła szalony skok. Kula ugodała bestię już w locie. Upadła i jała potwornemi pazurami szarpać darninę, rozrzucając dokoła ziemię, trawę i drobne kamienie. Ras jednak nie zdążył jeszcze nanowo nabić swej strzelby, gdy pantera oprzytomniała, zebrała pod siebie łapy i, płaszcząc się na ziemi, przygotowała się do skoku. Szleu odrzucił nienabyty karabin i porwał za swój krzywy

nóż. W tej chwili pantera runęła na człowieka. Rozpoczęła się walka na śmierć i życie. Zwinny Ras wymykał się panterze, rażąc ją nożem. Drapieżnik obficie broczył krwią, lecz ataku nie przerywał, usiłując wskoczyć na piersi lub na grzbiet myśliwemu.

Widząc, że pantera słabnie, Ras przyjął wreszcie atak; gdy łapy drapieżnika dotknęły jego ciała, schylił się i, wbiwszy krzywe ostrze „kumia”, wyprostował się, pociągając nóż do góry. Pantera z rozwalonym brzuchem i wypadającymi wnętrznościami, runęła, jak rażona piorunem, lecz zdążyła zadać ostatni cios wrogowi. Od tego ciosu wszystko zakołowało przed oczami Rasa, wszystko się pokryło czarną mgłą. Myśliwemu zapadła się pod nogami ziemia, i potoczył się na dół, nieprzytomny, złany krwią.

Widocznie Allah gniewem okiem spoglądał na Rasa, gdyż spotykał go zawód po zawodzie...

Słońce zakończyło swój obieg dzienny i znikło za górkami szczytami na zachodzie, długie cienie zaczęły się ciągnąć przez łąki ku wąwozom i wylewać się do nich ciemnymi potokami, napełniając je mrokiem i wilgocią. Leżący na dnie głębokiego jaru Ras, dopiero wtedy po raz pierwszy dźwignął się z zalanej krwią trawy. Dźwignął się i znowu upadł na wznak, blady i wyczerpany. Wkrótce jednak uczynił nowy wysiłek, jęknął cicho i usiadł. Jał macać drżącemi dłońmi głowę, boki, nogi i piers. Drgnął, ujrzał straszliwą ranę na piersi. Skóra i mięśnie były zerwane potężnym uderzeniem pazurów i wisiały, jak czerwone strzępy lachmanów, zupełnie podobne do przesiąkniętych krwią skrawków poszarpanego burnusa.

Rana piekła i dotkliwie bolała, przy najmniejszym ruchu powodując omdlenie. Silny Ras, walcząc ze słabością, czołgał się dnem wąwozu, szukając wody. Już nocna mgła pełzła z gór na dno

wąwozów, przepaści i jarów, gdy ranny doczołał się do potoku, wartko biegnącego śród kamieni. Ras, omdlewając z bólu i gorączki, obmył rany, zanurzył rozpaloną głowę do wody, napił się i znowu padł na wznak, ciężko oddychając.

Zemdlał, lecz omdlenie wkrótce przeszło w sen, niespokojny, gorączkowy sen. Gorączka zmieniała się w dreszcze, wstrząsając całym ciałem rannego. Straszne sny i widziadła dręczyły górala. Ras miotał się, krzyczał i jęczał. Coraz częściej widział przed sobą piękną, bladą twarz Czar Aziza. Schylała się nad nim i skarżyła się, że ktoś krzywdzi ją, nastaje na jej życie, prześladuje i gnębi. Widzenia te były tak żywe, że Ras zerwał się i pobiegł, krzycząc:

— Idę, idę, Aziza, obronię ciebie, zemszczę się!...

Próżno szukał dokoła siebie karabinu i noża.

Klął i szukał, aż nagle błysnęło mu wspomnienie o walce z panterą, gdy to odrzucił od siebie karabin, a swoją wierną „kumia” zostawił w ciele zabitego zwierza.

— Czekaj Aziza, czekaj, piękna, umiłowana Czar! Obronię cię gołymi rękoma, zębami przegryzę gardziele tym, co krzywdzą ciebie, moją żonę!

Nic nie widząc i nic nie zeznając, biegł, padał, lecz znowu się podnosił i biegł dalej. Nareszcie potknął się o kamień i zaczął się staczać coraz niżej i niżej, uderzając się głową o kamienie i dрапiąc sobie twarz i ręce o gałęzie krzaków.

Zemdlał...

Noc minęła, wyjrzało słońce i stało już wysoko, lecz Ras wciąż leżał nieruchomo, do trupa podobny, biejąc w trawie poplamionym krwią burnusem.

Gdy słońce zaczęło przypiekać straszliwie, Ras poruszył się kilka razy i usiadł, podtrzymując rękoma pękającą z bólu głowę.

— Umrę... — jęknał — Umrę i nigdy już nie nasycę oczu swoich pięknością Aziza! Nigdy nie wyjdę z tego wąwozu...

Ranny zaczął się oglądać i nie mógł zrozumieć, w jaki sposób dostał się tu na drogę, ponieważ nie pamiętała, że biegł dnem wąwozu, aż upadł i stoczył się z pochyłych spadków do podnóża gór, gdzie przechodziła droga, którą wożono zwykle drzewo i węgiel z Atlasu.

Podnieść się jednak Ras nie mógł; słaby był i przed oczami latały mu zielone i czerwone płatki.

Zaczął więc czołgać się na brzuchu i kolanach od strumyka, gdzie trochę oprzytomniał. Siły zwolna mu powracały.

— Odpocznę i ruszę do domu..., Niech mnie sądzą i stracą, lecz muszę ujrzeć żonę i być pogrzebany, jak prawdziwy mumen...*)

Nie miał jednak sił, aby się podnieść i iść, mógł tylko czołgać się, pełznąc, jęcząc i omdlewając z bólu i zmęczenia.

Pełznał więc w stronę szczytu Sahridż, od którego zaczynała się właściwa droga do jego wsi. Przeczołgawszy się około stu kroków, zemdlał z wyčerpania.

Obudził się od przyjemnego zimna i nagle ustającego bólu. Ujrzał nad sobą jakiegoś starszego człowieka w białym zawoju na głowie. Człowiek ten przemywał mu rany na głowie i piersi i przykładał jakieś ziółka, które wyjmował ze skórzanego woreczka, wiszącego na pasie. Obok stał osiołek z dwiema torbami, przerzuconymi mu przez grzbiet.

*) Mumen — prawdziwy Muzułmanin.

— Kim jesteś? — spytał Ras słabym głosem, usiłując podnieść głowę.

— Leż! — rzekł rozkazującym głosem starzec. — Jestem Abd er Ferhut, kahin i hakim.* Mieszkam tu w górach, jeździłem na poszukiwanie ziół magicznych i leczniczych i znalazłem ciebie omdlałego. Rany twoje są niebezpieczne, gdyż pazury namera**) o tej porze roku są pełne jadu. Zawiozę cię do swego domu, gdzie musisz długo leżeć, aż się wyleczysz, inaczej — śmierć!

Stary czarownik napiął rannego zimną wodą źródlaną, owiązał mu szmatami, oderwanemi od burnusa rany, i z wielkim trudem wsadziwszy go na osiołka, ruszył z Rasem w drogę.

Osiołek zszedł niebawem z drogi i zaczął się wspinać spadkami górującymi.

— Gdzie mieszkasz, Sidi? ***) — zapytał Ras.

— W grocie szakali — odpowiedział starzec. — Francuzi ścigają lekarzy berberyjskich, a wielcy Kaidowie dopomagają im w tem. Muszę się kryć, mieszkać na odludziu, lecz wierni znajdują siłę leków moich i znajdują moją kryjówkę.

— Słyszałem o tobie nieraz, Sidi Abd-er-Ferhut, — szepnął Ras słabym głosem. — Jesteś dobrosyńcą ludzi cierpiących i moim teraz. Jakże ci się odwdzięczę?

Stary hakim zamyslił się. Milczał długo, aż rzekł:

— Opowiedz mi, co ci się przydarzyło?

Ras opowiedział o zajściach ostatnich dni, a więc o nieszczęśliwym napadzie na karawanę, o śmierci towarzyszy, o grożącej mu zemście wiel-

*) Kahin — czarownik, hakim — lekarz.

**) Namer — pantera.

***) Sidi — pan.

kiego kaida Glau, o porzuconej żonie i o wypadku na polowaniu.

— Zabiłeś, młodzieńcze, panterę! — wykrzyknął stary. — Możesz mi się od razu odwdzięczyć za pomoc i leki. Czy jesteś dość przytomny i silny, aby przypomnieć sobie miejsce, gdzie leży zabity przez ciebie zwierz?

— Jeżeli znajdziesz czerwone skały Dżurf, wskażę ci to miejsce, Sidi, — odparł Ras.

— Czy czujesz w sobie dość siły, aby dojechać tam? — pytał niespokojnie hakim.

— Myślę, że tak! Czuje się silniejszym teraz i ból mi nie dolega — rzekł ranny.

— No, to jedziemy, bo gdy drugie słońce zatrzyma zabitej panterze w oczy, straci ona siłę magiczną — objaśnił starzec. — Musimy się spieszyć.

Ras dopomógł czarownikowi wyszukać zabitego zwierza. Starzec był uszczęśliwiony i od razu wziął się do roboty. Wydłużał panterze oczy, wyrwał jej niektóre kły i pazury, wyciął serce i worek żółciowy i w końcu zdarł z grzbietu duży kawał skóry.

— Co będziesz, Sidi, robił z tem wszystkiem? pytał zdziwiony Ras.

Abd-er-Ferhut usiadł przy nim i, starannie zawijając w szmaty swoje skarby, objaśnił:

— Potrzebne mi to było oddawna na talizmany, na najbardziej potężne „herz” *) przeciwko ranom i śmierci od kul i noża, na podniecenie odwagi, a żółć — na lekarstwo dla synów sułtana. Żaden z hakimów i kahinów w Mahrebbe **) nie posiada takiego skarbu, jaki trafił dziś w moje ręce! Niech Allah wynagrodzi ciebie, synu!

*) Amulety.

**) Marokko.

— To ja musiałbym wyrzec te słowa przed tobą, Sidi! odparł Ras, całując, podług zwyczaju, starca w rękę i w połę jego burnusa.

Późno w nocy dowiozły stary czarownik ranego do swej jaskini. Zanim weszli do wnętrza, hakim wyjął ze skrytki w skałach butelkę z olejem, nalał z niej do małej lampki kilka kropel, zapalił knot, a później oderwał od burnusu Rasa pasemko, przesiąknięte krwią.

— Gdy wejdziemy do groty, gdzie, jak wiesz, zawsze mają swą siedzibę dżinny *), postaw na ziemi lampkę i spal na niej ofiarę z własnej krwi, mówiąc dziewięć razy te słowa; „Demrat-i-afrit, Mudib, El-Ahmer, Borkan.” **) To powinno przebłagać duchów, będą one miłosierne dla ciebie, synu!

Ras uczynił tak, jak radził starzec, i wkrótce leżał już na miękkim posłaniu w zimnej jaskini, gdzie cicho dzwonił strumyk, wytryskujący z piersi górskiej, i potrzaskiwał ogień, rozpalony przez czarownika, gotującego strawę.

Ras spędził dwa tygodnie w kryjówce Abd-er-Ferhuta, czając się w głębi jaskini, gdy do lekarza przychodzili chorzy i potrzebujący jego rady nie tylko górale Szleu, Suss i Draa, lecz nawet Berberowie z północy, z ziemi Dukkala, Cziadma i Ben-Ahmer. Wkrótce ranny mógł już chodzić, więc pomagał swemu dobrotliwy w poszukiwaniu i zbiorach drogocennych i magicznych roślin, używanych w lekach, talizmanach i amuletach, a więc henna, harmel, udn-ed-far, takandin, kerbiuna, aloes, korzeni dzikiego szafrału, kory drzewa adrar i setek in-

*) Dżinn — duch, demon.

**) Niezrozumiałe słowa, używane w zaklęciach. Prawdopodobnie są to zaklęcia, pozostałe po Kartagińczykach.

nych traw, ziół, drzew i owoców; łapał w sidła czubate dudki i sowy, polował na hieny i szakale, bo z mózgu, żółci, oczu i serca tych ptaków i zwierząt Abd-er-Ferhut sporządzał czarowne, tajemnicze nufra, hedżab, herz, dżeduel i inne talizmany, których nazwy górał nie mógł zapamiętać.

Tymczasem tęsknota za żoną nie opuszczała go. Ciągle widział ją przed sobą, trwożył się jej losem, rwał się duszą i ciałem do swej „orlicy”, szeptał bezdźwięcznymi ustami tysiączne słowa miłosne a pieszczołowe; po nocach rozmawiał z nią, miotał się, budził się, myśląc, iż przyszła do niego, a później, ściskając zęby, kiwał i syczał z bólu i rozpaczy.

— Daj mi, Sidi, amulet, aby zabić tęsknotę za Czar Aziza — wołał w rozpacz, całując po rękach starca.

Ten smutnie kiwał głową i odpowiadał:

— Tęsknota za kobietą jest siostrą miłości, synu mój! Wielka miłość — to dar Allaha. Jakżeż mogę odbierać ci dar Allaha? Mogę dać ci amulet, który odda miłość twoją w ręce złego ducha, a ten zabije tę miłość na zawsze, bezpowrotnie. Chceszli tego?

— O nie, dobry Sidi, o nie! — wołał góral — Wolę jeszcze gorszą mękę, lecz bez miłości do Aziza — umrę! Umrę, Sidi!

Ras głową bił o ziemię, twarz sobie do krwi drapał i krzyczał z tęsknoty.

Pewnego poranku podszedł do czarownika i rzekł:

— Niech Allah ma cię Sidi, w swojej opiece! Allah el Muhamin, Allah en Nur, Allah el Hadi, Allah el Abad*), niech będzie błogosławiony Al-

*) Rytualne imiona Allaha.

lah we wszystkich swych dziewięćdziesięciu dziewięciu imionach i niech On wynagrodzi ciebie za mnie — niegodnego niewolnika swego, swego słугę i wyznawcę! Muszę już iść, bo w bezczynności nie uporam się z myślami i tępkną moją... Będę coś przemyślał, coś robił, aby przedzej czas biegł i aby rychlej przyszła godzina, gdy będę mógł założyć nowe gniazdo, rozpalić swoje ognisko i ujrzeć przy nim Czar Aziza. Niech Allah Akbar ma cię w swej opiece, dobry starcze!

Ucałował ręce czarownikowi, do kolan mu padł i poszedł, odprowadzony smutnem wejrzeniem dużych czarnych oczu Abd er Ferhuta. Milczał stary czarownik, nie mógł słowa pociechy znaleźć w swej głowie i sercu, gdyż rozumiał, że Allah rzucił odchodzącemu taki dar, który przygniata go do ziemi i łatwo zamienić się może w przekleństwo, karę i zagładę.

— Za duża jest ta miłość dla serca Rasa ben Hoggara! — myślał stary czarownik. — Ciężki kawał złota, włożony do małego wora, rozrywa go i toczy się z góry, a inni ludzie podnoszą złoto, rozerwany zaś worek wyrzucony zostaje, jak łachman, nikomu nie potrzebny... Biedny, nieszczęśliwy Ras ben Hoggar! Dokąd poprowadzi cię twój los nieubłagany?

Starzec opuścił głowę stroskaną i zapatrzył się w ogień, gdzie żarzyły się szkarłatne i złote węgle i powoli znikały bez śladu, zlewając się z szarą, martwą warstwą popiołu...

ROZDZIAŁ III

W śródmieście.

Ras, pozostawiwszy schronisko czarownika, szedł wąwozami górkami, unikając dróg i ścieżek w obawie przed spotkaniem z ludźmi. Szedł i myślał, co ma ze sobą zrobić teraz, gdy pozostał znowu sam na świecie. W górach albo zginie, albo dostanie się w ręce spahisów kaida. Postanowił więc przedostać się do Marrakeszu, stolicy południa, gdzie wśród dwustu tysięcy mieszkańców utonie w morzu ludzkiem, zmieni imię i wygląd i zniknie bez śladu.

Szedł więc górami na przełęcze, kierując się na Sahridż i dalej na Amizmis, skąd miał przekradać się na równinę setkami dróg, zatłoczonych karawanami, pątnikami, włóczęgami i meskinami *)—dróg, prowadzących do Marrakeszu.

Idąc o głodzie, żywiąc się korzeniami, orzechami, oliwkami i wodą, spotkał przy źródłach rzeki Suss, na wysokich szczytach Atlasu dziwnego człowieka. Był to wysoki, chudy, jak tyka, Berber z pod Meknesu, **) stary wyga, gaduła i kawalarz,

*) Meskin — żebrak.

**) Miasto w środkowym Marokku.

lecz zwinny, jak wąż i jak wąż chytry i złośliwy w powiedzeniach i w błyskach małych, zezowatych oczu. Nosił długą, rzadką, kozią brodę, której kosmyki zawiązywały w supełki. W oka mgnieniu zadał kilka niespodziewanych pytań prostodusznemu góralowi i już wiedział o nim całą prawdę.

Gdy zmieszany Ras, czując, że się zdradził, nie wiedział, co ma robić — pozostawać, uciekać, czy poprostu wpakować tej tyce nóż pod pięte żebro, ten zaśmiał się i rzekł:

— Wiem, o czem myślisz w tej chwili, młody byku! Ani uciekniesz odemnie, ani zabijesz mnie, lecz pozostaniesz, bo żadna podkowa lepiej nie przypadała memu koniowi, niż my obaj — do siebie!

Zaśmiał się głośno i prawił dalej:

— Wyobraź sobie, że nazywam się Soff! Po prostu Soff i to bez żadnego „ben”, „el” lub „er”, tylko — Soff! Nikt mi nie może zabronić nazywać się Soffem, — cha — cha! A teraz znowu wyobraź sobie, młody byku, czy osłe, jeżeli wolisz tego bydlaka, że ktoś ci powie: „Soff przelał tyle krwi w swem życiu, ile nie przelano w całym Marrakeszu przez pięć lat; albo, że Soffa ściga krewna zemsta w Mahrebie, Algerji, Tunisie, Trypolitanji i w Saharze.” Wyobrażasz sobie? No, to dobrze! Więc słuchaj, gdy ktoś tak powie przy tobie, odpowiedz mu: „Znałem Soffa, ale on gwiździę sobie na krew i na zemstę!” Rozumiesz choć odrobinę z tego, co chciałem powiedzieć, ty, pusty rogu bawoli?

Ras zmarszczył się i odparł spokojnie:

— Może masz rację, że dobrze nam będzie razem. Więc ani odejdę, ani pchnę ciebie nożem, lecz przysięgam na Allaha i Mahomeda, Proroka jego, że jeżeli jeszcze raz usta twoje wypowiedzą słowa: „młody byku, młody osłe, pusty rogu bawoli,” lub coś innego, równie przyjaznego, — tyle z ciebie

kurzu wytrzepię, że się chyba przełamiesz, tyko ogrodowa! Czy zrozumiałeś, ty, Soff, bez „ben,” „el” i „er?” Zrozumiałeś? To cieszy mnie. A więc ty jesteś Soff, ja nazywałem się do tej chwili Ras, a teraz jestem Abd, też bez „ben” i innych dodatków.

Soff śmiał się na całe gardło, aż echo odzywało się w górach, i wołał:

— Zuch z ciebie, przyjacielu! Podobasz mi się! Lecz Abd to nie idzie!

— Dlaczego? — spytał góral.

— Bo Abd to znaczy niewolnik. Czyim jesteś niewolnikiem? Chyba moim?

— Niech ludzie myślą, że jestem twoim niewolnikiem! — zgodził się Ras.

— Na korzyść to wypadnie i mnie i tobie, Abd! — rzekł Soff.

— In cza Allah! — zakończył tę rozmowę góral.

Nowi przyjaciele ucałowali się w policzki dwukrotnie, jak to stary zwyczaj nakazuje.

Soff zaczął opowiadać o sobie.

Był zaklinaczem węzłów i włóczył się po całym Marokku, Algerji, Tunisji, zaglądając nawet do Trypolitanii włoskiej i do Egiptu.

— Przybyłem tu po węże, — mówił. — Po nowe węże, bo moje zupełnie się zestarzały i osłabły. Nie chciały ani jeść, ani złościć się, ani gryźć. Leżały, jak kije lub kawały liny. Sprzedałem je za dobre pieniądze jakiemuś fuszerowi z Rabatu i oto jestem tu i łapię sobie węże, mam już dwa, muszę mieć jeszcze trzy lub cztery. Im więcej ich będę miał, tem poważniej i straszliwiej będę wyglądał, tem bardziej teraz, gdy będę miał swego niewolnika. Nauczę ciebie swojej sztuki, gdyż może ci się to

nieraz w życiu przydać, młody by... kochany przyjacielu.

— Doskonale, że się poprawiłeś, Soff,—zaśmiał się góral, — i to, że nauczysz mnie swego fachu.

Tego wieczoru stary wyga rozpoczął naukę.

Po wieczerzy, siedząc przy ognisku, wystrząsnął z worka dwa węże. Ujrzał ją je, Ras skoczył na równe nogi i odbiegł od ogniska.

— Przecież to jadowita „bham!” *) — krzyknął przerażony.

— Tak! to „bham” — odparł spokojnie Soff.

Mówiąc to, zaklinacz wyciągnął dłoń nad wężem. Ten podniósł swoją płaską głowę z szeroką paszczą i bacznie śledził za ruchami człowieka. Soff tymczasem ruszał palcami i trzymał drżąącą rękę nad głową wipery. Wszystkie ruchy dloni były powolne i miarowe, a ręka coraz bardziej się zniżała, aż zaklinacz szybkim ruchem dotknął głowy węża i, przycisnąłwszy ją do ziemi, drugą ręką zaczął gładzić płaza od szyi aż do końca ogona. Gładził lekko i bardzo powolnie, aż wąż zaczął zżymać się i drzeć, przymknął oczy i raz po raz oblizywał się błyskawicznymi ruchami długiego i cienkiego języka.

— Lubią one to! — szepnął Soff. — Zaraz uśnie...

Istotnie po chwili wąż leżał nieruchomo, nie dając znaków życia. Soff wziął go do rąk, przybliżył do swej twarzy straszliwą, jadowitą paszczę węża, owinał nim swój zawój, rzucił go kilka razy na ziemię, niby grubą kiszką gumową, i znowu brał do rąk.

— Śmiały z ciebie człowiek! — zawała z dumiony Ras.

*) Tak nazywają górale Atlasu węża — wiperę — Vipera Mauritanica.

— Nie tyle śmiały, ile mądry! — poprawił go Soff. — Trzeba znać obyczaje wężów. Głodny lub pół-syty nie da się w ręce, napadnie, ugryzie i zabije. Na wolności wąż jest zawsze głodny i rzeczą najtrudniejszą i najniebezpieczniejszą jest jego schwytnanie. Gdy się to już udało, wtedy reszta stanowi już zabawkę. Schwytanego węża pakuje się do wora, gdzie wpuszczam przedtem kilka żab, myszy lub małych ptaszków. Głodny gad rzuca się na zdobycz i najada się straszliwie, poczem jest zupełnie bezsilny i obezwładniony. Od tej chwili wąż stale się trzyma w stanie zupełnego nasycenia, a nawet przesycenia. Można wtedy z nim robić, co się komu spodoba. Lubi wtedy, gdy go głoścza po grzbicie, bo to pomaga trawieniu i zmusza pożywienie, połkniete z kościemi, włosami i piórami, posuwać się do żołądka i dalej — do kiszek. Sprawia to wężowi taką przyjemność, że błogo zasypia. Nieraz widziałem w pustyni i w górach, gdzie się gnieżdżą gady, że węże same, ledwo się czołgając, szukały gałęzi krzaków lub kamieni, aby się ocierać o nie. Wyciągnięta dłoń i ruszające się palce przypominają im właśnie gałęzie i dlatego z błogością patrzą na nie i podnoszą się, aby się o nie otrzeć. W tem cała sztuka! Trzeba tylko rozumieć węże!

Tak zakończył swe opowiadanie Soff.

— Czyżby „bham” nigdy nie rzucały się na zaklinaczy? — spytał zdziwiony góral.

— Zdarza się to, lecz my staramy się chronić przed jadem wężów — odparł Soff. — Doświadczysz tego na sobie wkrótce, musimy tylko złapać jeszcze kilka gadów, a wtedy pojedziemy do kubby naszego patrona Mohammeda ben Snussen el Dżilali i tam uczynię z ciebie najprawdziwszego zaklinacza!

Nazajutrz od rana nowi przyjaciele szperali

śród kamieni i gęstych krzaków, płosząc węże. Obaj byli uzbrojeni w długie tyki z widełkami na końcu.

Góral spotkał kilka wężów i, przycisnąłwszy je widełkami do ziemi wołał na Soffa. Ten przychodził i, obejrzałszy zmije, wyrokował:

— Puść je na wolność, Abd, jest to nieszkodliwy wąż, groźny chyba tylko dla myszy.

Lecz zdobycz nareszcie wpadła w ręce górala. Spostrzegł śród kamieni długiego, prawie czarnego węża, szybko uciekającego. Gdy człowiek dogonił go, gad podniósł się i w tej chwili zaczęła mu nabrzmiwać szyja, aż się zmieniła w okrągłą tarczę, czy krótki płaszcz, zarzucony na kark. Góral, nie namyślając się długo, zręcznie przycisnął węża do ziemi swemi widełkami, i począł krzyczeć:

— Soff! Soff! Chodź przedżej! Złapałem coś dużego i, zdaje się, porządnego. Przedżej, przedżej, bo się wyrywa!

Zaklinacz przybiegł i, ujrzałszy węża, błysnął radośnie oczami, w których jednak Ras dojrzał twogę.

— Trzymaj go mocno, — szepnął — trzymaj, bo inaczej zginiesz! Jest to najstrasznawszy ze wszystkich wężów kraju — to naja. Jad jej niesie śmierć przedszą, niż od kuli, przeszywającej serce. Trzymaj ja zaraz powróć!

Zaklinacz szybko się oddalił w stronę obozu. Gdy powrócił, miał ze sobą sporą, skórzana sakwę, dobrze czemś wypchaną. Zapaścił do niej rękę i wyrzucił na ziemię kilka szczurów i myszy. Żyły, lecz pozostawały nieruchome, ponieważ były mocno skrępowane cienkimi drutami lub końskiem włósciem. Soff wybrał największego szczura i dwie myszy, oswobodził je z pęt, a gdy poruszyły się żywiej, przycisnął im grzbiety długim, do rogu podobnym

paznogiem wielkiego palca. Zwierzątka z przelamaniem grzbietami bezradnie wiły się na ziemi.

— Puszczać węża i uciekaj całym pędem! — wykrzyknął zaklinacz, odbiegając na stronę.

Góral spełnił rozkaz i zatrzymał się o jakieś dwadzieścia kroków dalej.

Zwolniona naja natychmiast podniosła się, rozdęła szyję i zaczęła się oglądać wsciekłemi żrenicami. Od razu dojrzała ruszające się zwierzątka. Wparła w nie swe nieruchome, przenikliwe żrenice, zamarła, wyprężona, podobna do rzeźby ze spiżu lub czarnego agatu i raz po raz wysuwać zaczęła cienki, długi język, ostry na końcu, jak żądło jadowitej muchy.

Po chwili uniosła się jeszcze wyżej i w okamgnieniu z szybkością błyskawicy rzuciła się na szczura, zatopiła w jego ciele straszliwe kły, pełne zabójczej trucizny, jednocześnie obejmując ofiarę czarnymi zwojami silnego ciała, które się preżyło i drgało w namiętnym skurczu wszystkich mięśni. Szczur już się nie ruszał, więc naja wypuściła go, i — rozpoczęło się ohydne widowisko połykania ofiary z kośćmi i włosem. Waż rozdziawił paszczę i wciągnął w nią szczura, z trudem łykając i wypuszczając całe potoki śliny. Ciało węża skręcało się w konwulsjach, drgało, a ogon kurczowo czebiał się kamieni lub z rozmachem uderzał o ziemię. Nareszcie robota była skończona. Widać było, że szczur utkwił w gardle, a naja wciąż łykała, usiłując skrótnymi mięśni przesunąć go dalej. Po szczurze przyszła kolej na myszy. Powtórzyła się ta sama straszliwa i odrażająca scena. Ostatnia mysz już nie mogła się zmieścić w gardle naji i do połowy bezwładnie zwisała jej z paszczy.

— Teraz waż — nasz! — zawała radośnie Soff, podchodząc do nieruchomej zmiji. Bez żadnej oba-

wy wziął ją do rąk i, położywszy sobie na kolanach, zaczął ją gładzić po grzbiecie i brzuchu. Wąż wyciągnął się, lecz wkrótce drgawki jęki biec wzdłuż ciała, dowodząc, że mięśnie znowu pracować zaczęły, przesuwając przełknięte pożywienie dalej i dalej. Powoli znikała zwisająca z paszczy mysz, a Naja stawała się coraz bardziej bezwładna i nieruchoma, aż usnęła. Wtedy Soff rozwarł jej paszczę i z mięsistych fałdów dziąseł ukazały się straszliwe, zagięte ku tyłowi ostre kły.

— Wypuściła wszystek jad — zauważył zaklinacz — nie jest teraz groźniejsza od żaby. Dopiero za dwie godziny w torebkach, położonych tuż przy podnożu kłów, tworzyć się zacznie biały płyn trujący, którym naja zabija swoje ofiary. Starzy zaklinacze wyrywali wężom te torebki, lecz pokaleczone węże żyły później krótko, bo nic nie jadły. Teraz robimy inaczej, pozostawiamy im ich jad, lecz trzymamy gady w przesycie, aby były bezwładne i nie miały potrzeby używać swych kłów do napadu. Szybko się od tego odzwyczajają i rzadko, bardzo rzadko ujarzmiony wąż ugryzie człowieka, bo już po paru tygodniach nawet przy zabijaniu szczurów nie posiłkuje się zębami, dusi je tylko i lyka.

Mówiąc to, Soff wrzucił węża do długiego, wąskiego koszyka, obwiązanego płótnem. Połów tego dnia był udany, przyjaciele znaleźli bowiem i schwytaли jeszcze trzy wipery i kilka długich czarnych żmij, zupełnie do nai podobnych, lecz nie jadowitych i powolnych w ruchach.

Spędziszy noc przy ognisku, o świcie nałowili swoje koszyki na konia i ruszyli w drogę. Dopiero przed wieczorem ujrzelii na szczycie góry ruiny białego budynku z okrągłą kopułą na szczycie.

— La Illah Illa Allah u Mahomed Rasssul ALlah, Allah Akbar*) — zawała Soff.

Ras z nabożeństwem powtórzył słowa tradycyjnej modlitwy muzułmańskiej i spojrzał pytająco na towarzysza.

— Jesteśmy u celu naszej podróży — rzekł Soff. — Mamy przed sobą grobowiec Sidi Mohammeda ben Snussen el Dżilali, patrona zaklinaczy węzów i przewodników karawan. Tu spędzymy kilka dni, abyś mógł posiąść wszystkie tajemnice naszego zawodu i przygotować się do niego należycie.

Soff sumiennie uczył swego towarzysza wszystkich sztuk zaklinaczy węzów. Nie były one zbyt zawiłe i wymagały tylko pewnej zręczności i wymowy. Ras przedko się nauczył, jak potrzeba odwrócić uwagę widzów od tego, co robi zaklinacz, który bez przerwy mówi do otaczającego go kołem tłumu. Przejał od Soffa jego pełne ognia modlitwy do Allaha i do patrona zaklinaczy Mohammeda el Dżilali, formuły niezrozumiałych, tajemniczych zaklęć, nerwowe, porywcze ruchy, podniecające wykrzykniki i zagadkowe mruczenie nieznanych słów.

Soff pokazał mu, jak się należy obchodzić z węzami, które mają ugryźć zaklinacza na oczach widzów. Soff brał wipery, rozdzierał im jak najszerzej paszcze, a gdy ukazywały się kły, wtedy kapala z nich jadowita ciecz.

— Widzisz, Abd, — mówił stary zaklinacz — wąż nie ma teraz w sobie ani krzyty trucizny, a więc jest zupełnie bezpieczny. Może teraz ugryźć nowonarodzone dziecko bez żadnej przeszkody. Właśnie w takim jałowym stanie powinien ten gad ugryźć zaklinacza. Lecz wąż jest opchany, nie ma ani zło-

*) Niema boga oprócz Boga Allaha i Mahomeda — proroka przedwiecznego Allaha.

ści w sobie, ani chęci do napadu. Jest przejedzony, ospały i prawie bezwładny. Więc sam zmuszony jestem „gryźć się” jego kłami. Uderzam paszczą w swoją głowę, a że mam na niej gęstą, dobrą czuprynę, wycieram o nią z zębów płazu resztki trucizny, o ile ona jeszcze pozostała na nich lub w paszczy wipery, a teraz trę się czołem o kły. Mogłyby mnie zadrasnąć, gdyby nie były zagięte wtyły, a więc nieznacznie dotykam ręką czoła i widzisz? jak spływa z niego struga krwi.

Ras krzyknął przerażony, widząc krew, którą Soff zręcznie rozmazał po całej twarzy.

Zaklinacz śmiał się bezczelnie i objaśniał dalej:

— Rozdusiłem na czołku woręczek z pęcherza, napełniony czerwoną farbą, przyjacielu! miotając się i krzycząc, rozmazuję ją po twarzy. Co? Wyglądam przerażająco? A teraz drgawki i wymioty... Tego się nauczysz później na praktyce... Na końcu modlitwa do Allaha i naszego patrona, po której mokrą szmatą ścieram z twarzy krew i pokazuję, że rany, których wcale nie było, zabliźniły się bez śladu... Rozumiesz?

— Rozumiem! — śmiał się Ras. — Pamiętam, że zawsze z przerażeniem spoglądałem na zaklinaczy wężów i prosiłem Allaha, aby im nic złego się nie stało. A to tymczasem zwykła sztuka!..

— Za którą, mój bracie, głupi tłum, zawsze łakomy widowiska i niebezpieczeństw dla swego bliźniego, wrzuca do koszyka zaklinacza pieniądze... To już lepiej, nieprawdaż? ●

Góral śmiał się serdecznie i zaczął powtarzać pokazaną mu sztukę, a że był to człowiek wesoły i dowcipny, tak zabawnie gadał, że nawet nawykły do podobnych widowisk Soff nie mógł powstrzymać się od śmiechu.

— Dobre pieniądze będziesz zarabiał, przyjacielu Abd! — wołał, radośnie zacierając ręce. — Gadasz nie gorzej od błaźnów, śmieszących gapiów na Dżema el Fna.*) To się opłaca! Ja tego nie umiem, wolę nabierać widzów na strach i ponure miny, przerażając tłum.

— Poco nałowiliśmy tyle nieszkodliwych czarnych wężów? — zapytał Ras.

— Na sprzedaż! — odpowiedział Soff. — Kupują je chętnie Francuzi, gdyż te węże wyłapują myszy w domach, ale najdrożej za nie płacą zaklinacze wężów, o ile należą do sekty Ajsaua.

— Ach! — przerwał mu góral, — to ci dziwacy, co żebrzą po drogach i zjadają pajaki, szarańcze, żaby i inne nieczyste twory?

— Tak! tak! — odparł zaklinacz. — Otóż oni, o ile trudnią się naszym zawodem, po domniemanem ugryzieniu przez węża zamiast modlitwy i zakleć używają innego sposobu „zniszczenia jadu”. Biorą te niewinne żmije, przegryzają im szyje, obdzierają ze skóry i zjadają ich mięso, paląc resztę na węglach, jako ofiarę demonom, zamieszkującym w trujących żmijach. Ajsaua drogo, bo po pięć franków płacą za każdego nieszkodliwego węża.

Gdy Ras posiadał już wszystkie tajemnice zaklinania węży, Soff przystąpił do najtrudniejszej i najbardziej przykrajnej części zawodu. Musiał zrobić swego towarzysza odpornym na jadowite ugryzienie, na wypadek, gdyby był zaatakowany przez wiperę lub naja, czy to podczas schwytania dzikiego gadu, czy podczas przedstawienia na placu, na oczach gawiedzi ulicznej.

Zaklinacz zrobił na ramieniu Rasa małe nacięcie i, utoczywszy z kłów węża trochę jadowitej

*) Główny plac w Marrakeszu.

cieczy, rozpuścił ją w wodzie, zmusiwszy towarzysza, aby ją zmieszał z własną ślina. Tak przyrządżonym płynem zalał rękę. W kilka minut później Ras dostał zawrota głowy, krew mu napłynęła do czoła, oczu i ust, drgawki wstrząsały całym ciałem, z nabrzmiały warg i języka płynęła piana, w pierścieniach rzęziło. Trwało to przez kilka minut, poczem całe ciało zlało się obfitym potem, i Ras czuł wielkie osłabienie; w kwadrans później wszelkie oznaki zatrucia minęły jednak bez śladu. Dwa razy dziennie góral przechodził tę kurację, a Soff powoli zwiększał dawki trucizny.

— Jest to starodawny sposób, wynaleziony przez jakiegoś króla nubijskiego, — opowiadał zaklinacz. — Ten król obawiał się zamachu na siebie i zwolniał się przyzwyczajał do trucizny wszelkiego rodzaju. Nikt go nie mógł struć, nawet jad nagi prawie nie działał na niego. Zapisał ten sposób ze słów starców znakomity hakim arabski Awicenna, a my zaklinacze stosujemy się do rad tego lekarza.

Tak spędzał czas góral w gąszczu krzaków, otaczających kubbę *) Mohammeda ben Snussen el Dżilali, patrona zaklinaczy węzłów, ponieważ on to podobno wynalazł w lekarskiej i magicznej książce „Rahm” receptę sławnego lekarza Awicenny. Lecz i przewodnicy karawan, dążących przez pustynię, też chętnie zbaczali z drogi, aby przy samotnej kubbie modły zanieść do Allaha i zaszyć do szkaperza, wiszącego na piersi, szczyptę ziemi z grobowca Mohammeda el Dżilali, gdyż to chronić miało ludzi i wielbłądy od napadu jadowitych „bham” i straszliwych, śmierć niosących „naja”.

Pewnego poranku Soff nalepił kilka cienkich błoniek aloesu na policzki Rasa, zmieniając do nie-

*) Kubba — grobowiec i kaplica.

poznania jego twarz, gdyż zeszpeciły ją sztuczne czarne blizny.

— Nawet twoja Czar Aziza nie poznałaby ciebie, przyjacielu, — zaśmiał się Soff, przyglądając się bacznie zmienionym rysom towarzysza. — Teraz możesz iść do Marrakeszu bezpiecznie!

Nazajutrz o wschodzie słońca wyruszyli w drogę i już przed wieczorem weszli na nagą płaszczyznę, rozciągającą się pomiędzy Atlasem, a rzeką Tensift, gdzie u podnóża gór Gheliz czerniła się oaza Marrakeszu ze strzelającą do nieba wzorzystą kolumną meczetu Kutubia, połyskującą na słońcu barwną emalją swych ścian.

ROZDZIAŁ IV.

„Orlica“.

Czar Aziza, pożegnawszy męża prawie nie wychodziła z domu. Czyniła to nie dlatego, żeby się kogoś bała, lecz każdym nerwem swoim czuła, że ukochany człowiek znajduje się gdzieś w pobliżu. Instyktownie czekała na niego, gotowa każdej chwili zerwać się i biec mu z pomocą.

Nie było jednak żadnych wieści o Rasie. Kobieta wiedziała, że wielki kaid pchnął swych spahisów *) na wszystkie drogi i w głęb góry dla schwytania przewodcy napadu na karawanę, więc drżała o los męża. Aziza dowiedziała się w kilka dni później, że pościg powrócił, nikogo nie znalazłszy. Wtedy kobieta zrozumiała, że mąż jej jest już daleko i że pozostała sama na świecie, bezbronna i bez opieki. Długo i gorzko płakała Aziza, spędzała kilka nocy bezsennych, gdy dopiero przed świętem zapadała w stan półprzytomny, a wtedy z półmroku wypełzały jakieś potworne, złowrogie widma i straszne obrazy płynęły przed jej oczyma. Widziała Rasa, leżącego na ziemi, i ogólną pan-

*) Spahi, czy spahis — konny żołnierz.

terę, tak wielką, jak góra. Potwór siedział nad nim i ryczał głuchym głosem. Chwilami słyszała łoskot ciała, toczącego się do przepaści i widziała krwawy ślad, który Ras znaczył urwiste spadki gór. Krzyczała wtedy przerażona, zimnym potem złana, i gorąco modlić się zaczęła do Allaha-Pocieszyciela. Dzień i zgiełk, panujący w kasbie, gawędy i plotki sąsiadek nie przynosiły jej ukojenia. Zbladła, miała oczy, podkrążone od bezsennych nocy i czerwone od łez, drżące usta i nie znikający wyraz lęku na pięknej twarzy.

Nagle przybiegł do niej od „kadi” *) stary kulawy czausz **) i pełnym służbowej tajemniczości i surowości głosem oznajmił:

— Czar Aziza, żono Rasa hen Hoggara! Na rozkaz naszego kadi masz się stawić przed jego obliczem na sąd.

— Zaczyna się moja męka! pomyślała kobieta, a serce ścisnęło się jej boleśnie. Trwało to jednak chwilę tylko. Wyprostowała się dumnie i odparła:

— Sidi! Kadi może wezwać mnie przed siebie, lecz nie na sąd, bom nie zbrodnjarka i przepisów „Świętej Księgi” przestrzegam surowo... Poczekać chwilę przed domem. Muszę się przebrać, aby godnie stanąć przed tym, który powinien być obroną Koranu ***).

Tymczasem wieść o zjawieniu się czausza przed domem Rasa lotem błyskawicy obiegła całą kasbę. Tłum kobiet i starców zgromadził się przed domem; wypytywano czausza o przyczynę wezwania żony Rasa do kadi i o tem, co z nią uczyni sędzia.

*) Sędzia i wójt wiejski.

**) Woźny.

***) „Święta Księga” — nauka Mohameda.

Czausz milczał zagadkowo, jak na urzędową figurę przystało, i cierpliwie czekał.

Nareszcie Aziza wyszła z domu. Od stóp do głowy była zawinięta w biały czysty burnus, cienki „haik” *) opuszczającą się jej na twarz, kryjąc rysy i pozostawiając tylko oczy, ponuro i groźno połyskujące. Szła spokojna, dumnie wyprostowana, stanowcza i śmiała.

— Idziemy, Sidi,—rzekła donośnym głosem.—Rada jestem, że wzywa mnie kadi, gdyż chcę upomnieć się o męża swego,

— Jakto o męża? — wyrwało się pytanie zdumionemu przedstawicielowi władzy.

— Tak! chcę się upomnieć o męża, — powtórzyła z naciskiem. — Chcę zapytać kadi, czy już nie istnieje w Mahrebie stara tradycja Hadith, która nie ścigała górali Szleu, gdy czynili śmiały naprawy na kupców, prowadzących karawany. To była wojna, i każdy tam mógł bronić swego mienia i życia, lecz prawo milczało, gdyż taka istniała tradycja. Czyż nie dobrze mówię, sąsiedzie?

— Słowa twoje są prawdziwe, kobieto! — odezwał się jeden ze starców.

— Dlaczegoż teraz za śmiały czyny Szleu dostają się do więzienia w Tarudancie, w ręce kata, lub zmuszeni są gasić ognisko rodzinne, porzucać żony, dom, i kryć się po górach i lasach, niby szakale lub psy zdziczałe?

Głuchym pomrukiem wtórował tłum słowom kobiety.

— Prawda!... prawda!... — wołało kilka głosów naraz. — Tego dawniej nie było!

*) Zaślona na twarzy, noszona na Wschodzie.

— Czyżby Koran i Hadith nic nie znaczyły wobec żądań „berrania”, *) cudzoziemców, tych „rumani” **) „nezrani”, ***) którzy chcą się rządzić w całym Mahrebie?

— Hańba! — wołano w tłumie. — Wielki Kaid i sam Sułtan zdradzają Koran i stare tradycje! ****) Hańba!

— Jeżeli dla cudzoziemców ścigają walecznych górali, dlaczego wielki kaid nie zażąda od cudzoziemców wynagrodzenia za zabitych w ostatnim napadzie na karawanę naszych mężów, synów i braci?

— Prawda! Hańba! — rozległy się dzikie okrzyki. — Oddają nas w ręce przybyszów, nikt nas nie broni, nikt nie przestrzega starych obyczajów naszego plemienia, naszego prawa, ustalonego przez Proroka! Nie oddamy Aziza! Będziemy bronili jej przed przemocą zdrajców!

Tłum zaczął otaczać starego czausza, klnąc i wygrażając.

— Uciszczie się, sąsiedzi! — zwołała Czar. — Sama chcę iść do kadi i upomnieć się o swoje ognisko i o męża. Bądźcie zdrowi, i niech Allah ma was w swej pieczy! Allah Jaunek!

Kobieta, spokojna i dumna, skierowała się uliczką, prowadzącą do biura, gdzie urzędował kadi, a wylęknięty, drżący czausz, wlókł się za nią, straciwszy całą swoją powagę i surowość. Z tyłu w skupieniu i ponurem milczeniu posuwał się za nim tłum wieśniaków.

*) Przybysz.

**) Europejczycy.

***) Chrześcijanie.

****) Tradycje muzułmańskie są ujęte w osobne, obok Koranu istniejące, prawo, t. zw. „Hadith”.

Tymczasem Aziza doszła do domu sądu i stanęła przed obliczem kadi. Ten siedział przy stole, przywalonym grubemi książkami, i przez okulary patrzał na stojącą przed nim postać kobiecą. Był to już wiekowy człowiek, dobry i łagodny, od niepamiętnych czasów obierany na stanowisko kadi. Syn jego, młody Brahim, sprawował urząd sekretarza. Siedział z boku z piórem w ręku, przygotowany do zapisywania zeznań.

— Jak się nazywasz, kobieto? — zadał urzędowe pytanie kadi.

— Nazywam się Czar Aziza, córka Hadż el Ussima, żona Rasa ben Hoggara — padła spokojna odpowiedź.

— Czy znasz Rasa ben Hoggara? — brzmiało następne urzędowe pytanie.

— Dwa lata temu szlachetny Ras ben Hoggar pojął mnie za żonę i wprowadził do swego domu w kasbie. Od tej chwili aż do tego czasu podtrzymywałam ognisko w domu mego męża i pana — odparła kobieta.

— Wiesz, poco cię wezwałem tu? — pytał stary kadi.

— Nie wiem — rzekła Aziza. — Lecz przyszłam tu sama, bez twoego, Sidi, wezwania, aby zapytać cię o surat *) Koranu, o artykuł prawa i Hadith, pozbawiący bez przyczyny żonę męża, a męża — rodzinę i domu.

Zdumiony kadi zdjął okulary i zaczął je przecierać, sekretarzowi pióro wypadło z rąk.

— Twój mąż — złoczyńca, ściga go prawo! — zawała sędzia.

— Dowieść musisz zbrodni, Sidi, i pokazać prawo, karzące ją! — szepnęła kobieta.

*) Rozdział.

— Na Allahę! — wykrzyknął starzec. — Przecież Ras ben Hoggar był hersztem bandy, napadająccej na karawanę pomiędzy Ifni a Tarudantem?

— Tego ja nie wiem, czy mąż mój i pan mój był hersztem. Lecz gdyby nawet tak było, to, jak Szleu są Szleu, tem się trudnili nasi mężczyźni i dopiero od dziesięciu lat...

— Milcz, kobieto! — wrzasnął kadi. — Taka jest wola wielkiego kaida, aby ustały napady na drogach karawanowych. Czy nie wiesz o tem?

— Wiem — rzekła Aziza, — ale też wiem, że w naszym prawie pisanem niema woli wielkiego kaida, jest tylko wola Allahę i Jego proroka Mahomeda. Allah i Mahomed zaś nie zakazywali wojny i odważnych czynów. Prawo więc nie może ścigać Rasa, męża mego. Błagam ciebie przeto, Sidi dobry i sprawiedliwy, który byłeś przyjacielem ojca mego męża, Hoggara ben Mhammeda, swego towarzysza w wyprawach na kupców, wiozących kość słoniową i czarnych niewolników, pozwól mężowi memu powrócić do domu swego i widokiem swoim uacieszyć oczy moje!

Kadi i sekretarz milczeli, gdyż takiego obrotu sprawy wcale nie oczekiwali, więc nie wiedzieli, co mają robić teraz z tą kobietą, tak spokojnie i dumnie stojącą przed nimi i rzucającą zrozumiałe dla góralskiego serca i sprawiedliwe słowa, poparte prawem.

Nareszcie kadi wyksztusił zdanie:

— Zeznajesz więc, że twój mąż przyjmował udział w napadzie na karawanę?

— Nie, Sidi, nie zeznaję! — odparła spokojnie. — Podejrzenie padło na niego, podejrzenie niesprawiedliwe, lecz dostateczne, aby wygnąć człowieka z własnego domu i pozostawić kobietę bez opieki i obrony.

— Gdzie jest Ras ben Hoggar? — pytał sędzia.

— Nie wiem, gdzie jest teraz, gdyż z pewnością dowiedział się o pościgu za nim i o podejrzeniu, które padło na niego; błąka się gdzieś bezdomny i zemstą pałający. Mąż mój poszedł był w góry polować na muflony. Być może spotkał się z „namer” *) i umiera gdzieś w wąwozie od ciężkich ran...

— Nie kłam! — zawała stary kadi. — Jeden z towarzyszy Rasa zeznał przed śmiercią, że wyprawą dowodził twój mąż... Co powiesz na to, kobieto?

— Powiem ci na to, czcigodny sidi, przyjacielu Huggara ben Mhammeda, że gdyby cię katowano, jak to czyniono z domniemanym towarzyszem mego męża, tobyś z pewnością zeznał, żeś nie z Hoggarem nigdyś napadał na brzegach Draa na kupców, lecz z samym sułtanem Mulej Jussufem, niech Bóg roztoczy nad nim swoją opiekę!

— Jesteś obłudna i zuchwała! — krzyknął zrozpaczony kadi i, skinąwszy na czausza, dodał:

— Odprowadź ją do domu... tymczasem, Salemie.

— Nie jestem obłudna i zuchwała, Sidi, — rzekła odchodząc Aziza, — znam jednak prawo i obyczaje naszych górlów

Powiedziawszy to, wyszła spokojna i wyniosła.

Długo patrzyli w milczeniu za odchodząłą sędzią i sekretarzem, a później w zdumieniu głębokiem spoglądali na siebie.

— Orlica... — szepnął stary kadi.

— Orlica! — powtórzył młody Brahim i, nie zeznając, dlaczego to czyni, zmrużył błyszczące oczy i przeciągnął się rozkosznie.

*) Pantera.

— Prawdę przecież mówiła ta kobieta? — pytał sędzia.

— Prawdę, ojczel! — zawała Brahima. — Mówiła, jak sto ulema*) razem wziętych. Ona się nie da tak łatwo, ta — orlica!

— Co robić? — rozwodził rękoma stary.

— Napisać o wszystkiem wielkiemu kaidowi **) i czekać na rozkazy! — poradził sekretarz.

— Chyba... — zgodził się kadi. — Pisz zatem...

Sekretarz schylił się nad papierem, lecz w tej chwili wpadł czausz i zdyszany głosem opowiedział, że w wiosce wybuchnął bunt, który został wszczęty przez Aziza, żonę Rasa ben Hoggara.

Ojciec i syn porwali się na równe nogi i podbiegli do czausza, który szczegółowo opowiedział o wszystkiem, przeplatając swe słowa modłami za kadi i wielkiego kaida, władcę i pana szczepów górskich. Do późnej nocy pisał młody Brahim doniesienie do Tarudantu, gdzie w tym czasie sprawował sądy sam Glaui, wielkorządca Atlasu.

Tymczasem w całej kasbie wrzało, jak w ulu, a wrzało jeszcze bardziej, gdy z pól, ogrodów i lasów powrócili mężczyźni i dowiedzieli się o tem, co zaszło w wiosce. Słowa Aziza padły na dobry, podatny grunt, górale bowiem od dziadów — pradziadów trudniący się wojną i rozbojami na drogach karawanowych i nawykli do rycerskiego i zbojeciego procederu, oddawna byli niezadowoleni z nowych porządków. Wojowniczy Szleu nie umieli i nie chcieli grzebać się przy roli, karczować lasów i paść bydła. Zmuszeni do tego przepisami, zakazującymi, pod groźbą ciężkiej kary, napadów i śmia-

*) Uczeni.

**) Książę, wezyr, gubernator.

łych wypraw, podupadli znacznie, przeżywając nieraz lata głodu i nędzy

Aziza, zdawało się, otworzyła wszystkim oczy, objaśniała, że przepisy kaida są ustępstwem dla białych przybyszów i nie opierają się na prawie, a nawet są z niem w niezgodzie. Wieś przygotowała się do burzliwego protestu. Po domach ostrzono krzywe noże, stare dziadowskie szable, wśród których można było odnaleźć niegdyś przywiezione przez Maurów andalskich z Hiszpanji, gdy tam panowali czarni królowie w Sewilli, Granadzie, Kordobie i Toledo; gromadzono proch i ołów, lano kule, czyszczono i naprawiano karabiny, opatrywano użdzienice, siodła i strzemiona, napełniano sakwy chlebem, suchem prosem, kawą i solą. Zdawało się, że ludność małej kasby robi przygotowania do wielkiej wojny.

Dowództwo nad wojskownikami postanowiono oddać Brahimowi, synowi kadi, ponieważ był najlepszym po Rasie ben Hoggar strzelcem i jeźdźcem, odznaczającym się podczas wielkich „fantazja”, *) odbywających się w święta Bejramu w Tarudancie i Agadir. Wylękniony jednak młodzieniec uchylił się od tego zaszczytu, a wtedy wynikły sporły i intrigi pomiędzy innymi pretendentami na stanowisko wodza.

Czar Aziza pozostawała w domu, rozumiejąc, że jej słowa rozpaliły pożar i stały się początkiem odkrytego buntu, co bezkarnie jej nie ujdzie. Czekała więc z biciem serca i trwogą wypadków, ciesząc się w duchu, że potrafiła chociaż odrobinę zemścić się za męża. O Rasie starała się nie myśleć, gdyż tęsknota za nim zmuszała ją do łkania i jakiejś słabości, która opanowywała jej ciało i du-

*) Wyścigi i popisy konne Berberów.

szę. Tymczasem rozumiała, iż musiała teraz być spokojna i silna, jak nigdy.

Dziesięć dni nie było żadnych wieści z Tarudantu, na jedenasty do kasby przybyło kilku jeźdźców. Siedzieli na dzielnych bułanych koniach, mieli na głowach turbany, opasane granatowymi sznurami, granatowe burnusy, szable przy siodłach i karabiny na plecach. Wszyscy poznawali w nich spahisów wielkiego kaida. Dowódca oddziału natychmiast odwiedził kadi, który kazał niezwłocznie sprowadzić do biura Czar Aziza.

Przyszła, jak za pierwszym razem, nie zdając się niepokoju.

— Wielki kaid, nasz pan i władca, rozkazał odstawić ciebie, kobieto, do swojej kasby, — oznajmił starzec.

— Koran uczy, że wola władczy jest wola Al-laha, jeżeli zgadza się z suratami „świętej księgi” — odparła spokojnie. — Władca może podług prawa żądać przybycia podwładnego. Pojadę!

— Bądź gotowa przed południem do drogi! — rozkazał kadi i skinął, aby odeszła.

— Jak mówi ta kobieta! — zwołał zdziwiony naczelnik spahisów. — Czy nie jest ona czasem kahina? *)

— Nie słyszałem nic o tem, — odpowiedział kadi. — Wiem tylko, że jest chytra, zuchwała i zna nasze prawo, jak taleb **) z medersa ***)). Będziecie mieć z nią kłopot, bo to rogata dusza i serce orle!

Spahi wzruszył ramionami i rzekł:

*) Czarownica, jasnowidząca.

**) Taleb — uczony.

***) Uniwersytet muzułmański.

— To nie moja rzecz! Ja muszę ją odstawić do wielkiego kaida — taki rozkaz!

Po obiedzie przed bramą kasby stał już orszak jeźdźców, gotowy do drogi. Pośrodku oddziału spahisów na dzielnym, białym koniu, na tym samym, na którym Ras wyruszył na ostatnią nieudaną wypławę, siedziała Aziza. Szeroki burnus nie mógł ukryć jej silnej, wiotkiej postaci. Drobne nogi w żółtych „babuszach” twardo wparła w szerokie marokańskie strzemiąona i lekko opierała się o wysoki tylny lęk czerwonego, haftowanego srebrzem siodła. Twarz miała zasłoniętą haikiem, pod którym miała jeszcze przepaskę na ustach. Robiła to podług obyczaju, aby zle dżinny, czyhające na podróżnych przy skrzyżowaniu dróg, w dzikich ustronnych miejscowościach lub przy zapomnianych mogiłach na pustkowi, nie wdarły się jej do ust, a przez nie do serca i mózgu, powodując ciężkie choroby lub obłęd.

Razem z Aziza mieli stanąć przed obliczem groźnego kaida kadi, jego syn Brahim i trzech zbyt gorących buntowników, wskazanych przez starego czausza. Wszyscy byli zgnębieni i pełni najgorszych przeczuć, tylko Czar Aziza pozostawała niewzruszona, zatopiona w swoich myślach.

Oddział posuwał się ostro naprzód i wkrótce po zachodzie słońca, jeźdzcy ujrzelci potężne mury i warowne baszty olbrzymiej kasby, gdzie miał swoją siedzibę wspaniały kaid Glaui.

Przybyłych mieszkańców wioski góralskiej umieszczeno w wielkiej izbie i nakarmiono. Byłoby to dobrą oznaką, gdyby nie uzbrojony spahi, tkwiący w drzwiach. Wszyscy rozumieli, że są pod aresztem.

Spędzili noc w trwodze i ciężkiem oczekiwaniu groźnego jutra, gdyż mieli stanąć przed oczami władczy. Istotnie po modlitwie porannej jeńcom

oznajmiono, że będą stawieni przed sądem kada.

Pierwsi poszli kadi z synem — sekretarzem i jeszcze nie powrócili, gdy zjawił się jakiś stary dygnitarz i zwołał:

— Wielki kaid wzywa żonę Rasa ben Hoggara! —

— Jestem — odezwała się Aziza, szczernie otulając się burnusem i poprawiając zmięty haik.

Starzec zrobił znak ręką, przepuścił kobietę przed sobą i poszedł za nią. Przeszli długie korytarze, kilka wspaniale przybranych komnat, aż stanęli przed załkniętymi drzwiami, ze stojącą przed niemi wartą.

Stary dygnitarz zapukał i szepnął, zwracając się do Aziza:

— Wejdź!

Kobieta przycisnęła ręce do piersi i weszła.

W małej izbie na szerokiej sofie siedział poważny, sędziwy człowiek o mądrej twarzy i siwej brodzie, spływającej na biały burnus. Czarne, przeklinawe oczy świeciły mu się z pod nisko nasuniętego na czoło turbanu.

Aziza padła na kolana, oddając głęboki, pełny pokory ukłon, i wyrzekła sakramentalne pozdrawienie:

— Salem alejkum! Niech Allah roztoczy błogosławieństwo swoje nad tobą, wielki kaidzie, panie nasz!

— Słyszałem już o tobie — rozległ się suchy głos kaida. — Co powiesz o sprawie swego męża?

— Błagam cię, wielki panie, abyś puścił w zapomnienie czyny Rasa ben Hoggara, mego męża i pozwolił mu powrócić do stęsknionej i zrozpaczonej żony, dla której dzień jest męką, a noc śmiercią w trosce o życie jedynego i umiłowanego!

Mówiąc to, wyciągnęła błagańnie ręce do kaida.

— Zasłużył na śmierć, łamiąc moje rozkazy! — rzekł kaid, marszcząc krzaczaste brwi.

— Była to rycerska, odważna wyprawa, gdzie życie się oddaje za życie, panie mój! — zawała Aziza.

— Inne czasy teraz, inne prawa — mruknął Glau.

— Zaklinam cię na te czasy, wielki kaidzie, gdy imię twoje powtarzały tysiące ust, gdy pieśniarze śpiewali o odwadze twojej, gdyś prowadził oddziały, podchodząc bogate karawany, bronione przez wojska sułtanów.

Powiedziawszy to, Aziza znowu padła na ziemię.

Nieznaczny uśmiech i błysk dumy przemknęły po twarzy kaida.

Milczał przez chwilę, a później klasnął w dłonie.

Zjawił się spahis.

— Odprowadź tę niewiadzę do jej izby. Powiedz naczelnikowi warty, że jest wolna i może powracać do domu swego! — rozkazał kaid.

Aziza skloniła się nisko i rzekła:

— Allah niech ma cię w opiece do końca dni twoich, panie, a serce twoje niech się przychyli do prośby nieszczęśliwej kobiety.

— Idź już, idź! — powiedział kaid. — A nie buntuj mi ludzi, bo źle z tobą będzie, ty... orlico górska!

„Orlica”, przyciskając ręce do bijącego serca, wychodziła pokornie pochylona, skulona, lecz za drzwiami nagle się wyprostowała, obejrzała się i z namiętnością, przejmującą ją dreszem, wyszeptała:

— Bismi Llahi Rahmani r Rahim... *)

*) W imię Boga litościwego i miłosiernego!

Za godzinę, nie czekając na kadi i sąsiadów, była już na koniu i mknęła nieznanemi ścieżkami, ufna w zmysł konia, nawykłego rozpoznawać drogi, których chociażby jeden tylko raz dotknęły jego śmiegle, dzwoniące na kamieniach kopyta.

Przed zachodem słońca rumak, wierny towarzysz Rasa, doniósł ją do kasby, gdzie tyle szczęścia i tyle udręki doznała Aziza od ukochanego człowieka.

Gdy weszła do domu, zapłakała gorzko, bo wydało się jej, że przeleciał przez izbę z cichym nieuchwytnym jękiem, blady, jak opary poranne na szczytach gór, cień męża.

— Allah Muhaimin! *) Ratuj nas! — szeptała, ściskając zimne ręce i czując, że wzbiera w jej piersi dzikie, rozpaczliwe wycie, jakie wydaje głodna wilczyca, zbłąkana w jałowych wąwozach.

*) Obrona.

ROZDZIAŁ V.

Ku nieznanemu celowi.

Gdy Ras i Soff weszli na kamienistą, nagą równinę, rozciągającą się aż do Marrakeszu, wszystkimi drogami ciągnęły tłumy, zdążające do południowej stolicy. Do miasta szli pątnicy z Mulej Brahim, odbywający pielgrzymkę do meczetu Kutubia i do grobowców dawnych władców z dynastii Saadien; bandy meskinów-żebraków, włóczęcych się po całym kraju i polujących na jałmużnę i hojnych opiekunów, akrobaci, błaźni, tancerze, pieśniarze, opowiadacze dawnych legend i baśni, czarownicy, znajdujący na rynku i w bogatych domach arystokracji miejskiej chętnych widzów, słuchaczy i pieniądze; stręczyciele niewolników, posłani przez ukrywających się przed władzami francuskiemi handlarzy; nieznani, półobłąkani prorocy, sekciarze; tłumy kobiet, dążących z różnemi zamiarami i w jednym celu do Marrakeszu; niektóre z nich tak zwane „gezzana”, potworne megery o powichrzonych włosach i pomarszczonych twarzach, w łachmanach, ledwo przesłaniających chude, czarne ramiona i uschlę piersi,— niosły ze sobą sztukę wróżbiarską, przepowiednie, tajemniczą wiedzę talizmanów i amuletów; inne brzekały srebrnemi bransoletami na wysmukłych

nogach i rękach, dzwołały ciężkimi koljami i sznurami z nawleczonemi na nie konchami „uda” lub hiszpańskimi i francuskiemi srebrnemi i złotemi monetami, klaskały z przyzwyczajenia długiemi marokańskimi kastanjetami, marząc o tem, jak będą czarowały widzów zwinneimi ruchami swoich dzikich tańców i wiotkiemi ciałami i jak, gdy Allah zechce, rozkochają w sobie bogatego kupca, który otworzy przed niemi podwoje wspaniałego haremu; szły, jechały na wielbłądach, mułach i osłach młode nomadki*) z ziemi Draa i z jałowej Hammada; długie granatowe koszule odsłaniały brązowe i oliwkowe okrągłe, piękne ramiona i sprężyste piersi, rozkwitłe i gorące, jak kwiaty dzikiej róży, niewinne, lecz teskniące już do ognistych pieszcztot; w podłużnych, rozmarzonych oczach pięknych niewiast pustyni nie było żadnej myśli, płonęła tylko żądza i nadzieja porzucenia na zawsze ohydnych, czarnych „duarów”**) i przestępienia „wrót szczęśliwości”, jak nazywają te niewolnice z krwi i kości, seraje***) bogaczy i możnych panów, lub progi tonących w zbytkach, lenistwie i rozpuście domów w Abdallah—dzielnicy Fezu,****) gdzie miłość i szal namiętności rzucano na targowisko i sprzedawano za złoto.

Wszystkich zaś ciągnął do siebie Marrakesz, a przemawiał do nich nie donośnemi głosami nawoływujących do modlitwy muezzinów*****) i nie mądrością poważnych ulema i talebów, lecz słodkim a zwodniczym brzękiem pieniędzy.

*) Kobiety plemion koczujących.

**) Zbiorowiska namiotów koczowników.

***) Haremy.

****) Stolica Marokka.

*****) Muezzin — sługa kościelny.

Być może, że wśród tego tysiącznego tłumu, trawionego pragnieniem zarobku, był tylko jeden człowiek, dążący do pięknej stolicy Saadien z tęsknotą i rozterką w duszy i sercu, a bez żadnego jasnego celu przed sobą. Był to Ras ben Hoggar.

Gdy dwaj przyjaciele zmieszali się z gromadą ludzi, Soff szepnął swemu towarzyszowi do ucha:

— No, już wielki czas, aby Abd stał się prawdziwym „abdem”! *). Teraz ja wgramolę się na szkarpę, a ty będziesz ją prowadził za uzdę i drogę torował w tłumie dla mnie, potężnego i znakomitego zaklinacza. Zaczynaj!

Ras otrząsnął się z ponurzych, dręczących myśli i, skinąwszy głową, ujął konia za uzdę.

Właśnie doganiali gromadę pielgrzymów. Szli ze śpiewami i poprzedzającą ich orkiestrą, złożoną z drabów, zamasyście bijących w bębny i dmących w drewniane, ogłuszające piszczałki.

— Rozstąpcie się, mumeni! — zaczął góral. — Oto ja, niegodny swego pana abd — niewolnik, oznajmiam wam — rozstąpcie się. Spójrzcie na wspaniałego sidi, siedzącego na koniu, którego prowadzę. To — Soff! Kto nie zna Soffa potężnego, Soffa — oblubieńca Allaha, Soffa — władcę jadowitych płaskogłowych „bham” i śmierć zadających naja? To jest Soff — wielki pogromca dżinnów wężowej śmierci, Soff — Przyjaciel i Opiekun ludzkości, przewodników i poganiaczy karawan, pielgrzymów, przecinających bezludne, przez dżinnów opanowane pustkowia! Rozstąpcie się, mumeni, przed panem moim, potężnym pogromcą węży — sidi Soff.

Tłum zeszedł z drogi, z obawą patrząc na wiszące przy siodle koszyki, pełne jadowitych

*) Abd — niewolnik.

gadów, i na wyniosłą, dumną postać zaklinacza, podobną do tyki, wbitej w grzbiet wierzchowca.

— Przepięknie śpiewałeś na moją cześć, Abd, — mrucała, zabawnie zezując oczami, Soff. — Szczególnie udało ci się o tym potężnym pogromcy wężów! Bardzo to imponujące!

— Mówiłem to z głębi serca, — odparł, uśmiechając się Ras, — bo właśnie przypomniałem sobie, jakieś zmykała, gdy schwytałem naja w górach. Pamiętasz?

— Ach ty, młody byku... — zaczął, cichosmiejąc się zaklinacz.

— Co powiedziałeś? — zapytał Ras i mocno uszczypnął towarzysza w suchą, jak wyrażona przy ogniu szczapa, łydkę.

— Nic! Nic! To tylko przez żart — zawała Soff, pocierając nogę. — No, ale wjeżdżamy już do miasta.

Na prawo od drogi, Ras ujrzał wysoki różowy mur, ze wspaniałymi koronami palm, rosnących za nim. Był to ogród sułtański — piękny Aguedal, duma Marrakeszu i źródło dochodów wielkiego kaida i baszy Glaui. On to dzierżawił te obszary, porosłe palmami daktylowemi, drzewami oliwnemi, granatowemi, pomarańczowemi i cytrynowemi z rozrzuconemi w ich cieniu plantacjami wina, henny, tytoniu i kwadratami pól, zasianych pszenicą i jęczmieniem.

Przez otwartą bramę weszli do starej dzielnicy Medina, długo błąkali się w labiryncie powarjowanych, pokrzyżowanych uliczek, zaúlków, załamań murów i ciemnych przejść.

— Stój! — zawała naraz Soff. — Jesteśmy w domu!

— W domu? — pomyślał góral i smutek ściąsnął mu serce. — Nie mam już domu! Cały świat

stoi otworem przedemną i nigdzie niema mojego domu. Jestem teraz włóczęgą, przybyszem, gościem wszędzie i ciągle...

Coś zdusiło mu gardło i zmusiło przymrużyć oczy, jakby ktoś cisnął mu w twarz suchego piasku.

— Stój! — powtórzył Soff.

Ras obejrzał się. Stali w ślepej uliczce przy niskiej bramie długiego budynku, skąd wyrywały się głuchy gwar, niby z ula, pełnego zaniepokojonych pszczół.

— To „fonduk” *) mego przyjaciela—Ed-Ksel—objaśnił zaklinacz. — Wal w bramę z całej siły i wołaj: „Otwórzcie, to Soff przyjechał!”

Góral zaczął bić pięściami i nogami w bramę i krzyczeć na całe gardło.

Wkrótce otworzono furtkę i z fonduku wyszedł opasły murzyn, o kędzierzawych kudłach i obwistych, grubych, zupełnie sinych wargach.

Mrużąc oczy, drwiącym głosem zapytał:

— Cóż się tak ciskasz, kiju bambusowy, palu nieociosany? Myślałem, że sam wielki wezir zawitał do mnie...

— Tak, to ja, najpiękniejszy z murzynów Sudanu i najpotworniejsza poczwaro w Mahrebie, to ja, czarny strachu na wróble i szpaki, to ja — Soff, twój przyjaciel i dobroczyńca — rzekł piszącym falsetem Soff.

— Ładny mi przyjaciel, ty potrzaskany flesiel — odparł właściciel zajazdu. — Ulotniłeś się i nie zapłaciłeś siedmiu franków za żarcie i za nalewanie swoich długich flaków moją herbatą i kawą.

— Masz dobrą pamięć, mój prześliczny chłopaku, — zaśmiała się zaklinacz — i zdolność do do-

*) Zajazd, karczma, hotel tubylczy.

dawania. Nie siedem, ale sześć franków, ale to się ureguluje, ureguluje...

Mówiąc to, Soff zeskoczył z konia i po chwili zaczął się całować z murzynem, jak gdyby nic pomiędzy nimi nie zaszło.

— Niewolniku! — rzekł Soff do Rasa.— Wprowadź i rozsiodłaj konia, a później przychodź na wieczerzę. Ręczę ci, że będziemy mieli dobrą wyżerkę, bo dziś funduje sam piękny, dobrotliwy i gościnny Ed-Ksel.

— Stul pysk, trąbo! — mruczał murzin, śmiejąc się i otwierając bramę.

Ras rozsiodłał konia i postawił go we wskażanem przez gospodarza miejscu. Zabrawszy ze sobą siodło i pięć koszyków, błakał się po obszernym dziedzińcu, szukając Soffa.

Tymczasem rozglądał się z ciekawością po fonduku. Był to duży kwadratowy budynek, otaczający ze wszystkich stron plac, zatłoczony leżącymi wielbłądami i mułami, uwiązanymi do palów i przeciagniętych przez podwórze sznurów; osły okaleczone od rzemieni, ciężkich worów i od nielitościowych razów poganiaczy, stały z opuszczonimi głowami i leniwie przeżuwały obrok; błakały się wszędzie ponure, zgłodniałe psy, biegały kury i z łopotem skrzydeł co chwila spadały z dachu czeredą białych gołębi. Berberowie i Arabowie oglądali stadko pięknych baranów, stłoczonych w osobnym ogrodzeniu ze sznurów, i rozprawiali o cenie wełny, skóry i mięsa. W dalszym kącie leżały zwalone wory z jęczmieniem i duże bele wełny, zaszytej w grubą tkaninę o czerwonych i żółtych pasach.

Jakiś Berber siedział z głową, pokrytą turbanem z mydła, a golarz, gadając bez przerwy, skrobał mu czaszkę szeroką i tępa brzytwą, nie zwracając żadnej uwagi na wykrzywioną z bólu twarz

klienta i jego głośne i niecierpliwe wykrzykniки. Kilku małych chłopaków plotło powrozy z konopi i długich pasem suchej trawy alfa; dwie stare kobiety, podkasawszy koszule wyżej kolan, szerokiemi nożami ścinały ze świezo zdartej skóry wołowej resztki mięsa i tłuszczu; chodził powolnym krokiem, wykrzykując i dzwoniąc w przeraźliwy dzwonek i blaszane kubki, handlarz wodą, noszący ją w worku, uszytym ze skóry koziej, włosiem nazewnatrz. Lecz tu na dziedzińcu fonduka było stosunkowo cicho i tylko czasami zaczynały jękliwie lkać zmordowane, głodne wielbłady lub ryczały, niby wołając o pomoc, zawsze ponure muły.

Gwar płynął z małych izb, których drzwi wychodziły wprost na podwórze, i z galerji na piętrze, gdzie Ras spostrzegł szereg wejść, ukrytych za poruszanymi wiatrem brudnemi płachtami... Tysiące dźwięków czyniły ten niemilknący, pomieszany i pogmatwany gwar i huczenie. Cienkie zawodzenie modlących się pątników, odbywających religijną pielgrzymkę do świętych dla muzułmanina miejsc, odgłosy trąb, klarnetów i bębenków orkiestry, prowadzającej „hadżów” *); kłótliwe głosy graczy w karty, kości i warcaby, niezrozumiałe wykrzykniki, półobłędne i dzikie, przejmujące Rasa lękiem i odrazą; przeciągłe, ponure pienia niewidzialnych kobiet, klaskanie kastanjet, tupot tańczących nóg i skoczne tony fletu i tamburynów; jeki i skamienia meskinów **); brzęk naczynia, śmiechy, plusk wylewanej wody i łoskot rzucanych ciężarów...

Góral był oszołomiony i ogłuszony.

Szukając swego towarzysza, zaglądał do izb, wychodzących na podwórze, i wtedy dopiero zro-

*) Muzułmanin, odbywający podróż do Mekki.

**) Żebraków.

zumiał źródło niezrozumiałych okrzyków i dźwięków. W niektórych izbach w obłokach dymu grano w różne gry hazardowne, tracąc tu nieraz cały zarbek, zdobyty wielkim wysiłkiem i ciężkimi trudami, gdyż dlatego, aby dojść do tego brudnego, cuchnącego i zgiełkliwego fonduka, ludzie musieli w ciągu kilku miesięcy prażyć się na wściekłym skwarze płonącego słońca, przeciąć Tanezruft, tę „pustynię pragnienia i strachu”, walczyć z simun'em *), ryzykować życiem przy spotkaniu się z rogatą wiperą, czającą się w piasku, lub z napadającymi na karawany bandami niepodległych koczowników berberyjskich i wojskowych Tuaregów; ginąć z braku wody, lub przy zatrutych źródłach w pustyni, walczyć z głodem, obłędem i chorobami—temi widmami bezgranicznych, martwych przestworów Sahary. W innych ciemnych, ponurzych skrytkach czaili się, pędzili nędzny żywot i umierali nałogowcy — palacze „kifu”, tego stęzałego na powietrzu lekkiego płynu, który wycieka z konopi indyjskich a zawiera w sobie straszliwą truciznę, nazywaną przez Hindusów „haszyszem”, a przez Arabów — „kifem”. Dym i opary tej trucizny szybko zabijają wolę i mózg palaczy, burzą cały organizm, powodują obłęd, paraliż i śmierć, która przychodzi niespodziewanie, do niektórych po kilku dniach, do innych — po długich latach, zmuszając nałogowców do przeżycia niewypowiedzianych katuszy, cierpień, upodlenia, zbrodni i nędzy bezgranicznej.

W najbrudniejszych i najohydniejszych norach gnieździli się meskini. Przeróżenie ogarnęło Rasa, gdy ujrzał kalectwo, ohydne rany, pełne robactwa, odpadające stopy, ręce i usta, zaognione, gnijące,

*) Simun lub samum — gorący wiatr pustyni, znany w Europie pod nazwą Sirokko.

ropiące się stawy, oczy i uszy; góral stał, przyłożony do ziemi widokiem cierpień i nędzy ludzkiej, i dopiero w kilka minut później zauważył obok męki — sztukę i oszukaństwo, bezczelne a pomyślowe, spostrzegł bowiem, jak ten i ów z meskinów wyprostowywał „sparaliżowane” członki, misternie związane i powyginane opaskami z prawie niewidzialnych włókien roślinnych; niemowy zaczynały mówić, ślepcy zdejmowali z oczu powłokę z rybiego pęcherza i wesoło a chytrze mrugali; nagle znikły odrażające rany i straszliwe blizny, zmywane wodą...

Ras zrozumiał, dlaczego, wobec istnienia fałszu i obłudy, tłum przechodniów zwykle obojętnie mijał żebraków, skamłujących o jałmużnę i bezczelnie wystawiających na widowisko swe kalectwo i choroby, nieraz potworne i zgrozą przejmujące.

Wstręt i pogarda zwalczyły współczucie dla tych biedaków, tych ptaków Allaha, co nie orzą, nie sieją, a plon obfitą zbierają, mając swoje chwile rozkoszy, radości i nawet szczęścia. Góral poszedł dalej i wkrótce znalazł Soffę, siedzącego w pokoju gospodarza. Złożył tu siodło i koszyk z wężami i ze szczurami i, obmywszy nogi i ręce, usiadł na poduszce przy małym stoliku, gdyż oczekiwano właśnie na posiłek.

Istotnie murzyn, nie bacząc na swoje drwiny i wymyślania, wystąpił ze wspaniałą ucztą. Po wymyciu przez gości i gospodarza rąk w miednicę, podanej przez jednego z usługujących robotników, przyniesiono baraninę z czerwonym kwaskowym sosem, suto zaprawionym figami i migdałami; usmażone w oliwie, niezwykle tłuste gołębie; „meszui,” czyli cały baran, pieczony na rożnie i nakoniec słodki „kuskus” — coś nakszałt włoskiego risotto z ryżu, drobno krajanego mięsa, oliwek, bakalij,

jaj i ziaren granatowych owoców. Ucztujący jedli wyłącznie trzema palcami prawej ręki, odrywając najsmaczniejsze kawałki i maczając rumiane placki „kaseras” w sosie i gorącej oliwie. Gdy się najedli, co wyrażali różnymi dźwiękami, przepisanemi przez wschodnią etykietę, gospodarz klasnął w dlonie. Zjawiło się dwóch służących: jeden niósł tacę z imbrykami, cukiernicą, snopkiem zielonej mięty i szklankami, drugi był mistrzem ceremonii. Zaparzył herbatę z miętą, obficie osłodziwszy, i z uprzejmym „selamem” podał każdemu szklankę gorącego, aromatycznego płynu. Soff i Ras chciwie pili ten ulubiony napój marokański, ciągnąc go przez zęby drobnymi łykami, głośno cmokając i wzdychając na znak zadowolenia.

Po posiłku murzyn zapalił fajkę z kifem i, zwracając się do Soffa, rzekł:

— Widzę, że wzbogaciłeś się, cienka drzazgo palmowa, bo nabyłeś nawet niewolnika?

— Przecież już powiedziałem ci, boski Ed Ksel, któryby był niezawodnie hurysą w raju, gdyby matka nie zrodziła cię mężczyzną, powiedziałem, że rachunek będzie załatwiony — rzekł, zezując straszliwie Soff.

— Nie o tem teraz mówię! — odparł murzyn. — Chcę wiedzieć, gdzieś go znalazł i co to za niewolnik, który wcale do niewolnika niepodobny?

— Chcesz zbyt dużo wiedzieć, rozkoszy moich oczu, nadobny Ed Ksel — zawałał, śmiejąc się Soff. — Czy ty posiadasz młyn wodny za murami Marrakeszu?

— Tak, posiadam, ale co to ma do rzeczy? — zdziwił się Ed Ksel.

— Owszem, ma! — zaśmiała się zaklinacz. — Gdy woda porusza koło twoego młyna, przecież nie pytasz, czy ta lub inną strugą wytrysnęła z fontan-

ny świątyni, czy przebiegała przez brudną „bled”**), też może dotknęła ciała zamordowanego człowieka lub innego padła? Czy zrozumiałeś mnie, Ed Ksel, ozdoba i dumo całego grodu?

— Mówisz przypowieściami, jak wędrowny **prorok** z sekty Haddaua **) — mruknął gospodarz. — Coprawda jesteś tak podony do proroka, ty zezujący bazyliszku, jak mój fonduk do Dar-el-Mahzen ***) sułtana...

— Lecz więcej niż ty — do człowieka... — przerwał mu Soff, szczypiąc go w ramię.

— Rozumiem, że w mieście bezpieczniej temu młodzieńcowi, niż gdzieś na wsi... — ciągnął murzyn.

— Mądry jesteś i domyślny! — zawała Soff. — Bo to widzisz, przyjacielu, gdy wpuszczę ci do kubła kroplę henny ****), woda stanie się szkarłatna i nie będziesz jej pił, lecz gdy wleję całą beczkę henny do rzeki, woda w niej nie zmieni barwy, i piękny Ed Ksel nie zauważyczy, że pije farbę...

— Ha! Ha! — zaryczał, trzęsąc się ze śmiechu, murzyn. — Znowu przypowieść! czy nie chcesz wykierować się na mułkę*****), czy nawet taleba*****)?

— Owszem! Ale wyłącznie dlatego, aby z dwóch krewnych wydusić sporo franków za twój pogrzeb! — odparł, klepiąc gospodarza po grubym karku, Soff.

*)) Wieś.

**) Sekta w Islamie. Wyznawcy jej trudnią się żebrawiną i lubią się w kotach i kozach.

***) Pałac.

****) Czerwony barwnik roślinny. — *Lausonia inermis*.

*****) Kapłan.

*****) Uczony kapłan.

Znowu wyciąłowali się w oba policzki i Ed Ksel wskazał im małą izbę dla nocnego spoczynku. Ras i zaklinacz szybko się rozlokowali i położyli na miękkich „diwanach” *). Soff ledwie wyszeptał: „Bismillah”... już zaczął chrapać, jak zagnany muł. Góral leżał z otwartymi oczami, zasłuchany w dochodzące zewsząd dźwięki, szmery, krzyki, świadczące o życiu, wrzeciem tuż za cienką ścianą izby i lekką tkaniną, zastępującą drzwi. Najprzód doszły go cienki, żałosny pisk i cykanie skazanych na pożarcie, a związanych i umieszczonych w worku, szczurów i myszy, cichy szmer czołgających się w koszu węży, głośne chrapanie i senne mamrotańie Soffa, a później — odgłosy muzyki i tańców, przeraźliwe, dzikie okrzyki kobiet, klaskanie kasztanet, wrzaski włóczęcych się gości i głuchy gwar miasta, dochodzący z daleka, a potężny i groźny.

Ras kręcił się na swem posłaniu, lecz sen nie przychodził. Góral słyszał wszystko, co się dokoła działo, lecz myślą odbiegał co chwila w góry, tam, gdzie wśród dwóch wysokich grzbietów z łoskotem i pluskiem biegł potok, pokryty wirami i pianą, z dużą, starą kasbą, stojącą na jego wysokim, urwistym brzegu.

Była to siedziba jego przodków i w niej on — Ras ben Hoggar urodził się i tu założył własne gniazdo, opromienione przez piękną, dumną Czar Azisa. Co robi w tej chwili umiłowana żona, czy myśli o nim, teskni w trwodze i trosce o męża? Niech tylko nie płacze, aby nie zgasły jej oczy płomienne, jak gwiazdy! Nie potrafił on, Ras ben Hoggar, otoczyć żony opieką i bogactwem... Z pewnością Azisa czuje do niego urazę, może nawet pogardę? O, zaczekaj trochę, ukochana! Przeminie

*) Gruby materac.

**ciężki czas, zdobędę bogactwo, znajdę bezpieczne
miejsce, znowu szczęście wstąpi pod naszą strzechę
i zapłonie ognisko, uświęcone przez ciebie, miłości,
pragnienie duszy Rasa! Cierpliwości! Cierpliwości!**

Wił się jak wąż, biedny, zrozpaczony góral na posłaniu, a sen odbiegał powiek, zmuszając leżącego człowieka szeroko otwierać oczy i uporczywie wpatrywać się w nocny mrok, jak gdyby tam miały się ukazać drogi przeznaczenia. Lecz Ras nic nie dojrzał w ciemności, tylko przeróżne odgłosy wdzięrały się do izby i tukły się, jak natrętne, zблąkane bąki pod pułapem i po kątach izby...

Góral wstał i wyszedł na podwórze. Świeży powiew od gór orzeźwił go i przywiódł do równowagi. Wtłoczywszy głębiej ból i tęsknotę serca, Ras zaczął zaglądać do izb. Ujrzał nocne życie fonduka.

Na dziedzińcu nie było nikogo. Wszystkie zwierzęta: wielbłądy, muły, konie i osły, nawet barany pokładły się i spały. Zrzadka tylko rozlegały się ich ciężkie westchnienia, — ta oznaka znużenia lub cierpienia, głębokiego, a niemego.

Zato w kilku izbach goście hotelowi nie spali.

Grano w karty, kości, maurytańskie warcaby, a hazard wzrastał z każdą późniejszą godziną nocną. Jeden z właścicieli wielbładów karawanowych przegrywał, klnąc i ciskając się na swych przeciwników. Przegrał prawie wszystkie zwierzęta i gdyby stracił tej nocy resztę, musiałby zostać poganiaczem wielbładów u innego właściciela, albo nawet przestać na abda, czyli niewolnika u jakiegoś bogacza. Wiedział to gracz, lecz, wierząc w przeznaczenie, grał dalej. Oczy mu tylko pałały i kurcz ściskał gardło zimnemi kleszczami. Nie porzucał gry, klnąc, modląc się do Allaha, mrucząc zaklęcia, dotykając

talizmanów, wiszących na piersi, robił jakieś tajemnicze znaki nad kartami — i przegrywał.

— Głipi jesteś, głipi i szalony — zauważył, pochylając się ku niemu jeden z graczy. — Rzuć grę, bo stracisz wszystko, dziś nie masz szczęścia...

— Milcz! — odparł przegrywający Berber. — Mam jeszcze co postawić na kartę po wielbłądach...

— A co? zapytał z ciekawością Arab, który najwięcej wygrał.

— Ulubioną niewołnicę, piękną i namiętną. Śpiewa i tańczy ta dziewczyna, jak hurysa, i warta jest pięćdziesięciu wielbłądów z uprzężą — mruknął nieszczęśliwy gracz.

— Drgo... — odpowiedział mu Arab. — Zbyt drogo!

— Niel! — krzyknął Berber. — Ajszusz jest taką kobietą, że będziesz padał przed nią na kolana i ślady jej stóp całował. O, Ajszusz! Niewołnica, a potężniejsza i moźniejsza od królowej! W oczy jej będziesz patrzał i czekał, czekał na jej skinienie, jak na łaskę Allahal...

— Tak, jak Czar Aziza... — pomyślał Ras i tęsknota za żoną znowu przeszyla mu serce i mózg...

— Gdy ją przegram, postawię... żonę! — wszasnął nagle Berber, z rozpaczą waląc pięścią w posłanie, na którym leżały karty i kości. — Rozumiesz, ty, Heddad ben Heddad, *) stawiam żonę, a kto w Sale **) nie zna Rusma, żony Ibrahima el Andaloci. Jest wzorem cnót, piękności, rozumu i płodności. Posiada siłę kahina ***) i złe duchy — dżin-

*) Obrażający honor Berbera i Araba przydomek; ciężka obelga — „kowal, syn kowala.”

**) Miasto na brzegu Atlantyku.

***) Wyrocznia.

ny cofają się na jej widok, gdyż pełna jest dobroci i czystości serca...

Coś porwało Rasa. Ścisając pięści i zgrzytając zębami, stanął przed niefortunnym graczem i jał wyrzucać słowo po słowie, zaglądając mu w oczy.

— Jesteś wieprz nieczysty... Jesteś synem, wnukiem i prawnukiem kowala... Jesteś ohydny, jak rozwścieczony bazyliszek... Jesteś tchórzliwym szakalem... Jesteś... jesteś... skoro żonę zamierzasz stawiać na kartę, jak owcę lub wielbłąda. Pluńcie w oczy temu człowiekowi, mumeni, i pozostawcie go, gdyż przy nim widzę mściwych dżinnów obłędu...

Wszyscy porwali się w przerażeniu ze swych miejsc i jeden po drugim wymykali się z izby.

Pozostał tylko Berber. Z trudem podniósł się z posłania i podszedł do Rasa.

— Ktoś ty? — szepnął.

— Jestem Abd, zaklinacz wężów! — odpowiedział Ras.

— Jesteś jasnowidzącym, może marabutem *), posiadającym siłę „tasaruf” **) — wyszeptał Berber. Ujrzałeś to, co czuję od kilku lat. Dżinny co rok rzucają na mnie obłęd gry. Czuję to, a walczyć nie mogę. Ratuj!

Berber upadł Rasowi do nóg i ucałował pole jego burnusa.

Ras zamyslił się, lecz po chwili rzekł:

— W imię Allaha — groźnego Sędziego, przewij teraz grę, a pomnij o żonie swojej, która, jakęś rzekł, jest czarą, pełną cnót. Oddać ją możesz dopiero, gdy serce ci bić przestanie w piersi, gdy dusza opuści ciało! Idź w spokoju, w imię Allaha!

*) Żyjący święty.

**) Władza nad siłami natury.

— Lecz ja przegrałem wszystko! — zawała Berber, łamiąc sobie ręce w rozpacz. — Muszę się odegrać, lub poderżnę sobie gardło...

— Idź! — rozkazał Ras. — Resztę ja załatwię!

— Czyje imię mam wspominać podczas modłów o wschodzie i zachodzie słońca? — nieśmiały głosem pytał Berber.

Ras znowu się zamyslił. Chciał powiedzieć swoje prawdziwe imię, gdyż wiedział, że modlitwa za niego miałaby w takich warunkach posłuch u Allah, lecz obawiał się zdradzić, więc odpowiedział:

— Dziękuję ci, Ibrahimie el Andaloci, za dobre chęci, lecz mów tak: „Allah Muntakim*), spraw, aby zapłonęło ognisko twego Abda!”

— Uczynię, jak rozkazałeś, Sidi! — zawała nisko się kłaniając, Berber i wyszedł.

Za nim podążył Ras. Na dziedzińcu tłoczyli się wylękli gracze. Nikt z nich nie podszedł i nie przemówił do przechodzącego Berbera. Patrzyli za nim i milczeli, objęci lękiem przed złemi dżinnami.

— Mumeni! — zwrócił się do nich Ras. — Z rozkazu Allah, który poniża i wywyższa, odwołałem dżinnów od tego człowieka. Odleciały i teraz zgromadziły się przy majątkości jego, czyhając na nowe ofiary. Strzeżcie się, mumeni, dotknąć rzeczy, należącej do Ibrahima el Andaloci!

— Już ja tam wygranych wielbłądów Ibrahima wyrzekam się! — zawała Arab, szepcząc zaklęcie.

— Życie i zdrowie droższe od bogactwa! — dodał drugi. — Nie chcę brać swej części. Niech pozostaje przy Ibrahimie!

*) Mściciel.

— Sprawiedliwe jest postanowienie wasze, mumeni! — rzekł Ras. — Niech Allah ma was w swej opiece!

— Allah niech będzie z tobą! — odpowiedzieli chorem uspokojeni gracze. Ras szedł tymczasem dalej. Krętymi schodami wszedł na piętro, gdzie na krytą galerię wychodziły, zawieszone kawałkami barwnych tkanin, drzwi.

Odchylił zaslonę i wszedł do obszernej hali, skąd wyrywały się okrzyki kobiet, odgłosy muzyki i kastanjet i tupot tańczących nóg. W izbie było prawie zupełnie ciemno, gdyż napełniały ją obłoki dymu tytoniowego. Czerwonemi płomykami paliły się w kilku miejscach małe lampki, napełnione łożem baranim lub oliwą.

Ras z trudem rozglądał się dokoła. Kilku drobnych przekupniów, poganiaczy wielbłądów i przewodników karawan siedziało na słomianych matach, piło herbatę i kawę, paliło i przyglądało się tańczącym kobietom.

Były to tancerki z różnych szczepów, stare i młode, brzydkie i straszne, jak wiedźmy, lecz były też zgrabne, piękne i ponętne. Na zmianę pod dźwięki tamburinów, bębenków i fletów, wykonywały tańce, które spotkać można na całej przestrzeni północno-afrykańskiej — od Czerwonego morza i do Atlantyku. Były to tańce, pozostałe z dawnych, pogańskich kultów, tańce heroiczne, historyczne, lubieżne lub pełne smętnego i ponurego rytmu, raczej do misterium nocnego podobne.

Niektóre z kobiet tańczyły w pstrych łachmanach, pobrzękując mosiężnymi świecidełkami na piersiach, rękach i nogach. Z tych łachmanów wyglądały im chude, czarne biodra i ramiona, wynędzniałe piersi, płonęły na zniszczonych twarzach obłędne, odurzone kifem i tanecznym wirem czarne

oczy. Przy szybszych zwrotach i skokach tancerki wydawały nierzaz bolesne jęki i ciężkie westchnienia, gdyż były zmęczone, zboalałe i schorowane, były jednak niewolnicami w ręku przedsiębiorcy i musiały spełniać jego rozkazy do ostatniego tchu, do chwili skonania na brudnej macie, lub na śmietniku, ponieważ nie było na całym świecie istoty, która zechciałaby obronić je, zaopiekować się niemi i dojrzeć w nich człowieka.

Inne, młodsze, ładniejsze tańczyły nago.

W półmroku i w niepewnych błyskach, poruszających się ciągle języków kopiących lamppek, wirowały one przed oczami, jak widma, jak korowody piekielnych zjaw, majaczyły przez chwilę kształtami bioder i nagich ramion, czasami goręcej błyskały omdlewającymi oczami, zuchwale i lubieżnie nęciły młodemi piersiami, lecz nagle znikały w kłębach dymu, w gęstych cieniach, czających się wszędzie. Wtedy w ciemności coś się miotać zaczynało i kłębić, jak gdyby walkę toczyły ze sobą jakieś nieznane, a straszne potwory nocne. Zbliżając się do miejsc oświetlonych, te kłębiące się widma przybierały ludzkie kształty, formy kobiet starych, schorowanych, ohydnych w ruchach, rozpustnych i wyuzdanych, lub stawały się młodemi, wiotkimi, niewieściemi ciałami, ponętnemi w wężowych przećiwiach, w szalonych splotach ramion, w półprzytomnych, prawie nieludzkich skokach.

Od czasu do czasu ktoś z widzów wykrzykiwał imię tancerki i ta pokorna i szczęśliwa podchodziła i siadała obok, dysząc ciężko i oczekując rozkazu. Karmiona kobiety łakociami i owocami, pojono kawą i herbatą, częstowano papierosami i kifem, poczem gość i jego niewolnica, jego własność na jedną noc, znikali za brudną kotarą barłogu gdzie pędziły życie tancerki — niewolnice, niewinn

roznosicielki najstraszliwszych chorób i szaleństw, dziesiątkujących ludność krajów muzułmańskich.

Zmęczony, odurzony i pełen niejasnego jeszcze rozgoryczenia, wstrętu i niemal nienawiści, Ras powrócił do siebie i rzucił się na posłanie obok chrąpiącego Soffa. Wkrótce zapadł w ciężki sen, lecz miotał się, krzyczał, groził komuś niewidzialnemu i nieznanemu, który tyle nędzy i rozpaczliwy rzucił na ziemię. Ras obudził się o wschodzie słońca z ciężką głową i niewysłowionym smutkiem w sercu.

Nic nie mówiąc do Soffa, zaczął się gorąco, namiętnie modlić, lecz wkrótce myśl jego pobiegła do Aziza, przypomniał sobie bowiem tańczące kobietę ubiegłej nocy, ich omdlewające ruchy i znękanie oczy, usłyszał ich krzyki, jęki i beznadziejne westchnienia i skwapliwie, aby o niczem nie myśleć, zabrał się do roboty. Nakarmił węże, wyszorował koszyki, związał i wpakował do worka świeżo nabycie przez Soffa od chłopaków myszy i dopiero wtedy posilił się i spytał towarzysza:

— Czy teraz pójdziemy do miasta?

— Natychmiast! — odparł Soff wesołym głosem. — Bądź gotów za chwilę.

ROZDZIAŁ VI.

W morzu ludzkiem

W pół godziny później Soff przedzierał się przez gęsty, rozbawiony tłum, zalegający plac Djeema el Fna, stanowiący serce, mózg i żołądek Marrakeszu. Za nim, obładowany koszykami z nakarmionemi do nieprzytomności wężami, postępował Ras, z ciekawością rozglądający się dokoła. Dla bezpieczeństwa, aby górala nie poznano, zaklinacz jemu tylko znanym sposobem zrobił na twarzy towarzysza kilka straszliwych blizn, sinych i szkarłatnych, niby dopiero wczoraj zadanych uderzeniem noża.

Ludzie wezbranym potokiem rozlewali się z jednego końca olbrzymiego placu na drugi. Francuscy żołnierze i cywile, Arabowie z Algeru, Berberowie różnych szczeprów, żydzi w czarnych barreta *) na głowach, nomady z Sahary i ze stepów wysokich płaskowyżów, meskini, sztukmistrze, fałszywi prorocy, mokkademy **) różnych sekt i bractw religijnych, drobni przekupnie, wróżbiarze, ścigani przez władze francuskie „hakimy” czyli znachory i cza-

*) Czapczka, noszona na wierzchołku głowy.

**) Mokcadem — przełożony.

rownicy, ludowi pieśniarze, tancerze i tancerki, zebrani z całego Mahrebu, przyjezdni „hadż”, dążący do świętej Mekki, ludzie nieznanego pochodzenia i tajemniczych zawodów,—wszystkich tych osobników spotkać można było na placu Dżema el Fna, zalonym potokami palącego słońca.

Ras oczy szeroko otwierał, przyglądając się tłumowi, tracąc głowę w ciżbie i zgiełku ludzkim, w wichurze krzyków, nawoływań i śmiechu. Zato Soff czuł się, jak ryba w wodzie. Co chwila wykrzykiwał czyjeś imię i już się witał, ściskając się, opowiadał, wypytywał i dowcipkował, wywracając swoje zezowate oczy. Już przy końcu placu spotkał poważnego Berbera o kruczej brodzie, spadającej na biały burnus. Ujrzał go, Soff nisko sklonił się przed nim, dotykając czołem jego kolan i powtarzając raz po raz:

— Salem alejkum *), czcigodny, miły Allahowi, sidi Szorf ben Ihudi!

Berber położył rękę na pochylonej przed nim głowie zaklinacza i rzekł:

— Bądź pozdrowiony, przyjacielu, pozdrowiony imieniem Allaha. Niech Przedwieczny dopomoże ci w tych cnotliwych zamiarach!

— O, sidi! — zawała zaklinacz. — Zamiary moje są zawsze cnotliwe! Zarobić trochę grosza, za co codziennie powtarzam głośno dziewięćdziesiąt dziewięć imion Allaha i chwałę proroka naszego Mahomeda. Czy jest co nowego, że widzę ciebie, sidi, w Marrakeszu?

— Przybyłem z daleka, bo mam tu pewne zamiary! — odpowiedział Szorf, tajemniczo się uśmiechając.

*) Arabskie pozdrowienie.

— Czy znowu? — pytał zaklinacz, z ciekawością wyciągając szyję.

— Tak! — kiwnął głową Ihudi i, odprowadziszy Soffa na stronę, długo szeptał mu coś do ucha.

Nareszcie stary wyga pożegnał swego znajomego i rzekł do Rasa:

— To — święty człowiek, marabut z Bu-Saada, trudni się poszukiwaniem ukrytych skarbów. Znam go oddawna. Święty to, lecz bardzo pomysłowy i uczony człowiek. Ale dobra nasza! Sidi Szorf ben Ihudi powiedział mi, że w Marrakeszu pozostało zaledwie dwóch zaklinaczy, ale i tym węże zdychają, jak muchy. Wkrótce pozostaniemy tylko my! Zarobimy sobie! Będę ci płacił piątą część zysków, karmił i dawał mieszkanie. Zgoda?

— Zgoda! — powiedział Ras. — A kiedyż zaczniemy nasze sztuki?

— Po południu, przyjacielu, gdy skwar będzie mniej dolegał, a ludziska dłużej się gapią, — objął zaklinacz. — Teraz pójdziemy, pokażę ci miasto.

Zaglębili się w labirynt wąskich, pogmatwanych uliczek dzielnicy Medina, natłoczonych i zgiełkliwych. Były to handlowe uliczki, tak zwane „suk”, a wychodzące na małe placyki — „kisaria”, otoczone straganami i sklepikami. Stosy wymalowanej w jaskrawe kolory wełny, żółtych pantofli — „babusz”. poduszek z haftowanej złotem i srebrem skóry, owoców, jarzyn wszelkiego rodzaju i wszystkich barw, tkanin, surowych skór, naczynia — wznosiły się wszędzie. Połyskiwały krzywe „kumia” — noże góralskie w pięknych, mosiężnych, cyzelowanych pochwach; lśniły się ciężkie, wspaniałe bransoletki, kolczyki, kolce i inne klejnoty berberyjskie z miedzi i srebra; były w oczy pęki różnobarwnych wstążek, korali i haftów; czerwone i żółte świece ofiarne paliły się w gębi niektórych sklepików i sączały

nikłą woń santalu; niby kupy złotych ziaren wznośły się całe góry daktyli; tłumy cisnęły się do sklepików z lekami i magicznemi ziołkami i proszkami; były tu henna, tagandin, kerbiuna, harmel, rośliny używane na przyrządzenie talizmanów i amuletów, suszone oczy kogutów, żółć kotów, mózg małp, używane w praktykach magicznych; obok w słoikach, szklanych i brązowych flaszkach stały ulubione wschodnie wonności, a więc indyjski nard, olejek różany i geranjowy, piżmo, mirra, kamfora, ambra i szafran, których zapach nietylko sprawia rozkosz powonieniu, lecz odpędza dżinnów niektórych chorób.

Ludzie tłoczyli się dokoła, z lękiem i podziwem patrząc na tyle tajemniczych rzeczy i słuchając gadającego bez przerwy kupca. Ten zaś niczego nie zachwalał, niczego nie proponował, tylko gadał, ale gadał bardzo chytrze.

— To jest harmel, — mówił — mała rzecz, a jak silna! Dość kupić go za pół franka, a już odgania dżinnów bezsennych nocy, gniotujące piersi zmory i tęsknoty. A to znów olejek różany, czyniący dziewczynę piękną i pociągającą do siebie mężczynę, niby kwiat morelowy, zwabiający pszczoły. Nikomu niepotrzebny płyn, — sok aloesu — a tymczasem mądry Ibn el Hadżdż wykrył, że, okadzone parą tego soku, złe duchy zaczynają służyć człowiekowi, jak niewolnicy...

Franki sypały się do torby handlarza, a flaszeczki i pudełeczka z wonnościami przechodziły do rąk oglupiających gapiów, biedaków zabobonnych i ciemnych, jak noc jesienna.

Ludzie kupowali i sprzedawali, oszukiwali i dawali się oglupiać i oszukiwać, gapili się, zachwycali, podziwiali i, nęceni jaskrawością barw i połyskiem towarów, odpinali torby, wiszące na pasach i wyciągali ciężką pracę zdobyte monety, płacąc je

kupcom berberyjskim, arabskim i żydowskim, lub kuglarzom i oszukańcom, bałamującym tłum tajemniczością i magiczną siłą nieznanych i nikomu niepotrzebnych ziołek, proszków i olejków. Pachniały wonności, mieszając swój aromat z zapachem zielonej mięty i palonej kawy, z cuchnącemi wyzewami niewyprawionej skóry, zgorzkniałego łoju, przypalonej oliwy i cebuli.

Zaklinacz oprowadził po tej dzielnicy Medina swego towarzysza, pokazywał mu sklepy, składy handlowe, piękne meczety i medersa, cudotwórcze studnie i fontanny, natłoczone ludźmi jadłodajnie i kawiarnie, tajne palarnie „kifu”, barłogi, gdzie się gnieździli meskini, włóczęgi, wysłańcy różnych przeszładowanych sekt, mężczyźni i kobiety, należący do pogardzonych, lecz jednocześnie otoczonych mistycznym lękiem, szczepów Mlaina, Zkara i Ghenanema, jacyś przechodnie, nikomu nieznani, milczący i czujni, o zagadkowych, podejrzliwych wejrzeniach.

Zwiedziwszy wszystko i zajrzawszy wszędzie, Soff krzywemi uliczkami wyprowadził Rasa do nowej dzielnicy — Gheliz, gdzie za wysokimi murami, wśród lasu palmowego tonęły w zieleni domy bogatych kupców i arystokratów, przybywających tu na lato z Fezu, Rabatu i Sale; dokoła tych posiadłości, wśród palm o zwisających szkarłatnych lub złotych okiściach daktyli, były rozrzucone wille Francuzów i malowniczy „hotel Baszy”; tu asfaltowanemi jezdiami biegły, połyskując szkłami i miedzą, żwawe, niby stale zakłopotane i spieszające się samochody, rycząc, hucząc i gwiżdząc gniewnie lub łagodnie i ostrzegawczo.

Przyjaciele przeszli cały Gheliz i przy wejściu do starej dzielnicy zatrzymali się przed wspaniałym minaretem.

Była to kwadratowa wieża, ozdobiona piękną, błyszczącą i barwną mozaiką. Na szczycie świeciły się i połyskiwały trzy duże, złociste kule, dokoła nich latały, do białych obłoczków podobne, gołębie i czarne, niby kamienie, ciskane niewidzialną ręką, szpaki.

— Stojmy przed meczetem i minaretem Kutubia! — zawała z zachwytem w głosie Soff. — Potężny sułtan Jakub el Mansur *), który panował nad całym Mahrebem, siedząc na tronie swoim w Hiszpanji, kazał wznieść ten minaret swemu ulubionemu budowniczemu, gdy ten skończył piękną wieżę Dżirralda w Sewilli. Dostojna małżonka sułtana ofiarowała swoje klejnoty, aby włożono je do szczerozłotych kul na wierzchołku minaretu z zaklęciem, które znała ta kobieta, pochodząca z dalekiej krainy Mzab. Od tej pory dżinny mają tam na szczycie baszty swoją siedzibę i bronią skarbów, ochraniając całą świątynię od wężów i złego oka. Nawet „naja” nie może zaszkodzić człowiekowi, który znajduje się w meczecie Kutubia...

Długo jeszcze opowiadał Soff swemu towarzyszowi o Kutubia, owianej staremi legendami i tajemniczymi gadkami ludowemi.

Po zwiedzeniu wspaniałej świątyni przyjaciele wpadli do fonduka, posiliły się i znowu wyszli na miasto.

— Zaczynamy interes! — mruczał Soff, mrużąc swoje zezowate oczy. Oby Allah dopomógł nam! Nie zapomnij nałożyć na piersi talizmanu, który ci zalecałem.

W pobliżu Dżema el Fna towarzysze się rozmawiali. Ras, obładowany koszami z wężami, poszedł dalej sam, od czasu do czasu uderzając w duży

*) Zdobywca.

tamburyn. Przechodnie oglądali się za nim z szacunkiem na twarzach i z pewną obawą. Nauczony przez zaklinacza, Ras wybrał na środku placu dobre miejsce, złożył tu swoje koszyki, usiadł na ziemi i, uderzając w tamburyn, wykrzykiwał donośnym głosem, który jeszcze tak niedawno podchwytywany przez ochocze, skwapliwe echo, swobodnie rozbrzmiewał w rodzinnych górach.

— Oto ja, niewolnik mego umiłowanego pana, potężnego i wspaniałomyślnego Soffa - Zaklinacza, Soffa-Hakim, Soffa-Kahina, oznajmiam na cztery strony świata, wszystkim razem i każdemu z osobna, że pan mój Soff przybywa tu za chwilę i dowiedzie swej siły nad dzikiemi, wściekłemi wężami, jakich jeszcze nigdy nie widział to miasto!

Dokoła górala zaczął się gromadzić tłum, łakomy widowiska i zaciekawiony szumnemi obietnicami niewolnika, oraz wspaniałemi tytułami, którymi Ras szczodrzej obdarzał zaklinacza.

Po chwili około stu tubylców już otaczało Rasa. Widząc to, góral odrzucił tamburyn i wyjął z koszyka kilka dużych, lecz nieszkodliwych wężów, i zaczął obwiązać sobie niemi głowę, szyję i ręce, ciskając je pogardliwie na ziemię. Wreszcie z innego koszyka Ras wydobył wiperę i rzucił ją na rozpaloną od słońca ziemię. Wypchany szczurami do samego gardła płaz, wyciągnął się i leżał nieruchomo, położywszy na piasku swoją płaską, złośliwą głowę z niemrugającymi, zawsze wściekłemi oczami.

Ras wziął wiperę w ręce i zapomocą cienkiego pręcika zmusił żmiję do otworzenia paszczy i ukazania jadowitych kłów, z sączącą się z nich trującą cieczą. W międzyczasie góral wciąż gadał, barwnie opisując złośliwość niebezpiecznego węża i magiczną siłę swego pana.

— Bądzie pożdrowieni, mumeni, w imię Allaaha Miłościwego! — rozległ się nagle głos Soffa, i zaklinacz wjechał na swej szkapie w krąg widzów, robiąc wspaniały, majestatyczny ruch ręką na znak powitania wzburzonego i podnieconego przez Rasa tłumu.

Góral w imieniu widzów pożdrowił zaklinacza, ucałował połę jego burnusa i zaniósł prośbę ludu, aby wspaniałomyślny sidi Soff raczył wyjawić swoją siłę nad wężami, w których kryją się straszliwe dzinny śmierci.

Soff uśmiechnął się łaskawie i jeszcze bardziej majestatycznie skinął ręką na niewolnika, aby dopomógł mu przy zsiadaniu z konia.

Zaklinacz natychmiast rozpoczął długą tyradę o niebezpieczeństwwie, grożącym od kłów wężów, o dziesiątkach wypadków śmierci od ich jadu, przytaczając imiona ugryzionych i zmarłych, którzy istnieli i których nigdy na świecie nie było, i dopiero, gdy zakończył, rozpoczął przedstawienie.

Igrał z obojętnymi wiperami, kładł je sobie na ramiona i kolana, zaglądał im w oczy, dmuchał w nozdrza i gadał bez przerwy, szybko i zapalając się coraz bardziej, odegrał scenę zadraśnięcia i po mistrzowsku „cudownie uleczył się” i ze słowami modlitwy na ustach zaczął rozdawać kawałki papieru z pieczątką, mającą zastąpić amulet od jadowitych gadów. Ras tymczasem chodził z tamburynem wśród widzów i zbierał datki. Sypano monetę chętnie i obficie, bo Soff był istotnie wprawnym zaklinaczem i doskonałym artystą, działającym na wyobraźnię i zmysły tłumu. O tem się przekonał sam Ras w chwili, gdy Soff udawał cierpienia od zatrucia jadem wipery. Stary wyga tak prawdziwie wił się w bolesciach, dostał takich drgawek i wymiotów, że góral nawet trochę się przeląkł, myśląc,

że Soff istotnie umiera. Uspokoił się dopiero wtedy, gdy zajrzawszy w pochyloną do ziemi twarz zaklinacza, spostrzegł wesołe błyski w zezowatych oczach i lekki drwiący uśmiech, który błakał się mu na ustach.

Trzy razy powtarzał swoją sztukę Soff przy tłumie coraz to innych widzów, zbierając obfitą daninę. Jakiś bogaty przyjezdny Arab, przyglądający się widowisku, rzucił do tamburyna Rasa aż dwadzieścia franków, a później szyderczym głosem zauważył:

— Nol wątpię, żeby ten skrawek papieru mógł mi od ugryzienia „bham”!

Usłyszał te słowa Soff, rozdający właśnie w tej chwili papierki z pieczątką, i natychmiast odparował cios.

— O, możny i hojny sidi! — zawałał. — Cóż oprócz mego litościwego serca skłania mnie do ofiarowania ci tego amuletu? Zapłaciłbyś przecież tyle samo za oglądanie wieży i mojej siły nadprzyrodzonej, danej mi przez Allaha-Obrońcę? Jeżeli wątpisz, pozwól się ugryźć tej wiperze, a amulet mój obroni cię. Spróbuj!

Mówiąc to, podsuwał pod nos Arabowi płaską paszczę nieruchomej żmij.

— Ładna propozycja! — śmiał się Arab, gwałtownie się cofając.

— Jeżeli umrzesz, zapłacę twoim spadkobiercom tyle, ile zażądają! — wykrzyknął dumnym głosem Soff, popierając słowa wspaniałym ruchem ręki.

Rozbawiony tłum śmiał się z zakłopotania Araba i z zuchwałości zaklinacza.

Dopiero po wieczornej modlitwie, gdy muezini zakończyli swe pienia ze szczytów minaretów i wszystko utonęło już w fioletowych miękkich ciemniach, a gdy tylko świeciły się jeszcze w ostatnich

blaskach zachodzącego słońca najwyższe szczyty Atlasu, zaklinacze powrócili do swojej izby w fondonku Ed Ksela.

Tego wieczoru murzyn nie wiedział, jak ugościć i czem dogodzić zaklinaczom, gdyż Soff z dumną miną rzucił mu garść monet i rzekł z niezwykłą powagą:

— Służ nam uczciwie i wiernie, przyjacielu Ed Ksel, i pamiętaj o każdej porze dnia i nocy, do kogo mówisz i z kim masz do czynienia!

Od tej chwili bezczelny, wygadany murzyn w obecności Soffa pary nie wypuścił ze swej paszudnej gęby i tytułuwał obydwóch zaklinaczy „wspaniałomyślnymi sidi”.

Soff trącał Rasa pięścią w bok i mruczał zcicha:

— To nie przeszkodzi tej czarnej poczwarze, potomkowi szakala i żaby, zmymysłać nas od ostatnich słów, gdy niepostrzeżenie wyjedziemy z tej ohydnej dziury, nie opłaciwszy ostatniego tygodnia pobytu. Taki już głupi zwyczaj ma ten czarny wyzyskiwacz uczciwych ludzi! Lecz nastąpi to jeszcze nieprędko, więc jedz, pij, śpij i używaj tu, ile się zmieści, mój przyjacielu, i gwiźdz sobie na przeszłość i na przyszłość, albo dla odmiany — na przeszłość i na przeszłość! Tyle naszego, co dzień dzisiejszy! Reszta — furda, rzecz, która już nie istnieje, lub która nigdy może istnieć nie będzie...

Ras słuchał filozoficznych wynurzeń przyjaciela, i smutek ściskał mu serce.

— Cobys uczynił, Soff, — zapytał nagle, — gdyby Arab na Dżema el Fna przystał na próbę i dałby się ugryźć wężowi?

— Tylkobym tego pragnął, żeby się znalazły taki śmiałek! — zawała rozbawiony zaklinacz. — Podsunąłbym mu szaro-brunatną, podobną do wi-

pery „ghazę”. Ugryzłaby go natychmiast, gdyż nie karmimy jej już od pięciu dni. Nicby złego mu nie uczyniła, bo nie jest jadowita. Cha! Cha!

Stary wyga, zezując w odstraszający sposób, wybuchnął śmiechem, i, dusząc się od kaszlu, wołał;

— Ale to tchórze, tchórzel! Udają mądrych i podejrzliwych, powątpiewają i wydrwiwają, lecz naprawdę, to się nas — zaklinaczy obawiają i szanują. Na próbę żaden nie przystanie, nie bój się! Mogłem mu obiecać nie tylko wypłatę dowolnej sumy, jego spadkobiercom, lecz nawet cały skarbiec sułtana i podziemia, gdzie król hiszpański ukrywa ciężkie wory ze srebrnemi duro! *) Cha! Cha!

Ras nie mógł powstrzymać śmiechu, widząc przebiegłość towarzysza i jego głęboką znajomość duszy ludzkiej i nastroju widzów i gapiów ulicznych.

Ten pierwszy dzień nowego i samodzielniego życia dokonał wielkich zmian w przeżyciach i myślach górala. Mimo tępnoty, troski i niepokoju o żonę, Ras zaczynał wyczuwać jakąś drogę, którą należy iść, aby dojść do celu.

Zobaczył bowiem góral, że tłum jest wielkiem dzieckiem, które z łatwością może być oszukane, lecz jednocześnie jest on możnym panem, który może obsypać złotem i zaszczytami.

— Trzeba się tylko umieć zabrać do niego! — myślał Ras, przypominając sobie głupie miny widzów i skwapliwie otwierane przez nich sakwy, wiszące na pasach. Do tego, aby te miny były głupie, przyczynił się znacznie on sam, Ras ben Hoggar, a z otwieranych sakiew niemało monet przeszło i do jego żółtego „czakras”, **) haftowanego jedwabiem i złotemi sznurkami. Przy każdym kroku

*) Hiszpańska moneta wartości 5-ciu pezet.

**) Skórzany worek, noszony na pasie.

Rasa monety wtórowały mu cichym brzękiem w worku, i góral myślał, że może stać się bogaczem, a wtedy... o, wtedy wszystko będzie dobrze! Pieniądz—to siła! Przecież dlaczego wielki kaid Glaui jest wielkim kaidem i władcą szczełów góralskich? Dlatego, że jest bogaty. Za pieniądze Glaui utrzymuje wojsko i jest potężny i niezwalczony. Niechby dziś stary kaid obudził się nędzarzem, to jutro od razu wszystko prysnęłoby i znikło, jak sen: potęga, honory i władza. Dlaczego on — Ras ben Hoggar, tułacz, banita, włóczęga i zaklinacz węzłów, nie może się stać równym Glaui i innym możlim panom w Mahrebie? Pieniądz zmywa zbrodnię, pieniądz pozwala na zbrodnię i czyni ją piękną, groźną i bezkarną.

— Będę bogaty, wyrwę Aziza z gór, osiedle się w innem miejscu! Będę szczęśliwy, spokojny i potężny — myślał Ras, zasypiając po sutej kolacji.

— Będziesz! Będziesz! — dzwoniły monety, odzywając się z worka, leżącego pod poduszką górala.

Z temi myślami góral usnął, pierwszy raz uspokojony, wolny od gorzkich i ciężkich myśli.

ROZDZIAŁ VII.

W k a s b i e

W tym czasie, gdy Ras stał się zaklinaczem węzów, w starej kasbie, ukrytej w górach Atlasu, nic się na pozór nie zmieniło. Jak zwykle po modlitwie porannej mężczyźni wychodzili w pole i do lasu na robotę, lub na pobliską szosę, którą mieli naprawić z rozkazu wielkiego kaida. W kasbie i na okolicznych pastwiskach pozostały tylko kobiety i dzieci. Przy studni, w cieniu rozłożystego drzewa pistacjowego, usadawiali się sędziwi, sterani długiem życiem starcy i cichemi głosami rozprawiali o dawno minionych, a zawsze lepszych czasach.

Śród mężczyzn, pracujących na polu, była tylko jedna kobieta, a uprawiała narówni z nimi kamienistą rolę, krzątała się śród grząd w ogrodzie warzywnym, zbierała suche gałęzie na opał, pasła bydło i kopała rowy dla wody, biegnącej z gór. Była to Czar-Aziza, żona banity, Rasa ben Hoggar, ściganego z rozkazu wielkiego kaida. Sąsiedzi podziwiali wytrwałość, siłę i pracowitość pięknej, młodej kobiety. Ten i ów z górali zaczynał przy niej napomykać, że żona wygnańca lub uciekiniera jest niby wdową i, że już czas pomyśleć o innym

mężu, gdyż otrzymanie rozwodu nie jest rzeczą trudną w takich warunkach. Milczała Aziza, lecz zapytana o to wprost, spokojnym i stanowczym głosem odparła:

— W doli i niedoli jam żona Rasa ben Hoggar!

— To musisz szukać go i połączyć się z nim — poradził któryś z sąsiadów.

Lecz inny rzekł:

— Nie dawaj kobietce złej i niemądrzej rady! Czyż nie wiesz, że nasz kadi, aby się przysłużyć rozgniewanemu na niedawny napad kaidowi, wysłodzi Aziza, schwyta ją i męża i wyda na sąd do Tarudantu?

Aziza doznała bicia serca, gdy usłyszała te słowa. Oddawna bowiem przemyślała nad tem, w jaki sposób ma odnaleźć męża. Teraz zrozumiała, że musi zaniechać zamiaru, aby nie narazić Rasa na straszliwą zemstę wielkiego kaida.

Twarz jej spochmurniała, oczy zgasły, i kobieta z jakąś rozpaczą, a może z porywem nienawiści, zabrała się znowu do pracy.

Wlokły się dni jednostajnem, smutnem pasmem, przerywanem od czasu do czasu plotkami i pogłoskami, że gdzieś w górach spahisi kaida schwytali Rasa i odstawili do stolicy władcy, lecz mijały dni, kadi nie wyjeżdżała z kasby, i Aziza stawała się spokojniejsza, rozumiejąc, że wieści były fałszywe. Tęsknota jednak nie wypuszczała ze swych szponów serca i myśli samotnej kobiety. Nawet praca, ten najlepszy lekarz na troski i niepokój, nie mogła ukoić bólu jej serca i odegań nurtujących ją myśli o mężu. Długo borykała się z tęsknotą Aziza, nareszcie postanowiła pójść do kubby Sidi Jakuba el Hadż, patrona i opiekuna kobiet opuszczonych.

— Nigdy nie myślałam, iż zostanę opuszczoną... — przemknęła przez głowę Aziza gorzka myśl. — Za co pokarał mnie Allah?

Z temi ciężkimi myślami szła żona Rasa przez górę do kotliny, gdzie stała biała kubba świętego człowieka. Złożyła tu ofiary — proso, sól i jarzyny, zapaliła czerwoną świeczkę i zaczęła się modlić, błagając Sidi Jakuba, aby się wstawił za nią przed wszechpotężnym Allahem i wymodlił dla niej rychłe połączenie się z ukochanym mężem i życie razem z nim, chociażby miało to być życie krótkie a ciężkie, pełne trudów i troski o byt.

Gdy świeczka się dopaliła, Aziza podniosła się z klęczek, złożyła na progu kubby pęk kwiatów polnych i, westchnawszy raz jeszcze, odeszła.

W nocy zaś, gdy wszystko w kasbie ucichło, a żaden głos nie mącił wielkiego, nieruchomego milczenia, przyczółgał się do drzwi domu Aziza najstraszniejszy z potworów — tęsknota. Jak ciążka, nielitościwa mara, jak widmo, zrodzone w mroku nocnym, zimne, powolne i okrutne, objęło ją swymi ślekiemi mackami, zgasiło błyski w jej oczach, zmusiło serce gwałtownie kołatać w piersi, znękanej bólem, lub zamierać w trwodze beznadziejnej, pomieszało i pogmatwało myśli, spłoszyło sen i wy cisnęło gorzkie, gryzące łzy, i żałosne jęki, które przeszły w straszliwe przekleństwa, bluźnierstwo i nienawiść do ludzi, do Allaha, bo on widział i znał jej serce i duszę, a przecież nie dopomógł, nie obronił przed złymi ludźmi.

Tak mijała straszliwie dłuża, męczeńska i bez nadziejna noc.

Aziza czuła, że umysł jej się mąci, że ogarnia ją szal.

— Co robić? Jak się ratować? Do kogo biec po pomoc i radę?

Słyszała, że w jakieś chałupie dogorywała opuszczona przez wszystkich stara „gezzana” — wróżka. Pochodziła ona z innego szczezu, niegdyś, jak przybłędna kotka, zjawiała się kasbie i tu już pozostała na zawsze. Kobiety — góralki nieraz posługiwały się jej radami, bo stara gezzana знаła życie na wylot, wszystko przeżyła, wszystkiego doświadczyła i widziała duszę ludzką tak, jak gdyby ona leżała na jej suchej, pomarszczonej dłoni.

Do niej, zabrawszy ze sobą koszyk z podarkami, przyszła pewnego dnia Aziza i odkryła przed nią swoje znękanie serce.

— Powiedz mi, czy ujrzę męża, czy będę jeszcze szczęśliwa? — pytała namiętnym głosem, chwytając starą wróżkę za rękę.

Ta długo milczała, wpatrując się w twarz kobiety swemi czarnemi, gasnącemi już oczami. Wreszcie szepnęła:

— Pokaż swoją dłoń...

Oglądała uważnie krzyżujące się linie ręki Aziza, coś mrucząc i kiwając głową.

— Co widzisz? — pytała młoda kobieta.

— Czekaj, powiem później! — odpowiedziała wróżka i wylała do płaskiej miseczki czarną, gęstą, jak kasza, kawę, badając jej powierzchnię, po której biegły małe kółka i zmarszczki, tworząc misterne, nieuchwytnie, znikające i co chwila zmieniające się obrazy.

Skończywszy, bezwładna opadła na posłanie i przymknęła stare, zmęczone oczy.

Aziza, przyciskając dłoń do bijącego serca, niecierpliwie czekała.

— Spotkasz męża, spotkasz, — zaczęła wyrzucać słowa wróżka, — lecz nie będziesz śmiała nazwać go mężem, kobieto...

— Dlaczego? — pytała przerązona Aziza.

— Bo nie będziesz już jego żoną, — odparła starucha.

— Jakto nie będę?

— Nie wiem — brzmiała głucha odpowiedź — lecz widziałam ciebie żoną innego... innych mężczyzn...

— To fałsz! Fałsz — wykrzyknęła Aziza, czując, że rzuci się na starą wiedźmę i zadusi ją za ciężką zniewagę.

— Powiedziałam, co ujrzałam — szepnęła gezzana. — A chciałabym, żeby to był fałsz, gdyż ciężkie będzie two życie... oj, ciężkie!

— No, a dalej... dalej? — nalegała Aziza. — Czy będziemy razem z mężem?

— Krótkie jest życie wasze... — odpowiedziała gezzana. — Śmierć czyha na was... Umrzecie razem, pogodzeni ze sobą, lecz w nienawiści...

— Objaśnij! nie rozumiem słów twoich... — prosiła młoda kobieta.

— Nic więcej nie wiem, bo tylko tyle widziałam... — szepnęła, znowu zamkając oczy, stara wróżbiarka. — Zostaw mnie teraz! Chora jestem i wyczerpana. Niech Allah wynagrodzi cię za twój podarek i niech odmieni twój los...

Aziza opuściła chałupę gezzany z ciężkiem sercem i czarnymi myślami. Nie mogła dopuścić myśli, żeby ona, Aziza, córka Ben Hadża, mając męża, stała się żoną innych mężczyzn, złamawszy prawo „świętej księgi” Proroka; nie rozumiała słów wróżki: „Umrzecie razem, pogodzeni ze sobą, lecz w nienawiści”. Co to mogło oznaczać i jak to być może?

Nie przyniosło jej ukojenia widzenie się z gezzaną, więc wkrótce znowu przyszła do niej.

— Tęsknota pożera moje serce i wysysa mój mózg — rzekła, siadając przed wrózką. — Zaradź na to, dopomóż!

Starucha odpowiedziała bez namysłu:

— Idź do domu i przynieś mi włosy męża twoego!

Aziza znalazła kilka włosów męża, zaplątanych w jego turbanach i przepaskach, noszonych na głowie podczas robót polnych. Powróciła z niemi do gezzany. Ta zaś, wyszeptawszy jakieś zaklęcia, włożyła je do białej szmatki, zrobiwszy na niej magiczny węzeł, i rzekła:

— Powiesisz ten amulet na drzewie przed domem swoim, lub na twojem polu. Gdy wiatr będzie poruszał szmatką, myśl Rasa ben Hoggara będąc leciała ku tobie, kobieto, na skrzydłach wiatru.

Aziza powróciła do domu i, przechodząc przez swój ogród, zawiesiła talizman na gałęzi starego, rozłożystego drzewa oliwnego. Od tej chwili, pracując w polu lub w ogrodzie, wzrok swój często zwracała w stronę starego drzewa i radośnie wzdychała, gdy podmuch wiatru kołysał białą szmatkę, zawiązaną w magiczny węzeł, zawierający włosy Rasa. Stara gezzana dobrze znała serce kobiiece i znalazła środek na ukocjenie porzuconej, tęskniącej kobiety. Od chwili posiadania talizmanu, Czar Aziza prawie ciągle czuła przy sobie obecność męża, czasami twarz jej zaczynała płonąć pod gorącem spojrzeniem Rasa, czując tuż przy sobie jego oddech i słysząc cichy szept:

— Umiłowana Czar Aziza, radości moich oczu, płomyku mój, najpiękniejszy darze Allahal...

Niespodziewanie, bez żadnego powodu, przyszło ukocjenie, a ono przynosiło ze sobą nawet chwile rozkoszy i radości smętnej lecz słodkiej.

W kasbie w owym czasie zdarzył się wypadek, który głęboko wstrząsnął duszą Aziza.

Stary kadi wydawał najmłodszą córkę zamąż do Tarudantu. Na przedślubne uczty i obrządki były zaproszone żony najbogatszych Szleu. Kadi długo się wahał, czy ma zaprosić żonę syna swego starego przyjaciela Mohammeda ben Hoggar, lecz przypomniał sobie łaskawe słowa kaida, powiedziane do niego o Aziza, gdy Glaui dowiedział się, że kobieta po widzeniu się z nim natychmiast odjechała, — więc zaprosił ją.

Aziza zaproszenie przyjęła, gdyż nie chciała pokazać ludziom swej tępknaty i poniżenia, a zresztą czuła się teraz spokojniejsza i weselsza i ciągnęło ją znowu do ludzi. Przystroiła się więc bogato w klejnoty, otrzymane jako wiano od męża i podarowane przez jej ojca.

Wieczorem kobiety rozpoczęły tańce. Narazie wykonywano tradycyjne, rytualne tańce, a później, gdy przyszło podniecenie, rozpoczęły się stare tańce góralskie.

Działo się to na kobiecej połowie domu kadi, więc tancerki zrzuciły z siebie zasłony i szerokie burnusy i tańczyły w lżejszych szatach, nieskrępowane obecnością mężczyzn. Gdy przyszła kolej na Aziza, odtańczyła taniec miecza z taką namiętnością i wyrazem, że wszystkie kobiety zaczęły w zachwycie klaskać w dlonie, krzyczeć i prosić o nowy taniec. Aziza w swojej ojczystej wiosce, stojącej na brzegu rzeki Suss, słynęła z tańca i piękności a sztuką taneczną zachwycała nieraz znajomych i przyjaciół męża. Tańczyła więc długo, coraz bardziej sama upajając się wirem i porywem ruchów. Oczy jej płonęły, rozchyliły się namiętnie usta, pierś wysoko się wznosiła i opadała, brzęczały i dzwoniły ciężkie kolczyki i bransolety.

Nagle z poza kotary rozległy się okrzyki zaczwytu i głośne klaskanie w dłonie. Aziza, jak strzała, rzuciła się do swego ubrania, i w jednej chwili szeroki burnus ukrył jej zgrabną postać, a haik *) spadł na twarz i wysoką piers.

Kotara się odsunęła i wszedł stary kadi. Śmiejąc się chytrze i przekornie, rzekł:

— Kobiety! Źle zapuszcacie zasłonę w swoim pokoju. Oczy mężczyzn dojrzały was. Szczególnie zaś ciebie, Aziza, w twoim pięknym tańcu...

— Podług prawa — odparła Aziza — prawowierny muzułmanin, widząc nieszczelnie opuszczoną zasłonę, powinien, nie zaglądając do wnętrza pokoju, zasunąć ją.

— Mówisz zawsze, jak „alem” lub „taleb” — zaśmiała się starzec. — No, ale to dobrze się stało, że jeden człowiek widział ciebie.

Z temi słowy odprowadził Aziza do okna i rzekł do niej:

— Jest tu Saffar el Snussi... Nie znasz go, lecz on przypadkowo spotkał Rasa i ma od niego polecenie do ciebie...

— Od Rasa! — wykrzyknęła Aziza i zachwiała się na nogach, widząc, że wszystko zaczęło kołować i drgać przed jej oczami. Była zmuszona oprzeć się o framugę okna. Kadi, zauważyszy to, zaczął szeptać jej do ucha:

— Nikomu nie mów o tem, com ci powiedział, bo boję się zemsty kaida dla siebie i dla ciebie... Później urządzę ci spotkanie z tym człowiekiem, a teraz baw się, śpiewaj i tańcz. Zdaje mi się, że przedko będziesz szczęśliwa i wszystkie kobiety będą ci zazdrościły...

*) Zasłona na twarzy.

— Więc Ras istotnie żyje! Ukochany nad żywicie! Pamięta pan mój o mnie, która umieram z tęsknoty za nim? Więc Ras, Ras przysłał do niej przyjaciela swego?... mknęły myśli lotem błyskawicy.

Schwyciła rękę kadi i do ust ją przycisnęła

— Bądź błogosławiony, bądź błogosławiony za szczęśliwą nowinę, sidi! — szepnęła z wybuchem

— No, dobrze, dobrze... — mruczał starzec a na twarzy miał zakłopotanie, gdy gwałtownie wyrywał kobiecie swoją rękę.

Kadi odszedł, kobiety bawiły się dalej, a najbardziej wesoła i promienna była Aziza. Spiewała cudne piosenki góralskie to smutne, to wesołe i dowcipne, tańczyła, dokazywała i śmiała się wdzięcznie. Szczęście i radość tryskały jej z oczu i rozbrzmiewały w głosie.

Późno w nocy powróciła Aziza do domu, lecz nie mogła spać. Zapaliwszy lampkę, przebrała się w domowy strój i usiadła na posłaniu, myśląc o mężu i marząc o spotkaniu z nieznanym człowiekiem, co miał jej powtórzyć słowa Rasa i uczynić najszczęśliwszą kobietą na ziemi. Jakiś słodki niepokój odganiał sen i zmuszał czekać na coś, co miało przyjść lada chwila. Przeczucie nie omyliło jej.

Ktoś cicho zapukał do drzwi.

Zerwała się i pobiegła do sieni.

— To ja — kadi! — rozległ się cichy głos. — Otwórz przedzej!

Odsunęła zasuwę i wpuściła starca. Za nim do domu wszedł nieznajomy, wysoki człowiek, otulony w czarny burnus.

— W nocy nikt z sąsiadów o niczem się nie dowie, — szepnął kadi — tak będzie bezpieczniej. Przyprowadziłem do ciebie Saffara el Snussi, przyjaciela twojego męża.

— Bądź pozdrowiona, żono mego przyjaciela Rasa ben Hoggar — odezwał się niskim, łagodnym, zakradającym się do duszy głosem nieznajomy.

— Bądź pozdrowiony i ty, sidi! — odpowiedziała Aziza. — Wchodźcie do izby tymczasem, ja zaś pójdę po haik, aby zasłonić twarz. Wnet powróć!

Gdy weszła do izby, gdzie zwykle podejmowała wraz z mężem gości, miała już na sobie burnus i gęstą zaslonę, pozwalającą widzieć tylko oczy. Ujrzała obok kadi wysokiego mężczyzny o pięknej, drapieżnej twarzy, prawie zupełnie białej i wypieszczonej.

Kadi zbliżył się do Aziza i szepnął:

— Nie przystoi mnie — kadi słyszeć, co będzie ci mówił ten człowiek o mężu twoim, którego na rozkaz kaida musiałbym schwycić niezwłocznie. Odejdę już, pozostawiam ci Saffara. Lecz pamiętaj, nie wolno nikomu mówić o tem, co zaszło, bo to może zgubić Rasa, ciebie i mnie... Bądź zdrowa!

Stary zawinał się w burnus i wyszedł.

Aziza stała teraz przed nieznajomym, wpatrującym się w nią pałającymi oczyma.

— Jestem Saffar el Snussi, handlarz z Konstantyny w Algierji i przyjaciel Rasa ben Hoggar, najszlachetniejszego i najodważniejszego wśród mężczyzn w Mahrebie. Gdyby były teraz inne czasy, Ras ben Hoggar stałby się wielkim wodzem i potężnym wezyrem — odezwał się przesadnie podniesionym głosem Arab.

— Słowa twoje, sidi, jak krople rosły, padającej na wieńcujące kwiaty, przynoszą siłę i radość memu sercu! — odpowiedziała Aziza. — Niech Allah-Sędzia wynagrodzi cię za nie!

— Jak się nazywasz, kobieto? — zapytał gość, opuszczając się na posłanie na znak długiej i ważnej rozmowy.

Kobieta usiadła na uboczu i odparła:

— Jestem Czar Aziza, żona Rasa ben Hoggar!

— Słyszę głos, lecz nie widzę oblicza,—rzekł Arab. — Ras opisał mi twarz swej żony i z nią, tylko z nią kazał mi mówić. Ciebie nie znam, możesz więc być żoną Rasa, lecz możesz też i nią nie być...

Nieciepliwa wieści o mężu, Aziza zerwała z siebie zasłonę i stanęła przed gościem.

— Jestem Czar Aziza, żona Rasa!

Arab przykrył, sobie oczy rękoma zaczął ciskać ustami i kiwać głową.

— Na Allahal! — mówił. — Na Mohameda! Na Sidi Bu Medyana! To ty; bo Ras ben Hoggar, mój serdeczny przyjaciel, powiedział mi, gdy żegnał mnie przed odjazdem: „Przyjacielu mój, Saffar el Snussi! — mówił mi Ras, — gdy ujrzesz najpiękniejszą z najpiękniejszych kobiet, gdy spotkawszy ja, pomyślisz, że Allah zesłał ci hurysę, abyś poznął potęgę jego, to będzie żona moja — Czar! Oczy jej jak gwiazdy nocy wiosennej, oblicze, jak tarcza miesiąca, gdy spogląda przy słońcu z lazurowego nieba, usta jak dwa szkarłatne korale z Hend, zęby — mieniające się perły, pierś — dwie fale burzliwego morza, szyja jak marmurowa kolumna świątyni dawnych władców Saadien, włosy, niby potoki czarnej rzeki w ciemnym wąwozie!” Toś ty, Czar, poznaję cię! Lecz muszę jeszcze sprawdzić...

— Pytaj, sidil — szepnęła zmieszana kobieta, spuszczając oczy pod płonącym wzrokiem nieznanego i zaczęła nakładać haik drżącemi palcami.

— O, nie trzeba zasłaniać oblicza, tak pięknego jak słońce i jak świeży powiew wiatru, niosącego ze sobą radość! — błągał, składając ręce, jak do modlitwy Arab. — Wszak już widziałem cię, huryso, zostań bez zasłony, abym mógł zapamiętać

każdy rys twojej twarzy i opowiadać, opowiadać o tobie bez końca Rasowi ben Hoggar, memu serdecznemu przyjacielowi.

— Dobrze! Jak kązesz, sidi! — szepnęła Aziza, odkładając zasłonę, której noszenie śród góralek Atlasu nie jest zresztą surowo przestrzegane. — Pytaj więc dalej! Co chcesz wiedzieć?

— Ras mi mówił, jak on cię nazywa, gdy miłość zapala płomieniem wasze serca. Powiedz, jakie imię śród pieszczot gorących daje ci twój mąż.

Aziza opuściła oczy, zawstydzona i zakłopotana, lecz po chwili wyszeptała:

— Płomykiem nazywa mnie pan mój i mąż...

Arab porwał się z posłania i zawałał:

— Teraz już nie wątpię, że stoję przed najpiękniejszą z najpiękniejszych kobiet, przed Czar Azisa, żoną mego druha Rasa ben Hoggar! Pozdrawiam cię, piękna Czar w imieniu męża twoego!

— O, sidi, — szepnęła Aziza, przyciskając ręce do piersi. — Niech Allah obdarzy cię największym szczęściem za to, coś uczynił dla mnie i dla Rasa, męża mego!

— Największego szczęścia już nie może mi dać nawet Allah, bo go zabrał Ras, mając cię za żonę, huryso rajul — z namiętnym wybuchem szepnął Saffar. — Jestem już szczęśliwy, że oglądam oblicze twoje, Czar Azisa, i słyszę głos twój, do dźwięku czarownej rbab *) podobny.

Mówiąc to, zbliżył się i usiadł obok Aziza, dotykając swoją piersią jej ramienia. Pochylił się jej do ucha i, prawie muskając je ustami, szeptać zaczął:

— Jechałem przez góry i napadło na mnie trzech złoczyńców, leżałem zraniony i związany,

*) Skrzypce, lutnia.

gdy nagle nieznajomy człowiek wybiegł z krzaków, pozabijał napastników i ocalił mnie. Był to Ras ben Hoggar, mąż twój, który krył się wtedy w górach przed pościgiem spahisów kaida...

— O, Allah Akbar, Allah Reszid! — zawała Aziza, chwytając gościa za rękę. — Jakie szczęście, że Ras uratował dobrego sidi!

— Wtedy wyleliśmy wodę na nasze noże i staliśmy się przyjaciółmi na śmierć i życie — ciągnął dalej Arab, nieznacznie obejmując Azizę i tuląc ją do swej piersi. Wtedy Ras opowiedział mi o wszystkiem, a najwięcej mówił o tęsknocie za tobą. Wziąłem go ze sobą, niby niewolnika, do Konstantyny, gdzie go zostawiłem, ponieważ sam jechać tu nie może. Gdy odjeżdżałem, by ujrzeć ciebie, Ras kazał mi powiedzieć te słowa: „Czar Aziza, żono Rasa ben Hoggar, polegaj na przyjacielu moim Saffar el Snussi we wszystkiem i spełnij wszystkie rady jego, ponieważ on musi przywieźć ciebie do mnie na nowe, szczęśliwe życie. Spełniaj wszystko, zawsze i wszędzie, zgadzaj się na wszystko, bo taka jest wola moja, Rasa ben Hoggar, męża twoego, który czeka na ciebie i tęskni za tobą, jak usychająca palma tęskni za wodą źródlaną. Rozumiesz?

— Rozumiem, sidi! — odparła uszczęśliwiona Aziza. — Spełnię wszystko, co kazałeś, bo taka jest wola męża mego, jego zaś wola podług „świętej księgi” jest wola Allahal!

— Dobrze! — rzekł Arab. — Mądra jesteś i sprawiedliwa, za co czeka cię nagroda Allaha i miłość Rasa, już prędko, już prędko... A teraz słuchaj! Jutro pójdziemy do kadi. Ja będę udawał, że jestem handlarzem niewolników i że namówiłem ciebie, abyś się sprzedała za niewolnicę. To jest konieczne, gdyż inaczej ktoś mógłby donieść, że, jako wolna, wyjeżdżasz na poszukiwanie męża, i przyłapanoby

ciebie, mnie i Rasa. Tymczasem, kto się będzie zajmował losem niewolnicy? Oszukamy wszystkich, pomylimy ślady i dowiozę ciebie, Aziza, do tęskniącego za twoimi pieszcztotami Rasa.

— Uczynię, jak każesz, sidi, bo taka jest wola męża mego! — odparła Aziza, pełna miłości dla męża i radosnej niecierpliwości spotkania się z nim.

Arab wkrótce opuścił dom żony Rasa ben Hoggar, a gdy się za nim zamknęły drzwi i zgrzytnęła zasuwa, cicho gwizdnął. Z ciemnego zaułka wyszedł kadi.

— No co? Jak? Udało ci się? — rzucił szepetem pytanie.

— Saffar el Snussi nie zna niepowodzenia! — odparł ze śmiechem Arab. — Oto masz tymczasem połowę wynagrodzenia.

Stary kadi zaczął liczyć banknoty.

Arab kiwnął mu głową na pożegnanie i rzekł:

— Tylko spiesz się, stary, jutro ze sporządzeniem aktu sprzedaży i milcz, jak ryba!

— Do jutra, Saffar el Snussi!

— Do jutra, kadi!

Rozstali się, idąc w różne strony, jak spiskowcy lub rabusie po udanej wyprawie, płacząc i myjąc ślady.

Była głuha noc... a mijała ona dla jednych szybko i rokrosznie, dla innych ciągnęła się rozpaczliwie dłujo.

Jednak o wskazanym przez Allaha czasie ta noc minęła.

Wczesnym rankiem stary kadi, zamknąwszy się z Arabem i Aziza w swoim biurze, szybko sporządził akt przejęcia żony banity Rasa ben Hoggar na własność Saffara el Snussiego. Przed południem Aziza spakowała do wora trochę swoich rzeczy i pokry-

jomu wyruszyła z przyjacielem Rasa w daleką podróż.

Podczas obiadu kadi rzekł do syna:

— Czy wiesz, że żona Rasa wyjechała?

— Dokąd? — spytał młody.

— Nie wiem... — pojechała z Arabem Saffarem... — odparł kadi.

— Z tym handlarzem niewolników z Konstantyny?

— Tak! z nim... — mruknął stary.

Syn zaczął bacznie wpatrywać się w twarz ojca, aż, widząc jego zmieszanie, rzekł:

— Gdybym ja był Rasem, zabiłbym ciebie, albo twoego syna — ojciec.

— Nie mogłem nic innego uczynić, — tłumaczył się kadi. — Z Tarudantu, sam wiesz, wszystkie oczy są na nas zwrócone, ciągle zapytania, przykrości i kłopoty, a teraz — koniec. Napiszemy, że poszła za niewolnicę i odjechała...

— Czar Aziza, ta orlica, żona Rasa — niewolnicą? — wykrzyknął młody człowiek. — Ależ to — niemożliwe, to — potworne!

— Patrz! — rzekł ojciec, wyciągając z zandryza papier. Wszystko podług prawa...

Syn przeczytał akt, zmarszczył brwi i, pochylwszy głowę, rzekł zcicha:

— No, teraz nie będziemy mieli ani dnia, ani nocy spokoju... Ras — nie taki człowiek, żeby nie pomścił żony. Źle postąpiłeś, ojciec! Prawo w twojem ręku zmieniło się w ohydną zbrodnię i zdradę wobec syna twoego druha... Biada nam! Biada! Niech Allah miłosierny nie karze nas za ten czyn twój, ojciec!

ROZDZIAŁ VIII.

Poszukiwacze skarbów

Ras z Soffem prowadzili pomyślnie swój proceder zaklinaczy. Czasami był taki popyt na widowisko, że pracowali równocześnie w różnych miejscach Dżema el Fna, dając przedstawienie na własną rękę i dzieląc się rzetelnie zarobkami. Takie życie pozwoliło Rasowi zawiązać dużo pożytecznych dla niego znajomości, szczególnie zaś wśród meskinów.

Żebracy stanowili tu potężną klasę ludności, która miała wszędzie wolny wstęp, o wszystkiem wiedziała, przerzucając się z miasta do miasta. Organizacja meskinów jest również stara, jak Mahreb, i rządzi się podług własnej, odwiecznej tradycji.

Ras uczył się od meskinów ich umiejętności wykorzystywania słabostek ludzkich, ich sztuki zmieniania powierzchowności, głosu i sposobów skamieniacia. Przychodząc do ich barlogów, gdzie miał już serdecznych przyjaciół, zabawiał ich swemi wężami, a sam uczył się od żebraków sposobów skomplikowanej maskarady, gdy to „słepy”, wykorzystawszy to kalectwo, stawał się niemową, lub paralitykiem, aby po pewnym czasie znowu przejść na ślepotę.

Przejął od żebraków całą litanję różnych świętych „uali”, których imieniem meskini błagali o jał-

mużnę i już wiedział, którego świętego należy szczególnie wysławiać w tym lub innym zakątku kraju.

Poznał się też z kilkoma pieśniarzami i zapamiętał sporo opowieści, bajek i pieśni o dawnych bohaterach, o krwawym Sidi-Okba i o straszliwym sułtanie Mulej Izmaile. Obcując z pieśniarzami, dowiedział się, że są oni wrogami Francuzów, Hiszpanów, Włochów i Angliców, wyśmiewają ich i podbudzają gniew i niezadowolenie Berberów przeciwko białym przybyszom. Od nich się też dowiedział góral, że Arabowie w Egipcie i Kabilowie w Riffie powstali przeciwko „rumani” i walczą z nimi i że wielki wódz Abd el Krim chce się ogłosić sułtanem i kalifem *).

Ponieważ sam Ras cierpiał z powodu „rumani”, którzy zmusili wielkiego kaida do wytrzebienia tych Szleu, którzy, za przykładem przodków, trudnili się napadami na karawany, idące z tamtej strony Atlasu, — więc chętnie słuchał wrogich dla Europejczyków opowieści i pieśni, i nawet sam je śpiewał i układał, ośmieszając w nich Glaui, którego nazywał „niewolnikiem, psem łańcuchowym” białych przybyszów.

Znajomość z meskinami i pieśniarzami wkrótce przydała się Rasowi.

Pewnego wieczoru, powracając z placu do fonduka, usłyszał z daleka rozpaczliwy głos Soffa wołającego o pomoc. Pobiegł, i tuż przed bramą fonduka ujrzał zaklinacza w bardzo niemiłem towarzystwie. Otaczało go bowiem kilku drabów, którzy, krzycząc w niebogłosy, tłukli tak zawzięcie długiego i cienkiego Soffa, że góral wyszeptał:

— Na Allaha! przetrącą ci chłopcy moją tyko..

*) Religijny wódz muzułmanów.

Rzucił się towarzyszowi z pomocą, a tak skutecznie, że wkrótce napastnicy rozbiegli się w popłochu, a jeden z wywicznioną szczeką siedział na ziemi i ryczał, jak zarzynany wieprz.

Przybiegł policjant i chciał zaaresztować Rasa, lecz ten, nie czekając na to, zaczął umykać, ścigany przez policję. Ukrążył się wśród meskinów i śmiał się z prześladowców, widząc jak go poszukują po kawiarniach i jadłodajniach. Żebracy nazajutrz przerobili Rasa na ślepca, i góral najspokojniej w świecie odnalazł Soffa i pracował dalej.

Za obronę swojej osoby „czcigodny i wspańskiły Soff” przy świadkach zaprzysiągły góralowi przyjaźń i wierność do śmierci.

Na tem stanęło i wszystko szło po dawnemu, tylko „czakras” obydwoch zaklinaczy puchły coraz bardziej od pieniędzy, zarabianych na Dżema el Fna.

Pewnego wieczoru, gdy towarzysze powrócili do fonduka, zjedli kolację i napili się herbaty, stary zaklinacz trącił górala w bok i szepnął:

— Zabierz swój koszyk z wężami, tamburyn, manatki i ostrożnie, aby cię nie dojrzał Ed Ksel, wymknij się z fonduka. Dobra nasza, bo oto widzę, wchodzi cała karawana na nocleg. Wall!

Nie rozumiejąc, o co chodzi, Ras spełnił żądanie przyjaciela i wkrótce był już za bramą zajazdu, skąd, zmieszawszy się pomiędzy wielbłądy i poganiaczy, podążył w stronę placu. Tu dogonił go Soff z klaczą, którą prowadził za uzdę.

— Co się stało? — spytał zdziwiony góral.

— Nic szczególnego! — odparł wesoło stary wyga — mam tego dość! zarobiliśmy sporo grosza, więc chcę pojechać do Rabatu lub Fezu na wywczasły i zabawę. Znalazłem kupca na nasze gady i dziś w nocy wyruszę do pobliskiej wsi do znajomych, a jutro lecę w świat!

— A ja? — zadał pełne trwogi pytanie Ras.

— O tobie nie zapomniałem! — odparł Soff. —

Zaraz pojedziemy do marabuta Szorf ben Ihudi. Oi bierze cię na pomocnika. Z nim się dopiero obłowisz! Ho, ho!

Nie dając góralowi przyjść do słowa, zaklinacz zaczął ryczeć ze śmiechu, krztusząc się i kasując:

— Wyobrażam sobie, jaką głupią i wściekłą minę będzie miał jutro ten czarny potwór Ed Ksel, gdy nas nie znajdzie w fonduku! To dopiero będą wymyślania i przekleństwa, bo za cały tydzień zostaliśmy mu winni. Tym razem nic nie otrzyma, bo zbrzydł mi do reszty jego brudny, hałaśliwy fonduk. Niech go tam wszyscy „dżinn” mają w swej opiece!

Ras nie mógł wstrzymać się od śmiechu, gdy wyobraził sobie czarnego, opasłego murzyna, stojącego na progu pustej izby, gdzie mieszkali „czcigodni i wspaniałomyślni sidi”, jak ich tytuły Ed Ksel.

— Kiedyż pojedziemy do marabuta? — spytał Ras przyjaciela.

— Natychmiast! — odparł wesołym głosem Soff. — Już się z nim umówiłem co do ciebie.

Istotnie w godzinę później Ras rozlokował się w małej izdebcie w mieszkaniu Szorf ben Ihudi i zabrał się do snu, myśląc o tem, co mu nazajutrz powie marabut, który przyjął go na swego pomocnika.

— W czem będę mu pomagał? — łamał sobie głowę Ras. — Przecież nie w modlach, nie w błogosławieństwie pobożnych?

Postarał się usnąć jak najprędzej, aby próżno nie wysilać głowy.

— Nazajutrz rano marabut wezwał do siebie Rasa
— Młodzieńczel — rzekł. — Twój właściciel
Soff-zaklinacz polecił mi ciebie, jako człowieka
roztropnego i wiernego.

— Postaram się, sidi, być takim dla ciebie —
odparł góral, całując marabuta w rękaw burnusa.

— To — dobrze! — zawała Szorf. — Chcę
więc z tobą pomówić.

— Słucham, sidi! — odparł Ras.

— Czy wiesz cośkolwiek o szczepie Szleu,
z którego pochodziłeś? — zapytał marabut.

— Wiem, że Szleu od wieków mieszkali w na-
szych górach i byli wojownikami... — odpowiedział
góral.

— Od wieków! — uśmiechnął się pogardliwie
Szorf ben Ihudi. — To niczego nie oznacza, bo naj-
ważniejsze było przed owymi „wiekami”, gdy wasi
Szleu jeszcze nigdy nie słyszeli o górach Atlasu.

— O tem nic nie wiem! — odpowiedział Ras. —
Najsędziwiści nawet starcy o tem nie opowiadają.

— Tedy słuchaj, młodzieńcze, bo to potrze-
bne dla ciebie teraz! — zawała marabut. — Szleu
byli niegdyś licznym i walecznym narodem. Pocho-
dzili od przybyszów — Kartagińczyków i wyznawali
ich wiarę, ofiary żywe składając ich bogom. Karta-
gińczycy znikli, a państwo Szleu pozostało i było
tam, gdzie teraz na północy panują Hiszpanie. Pa-
ństwo to obejmowało cały Riff i dochodziło aż do
Rabatu. Trwało tak do czasu, aż przypłynęli na
dużych żaglowych łodziach biali ludzie, zakuci
w żelazo i wyparli Szleu, zdobywszy wszystkie
ich miasta nadbrzeżne i zabiwszy ich króla. Miesz-
kańcy tego państwa zaczęli uciekać na południe,
unosząc ze sobą swoje skarby. Przybysze ścigali
ich. Wtedy co najbogatsi zaczęli zakopywać swoje
skarby w wąwozach górskich grzbietów Riff i w le-

sie Mamora. W ten sposób doszli aż do waszych gór i tu pozostali. Przybysze, zrabowawszy państwo Szleu, odpłynęli, po nich przyszli inni, tych znowu zastąpiły jakieś nowe ludy, aż przyszli Arabowie i zajęli cały kraj. Szleu nigdy już nie powrócili na swoją ziemię, która do dnia dzisiejszego zazdrośnie ukrywa skarby waszych przodków.

— Trzeba je odnaleźć! — wykrzyknął Ras.

— Właśnie po to tu jesteś — odpowiedział, kładąc mu rękę na ramieniu marabut. — Posiadam dwie mosiężne tabliczki z planami skarbów, ukrytych przez starożytnych Szleu na północy. Podarował mi je i objaśnił ich znaczenie i wycięte na nich znaki jakiś stary meskin, rodem z Amizmiz...

— To blisko mojej wsi! — zawała góral.

— Ów meskin umierał na ulicy, wziąłem go do siebie, leczyłem i karmilem, lecz Allah dał mu krótkie życie. Umarł, a przed śmiercią przekazał mi swoje tabliczki, talizmany, chroniące od złych duchów, broniących skarbów, i skuteczne zaklęcia...

Marabut umilkł, milczał też i góral, czekając na dalsze słowa świętego człowieka. Po długiem milczeniu Szorf rzekł:

— Pójdziemy szukać skarbów, za pomoc wy nagrodzę cię sowicie. Czy chcesz?

— Będę ci wierny jak pies, jak niewolnik! — zawała Ras. — Muszę mieć dużo pieniędzy, aby stać się bogaty i potężny i wtedy znowu zacznę żyć, jak ludzie uczciwi, a nie jak włóczęgi, wygnańcy, żebracy. Cięży mi to, a w duszy mojej i sercu gnieździ się i żre mnie tęsknota, sidi!

Wyrzekł to z takim wybuchem bólu i namiętności, że marabut przyjrzał mu się bacznier i cichym głosem spytał:

— Co ci jest, synu mój?

Ras opowiedział marabutowi całe swoje życie, żalił się na los nielitościwy i, zdawało się, chciał wypłakać przed nim cały gorzki jad tęsknoty i rozpaczy, zatruwający mu duszę, serce i mózg.

— In cza Allah *) — szepnął marabut. — Może Allah dopomoże nam, a wtedy stanie się podług pragnienia twoego, synu!

Od tej chwili los związał tych dwóch ludzi.

Ras z podziwem i pewnym lękiem spoglądał na dwie małe podłużne tabliczki, porysowane drobnymi, zawiłemi kreskami, znaczkami i nieznanymi literami.

— To jest pismo kartagińskie,—objąsniał Szorf— pismo tego potężnego grodu, z którego pozostały zaledwie ruiny niedaleko od Tunisu. Bogaty to był gród, a mieszkańców jego byli biczem Allaha dla ludności całej północnej Ifrikii **), bo krzywdzili ją, rabowali i oszukiwali, wyciągając z kraju tego wszystko, co produkował rolnik, pasterz i rzemieślnik, nic wzamian nie dając oprócz srebra i rozpusty. Gród ten powstał jednak później z mniej-szych kolonij fenickich przybyszów. Z biegiem czasu fenicjanie tych kolonij połączyci się ze szcze-pami berberyjskimi i wytworzyli ludność odrębna, bardziej waleczną niż Fenicjanie i mniej od nich okrutną. To właśnie byli Szleu. Kartagińczycy jed-nak podbili te kolonje i zmusili je pracować dla Kar-taginy i dawać pożywienie i towary w czasie po-koju i ludzi w dobie wojny. Gdy Kartagina padła pod ciosami „rumani”, kolonje Szleu odrodziły się i istniały jeszcze długo, aż przypłynęły, jak już mó-więm, wielkie żaglowe łodzie o wysokich nosach zagiętych, jak szyje łabędzi lub wężów morskich.

*) Jak zechce Bóg.

**) Arabska nazwa Afryki.

Z tych łodzi wyszli wojownicy w hełmach i pancerzach*) i runęli jak bałwany oceanu na miasta i kasby obronne Szleu. Długo trwał mord, rabunek, gwałty i pożary, aż Szleu musieli się cofać, pozostawiając na zawsze swój kraj. Tam właśnie pójdzimy, Ras ben Hoggar, pójdzimy do kraju dwóch dalekich przodków. Może ich cienie będą ci sprzyjać i, odpędzając złych dżinnów, wydadzą ci skarby, ukryte w prastarej ziemi Szleu!

W kilka dni później marabut z Rasem jechali już autobusem z Marrakeszu do Rabatu.

Szorf ben Ihudi miał kilka spraw do załatwienia w Rabacie, gdzie się mieściła główna rezydencja sułtana Mulej Jussefa i jednocześnie zarząd protektoratu francuskiego nad Marokkiem. Sprawy marabuta były morder zagadkowe i Szorf nie wtajemniczał w nie swego nowego towarzysza. Ras widział innych marabutów, młodych i starych notabliów berberyjskich, mokkademów różnych sekt, czarnych żołnierzy gwardji sułtańskiej, handlarzy i meskinów, odwiedzających Szorfa ben Ihudi. Marabut zamkał się z nimi w zacienionej izbie, szeptem naradzał się, czytał jakieś listy i coś pisał.

Korzystając z wolnego czasu Ras zwiedzał Rabat. Miasto wydało mu się obce, gdyż wszędzie spotykał domy, biura, sklepy i koszary „rumani”, tych „berrania”, dla których górale czują niezwalczoną pogardę. Dla Rasa, prawowiernego „mumena” za mało tu było meczetów i medersa, za mało „suk” i „kisaria”, a nawet tłum tubylczy wzburzał w jego duszy jakiś protest, ponieważ spotykał już Berberów w europejskich ubraniach i obuwiu, a oprócz tego tłum ten był zupełnie pomieszany z cudzoziemcami, do których nie czuł już widocznie żad-

*) Byli to Normanowie.

nej odrazy. Dopiero za murami miasta wypoczęła trochę dusza górala Szleu. Stało się to wtedy, gdy ujrzał potężny zamek obronny, tak zwaną — „kasę Udaja”, gdzie ten waleczny szczeć bronił Islamu i potęgi krwawego sułtana Mulej Izmaila. Grube mury, obronne baszty, potworne bramy, z ogromnych głazów ciosanych złożone, przetrwały wieki i burze dziejowe, i góralowi wydawało się, że kasba surowych Udaja szepce mu o dawnej sławie i cnotie wojowników Proroka i grozi komuś ponurem pomrukiem.

Ras zwiedził zagadkowy minaret Hassana i rujny meczetu przy nim, — ogromne gmachy, które nigdy nie były wykończone i stoją w zwaliskach śmiertnych i zagadkowych od dnia, gdy je wznieziono podług pomysłu Maura z Sewilli imieniem Džeber, na rozkaz wielkiego sułtana Jakuba Zwycięzcy; ścieżką, wijącą się wśród drzew oliwnych i granatowych, przeszedł góral brzegiem rzeki Bu-Regreg do kotliny, pełnej bujnej, szmaragdowej roślinności, gdzie bielały ściany i kopuły kilku kubb i wznosił się strzelisty minaret nad zburzoną i krzakami porosłą świątynią Proroka. Była to Czella, gdzie znaleźli dla siebie miejsce ostatniego spoczynku wspaniali władcy Merinidzi, a wśród nich cnotliwe, piękne i święte Lalla Regraga i Czems ed Ducha, przezwana „słonkiem porannem”...

Długie godziny przesiadywał tu w cieniu drzew pomarańczowych Ras i, słuchając opowiadań meski na o żonie sułtańskiej, która była dla władcy „słonkiem porannem”, myślał z tesknotą niewysłowioną i ze łzami w oczach i sercu o Czar Aziza, swoim płomyku, swojej orlicy, swojem ukochaniu...

Nareszcie pewnego dnia marabout rzekł do Rasa:

— Pójdziesz do kupca Ali Sulhak ed Khiber, zabierzesz od niego i przyniesiesz tu wszystko, com zamówił.

Ras poszedł i przywiózł na trzech dobrych mułach — worki z żywnością, rydle, kilofy, różne przyrządy, namiot, naczynie do gotowania strawy, jakieś pudła i dużo innych rzeczy, nieznanych i niewidzianych nigdy przez górala.

Nazajutrz rano wyruszyli, idąc przy objuczonych mułach na północ, a w niewielkiej odległości od miasta Sale skręcili na wschód, gdzie wkrótce ogarnął ich cień, rzucany przez wysokie dęby korkowe. Był to las Mamora, miejsce, w którym dawni Szleu ukryli część swoich skarbów przed najeźdźcami.

Poszukiwacze jechali narazie szeroką drogą, którą mknęły samochody i kroczyły wielbłądy, dążące do granicy Riffu lub do oceanu, lecz wkrótce zjechali na boczną ścieżkę i zaczęli zagłębiać się w las. Wysokie dęby obstąpiły jeźdźców ze wszystkich stron i gąszcz stawał się coraz ciemniejszy. Jechali tak aż do zachodu słońca i wreszcie dotarli do niewielkich pagórków, porosłych lasem. Ujrzaeli tu wąwoz z haszczami krzaków, wysokiej trawy i steriącymi gdzieniegdzie spróchniałymi pniami, dawno zrąbanych lub strzaskanych przez burze dębów.

Marabut przejrzał raz jeszcze jedną z tabliczek, sprawdził położenie miejscowości w stosunku do słońca i zawałał.

— Dobrze mi opisał to miejsce meskin! Tu! Musimy ustawić w tych krzakach namiot, a sieć cicho, aby nas tu nie wykryto, gdyż wtedy — koniec naszej robocy!

Pracowali do późna poszukiwacze, a gdy księżyc zaczął zaglądać przez korony dębów do wąwozu, stał tam już namiot, pasły się niedaleko

uwięzane muły, i przy małem, ledwo dostrzegalnym ognisku siedziało dwóch ludzi.

Przez całą noc Szorf ben Ihudi obchodził wąwóz ze wszystkich stron, zaglądał do różnych skrytek, wyrw i dołów, szperał pod korzeniami zwalonejch drzew, a nawet grzebał w próchnie pni, raz po raz podnosząc do latarki swoją tabliczkę ze znakami.

Położył się dopiero przed wschodem słońca, a gdy na niebie zjawiać się zaczęły pierwsze pasma różowych, jeszcze mdłych i nikłych promieni słońca, które po chwili bryzneło roztopionem złotem — marabut zerwał się z posłania i obudził Rasa.

— Wstawaj! — zawałał — módl się gorąco i z głębi duszy do Allaha, aby dopomógł nam, — każdemu w jego zamiarach — tobie w połączeniu się z żoną, mnie — w moich sprawach. Módl się, synu!

Podesławszy pod siebie skóry owcze, osunęli się na kolana i, zwróciwszy twarze na Wschód, zaczęli się modlić. Chociaż Ras modlił się gorąco, zauważyl jednak, że jego towarzysz używa jakichś niezrozumiałych słów: Czentut, Kerhul, Mikail, Mubrecz *), czyniąc przytem ruchy, zwykłe w rytuale muzułmańskim nie używane.

Nareszcie modły były skończone, obaj podnieśli się z ziemi, uczyniwszy ostatnie trzy pokłony w kierunku Mekki, wysławiając imię wysłańca Allaha-Proroka Mahomeda. Ras milczał, spoglądając na niezwykle poważną i skupioną twarz marabuta, który coś wyjmował z małego woreczka, zawsze

*) Patrz: Magie et Religion dans l'Afrique du Nord par le prof. Edmond Doutté, Alger 1909 oraz Robertson Smith, Religion of Semites i Wellhausen, Reste arabischen Heidentums.

wiszącego na pasie razem z nieodstępna „czakras”. Po chwili wyjął długi sznurek z wiszącemi na nim szkaplerzami różnych rozmiarów i form.

— Nałoż to i noś ciągle przy poszukiwaniach rzekł, oddając je góralowi. — Są to amulety, odganiające złe duchy i potwory, broniące ukrytych skarbów.

— Oddajesz mi wszystkie amulety, sidi, — zauważył Ras — i żadnego nie pozostawiasz sobie?...

— Nie potrzebuję tego, — odparł marabut — jestem szeryfem, to znaczy potomkiem wielkiego proroka, i — marabutem. Posiadam zatem siłę i wiedę „tasaruf”, *) ona pozwala mi wlać wszystkimi potęgami natury i daje panowanie nad złymi duchami. Zresztą zanim wybrałem się na tę wyprawę, przeszedłem „riada” — wielkie umartwienie ciała w ciągu dwudziestu siedmiu dni, to czyni mnie niezwyciężonym dla dżinnów i podziemnych potworów, synu mój.

Ras jednak spostrzegł, że marabut włożył jakiś okrągły przedmiot za pas, starannie go zapinając.

— Co to jest? — zapytał towarzysza.

— Jest to „teffah el dżann”, czyli jabłko dżinów, korzeń nieznanej, magicznej rośliny, przywieziony z ziemi Persów **) — o bjaśnił marabut. — Potrzebne mi jest to jabłko dla zaklęć magicznych, od

*) Prof. E. Doutté, l. c.

**) Podług prof. Doutté, Mulieras i innych orientalistów „teffah el dżann” jest korzeniem rośliny mandragora, przywożonej z Persji i z zachodnich Indij, gdzie roślinie tej przypisują cudowne i magiczne właściwości, podobne do właściwości chińskiej rośliny dżen-szen, opisanej w mojej książce „Przez kraj ludzi, zwierząt i bogów”.

których rozpoczniemy naszą pracę. Iymczasem bierz rydle i kilofy, synu mój i zaczynajmy w imię Allaha Akbar!

Marabut szedł pierwszy i co dziewięć kroków wtykał w ziemię małe deseczki, na których robił jakieś znaki.

— Co to oznacza? — oczami zapytał Ras.

— To znaki duchów, potęg ziemi, podziemia i powietrza, — szepnął Szorf ben Ihudi.

Wetknąwszy ostatnią, stanął przy wielkim stosie zwalonej kamieni i szepnął:

— Teraz wszystkie potęgi będą broniły naszego odwrotu...

Marabut wyprostował się i, podniósłszy obie ręce do nieba, zawałał:

— Błagam cię na twoje starożytne imię, dopomóż mi!

Wymówiwszy głośno te początkowe słowa „wielkiego zaklęcia” podług rytuału białej magii „karaoma”, marabut zaczął szeptać formuły magiczne, przeplatając je niezrozumiałymi słowami: „El Ahmer, Mudib, Borkan”, przy każdym nowem zaklęciu dotykając „jabłka dżinnów”. —

Nareszcie umilkł i, wskazawszy oczami na stos kamieni, rzekł:

— W imię Allaha, który poniża i wywyższa, zaczynaj, sługo Allaha, Ras ben Hoggar!

Góral zaczął odwalać kamienie, porośnięte krzakami i popłataną trawą.

Spłoszył kilka niejadowitych wężów, a ujrzałszy wkrótce wiperę, uśmiechnął się, przypomniawszy długą, zgarbioną postać zaklinacza i czarne oblicze Ed Ksela o końskich żółtych zębach i siennych, obwisłych wargach.

Góral pracował bez wytchnienia, aż rozrzucił cały stos i dotarł do ziemi.

— Teraz do rydli! — zawała marabut, rzucając się do roboty.

Kopali do zachodu słońca, zapominawszy o pragnieniu i głodzie. Kopali po modlitwie wieczornej do chwili, gdy zapadła noc. Wtedy dopiero powrócili do namiotu i posiliły się. Nazajutrz rozpoczęli pracę jeszcze przed świtem, a około południa rydle uderzyły o coś twardego.

— Skała! — zawała Ras.

— Podziemie... — poprawił go marabut. — Murowana skrytka dla skarbów, należących do dawnych Szleu.

Zaczęli z nową siłą wyrzucać ziemię, szukając wejścia do Lochu. Po długiej i mozołnej pracy istotnie znaleźli je. Była to duża płyta kamienna, zamkająca otwór, prowadzący do wnętrza.

Z trudem odwalili płytę i oczom ich ukazał się dość szeroki otwór, prowadzący do niewielkiej, ciemnej skrytki, skąd wionęło na nich wilgocią i zgnilizną.

Mrucząc zaklęcia, marabut wszedł do podziemia, a za nim z bijącym sercem wślizgnął się Ras. Zapalili dwie latarki i oglądali podziemną skrytkę. Była to nieduża cela, posiadająca sześć kroków wzdłuż i cztery wszerz. Ziemia była wilgotna, a na kamiennych ścianach narosły połyskujące przy świetle latarek stalaktyty, podobne do skamieniałych strug wody. Na wilgotnej ziemi w różnych miejscach widniały zielone plamy, zgniłe skrawki skóry, kilka zardzewiałych kawałków żelaza, podobnych do kling mieczy, lecz bez rękojeści, na miejscu których ujrzały zielone kupki piasku.

— To srebro i złoto, co w ciągu wieków w proch się rozsypało, — szeptem objaśnił marabut.

— Te kawałki żelaza zabieramy ze sobą, bo „rumani” płacą za nie dobre pieniądze, składając

te niepotrzebne, zniszczone stare odłamki w muzeach za szkłem.

Ras zaczął zbierać stare klingi i związał je rzemykiem.

— Musimy kopać tu, możemy jeszcze coś znaleźć w ziemi! — rzekł Szorf ben Ihudi, zabierając się do roboty. Ras poszedł za jego przykładem.

Nie wiedzieli, czy był jeszcze dzień, czy nastąpiła już noc, gdyż byli pochłonięci pracą. Nareszcie natrafili na kilka kamieni, pod którymi w niewielkim zagłębieniu znaleźli trzy brązowe kubki, napełnione różnymi klejnotami, ozdobione drogiem kamieniami, złotymi lańcuszkami i blaszkami.

— Nieduży to skarb — zauważył marabut, — lecz i za niego sowicie zapłacą nam cudzoziemcy. Ale z tego wszystkiego najlepsze i najważniejsze, że meskin prawidłowo odcyfrował tabliczki i że jesteśmy na dobrej drodze. Tabliczki moje zawierają wskazówki ośmiu miejsc ukrytych skarłów, więc możemy się spodziewać, że w jednym z nich znajdziemy prawdziwe i wielkie bogactwa.

W wykrytym przez marabuta Lochu, wyrzucając ziemię do późnej nocy, znaleźli jeszcze kilka starych monet, które miały być, jak twierdził Szorf ben Ihudi, kartagińskiego pochodzenia, i jakieś drobne złote przedmioty, używane niegdyś do upiększenia kobiet Szleu, gdy szczep ten tworzył wielkie i bogate państwo, posiadając w górach Riffu kopalnie złota, o czem mówią stare, bardzo stare podania, istniejące do naszych czasów na północy Afryki.

Nazajutrz w wąwozie, w gąszczu Mamory, nikogo już nie było; nawet śladów nie pozostało po poszukiwaczach skarłów. Zgnieciona przez ludzi i muły trawa podniosła się, prostując i wyciągając swe listki ku słońcu, które tu w cieniu gę-

tych, wspaniałych dębów było nie wrogiem, lecz dobrem bóstwem dla wszelakich drobnych roślin, rodzących się i żyjących w mroku. Ognisko było zalane wodą, a węgle, opalone gałęzie i popiół rzucone w haszcze. Dół ze skarbami zasypano wydobytą ziemią i przywalono kamieniami, a wśród nich urządzały nowe legowisko spłoszone węże, brunatne skorpiony i chyże skolopendry.

Poszukiwacze skarbów byli już daleko, przeszierając się przez las i dążąc na północ. W okolicach Sebbana marabut ze swoim towarzyszem przekroczyli granicę hiszpańską i wtedy zaczęli, kryjąc się w górach, posuwać się na wschód, aż ogarnęły ich spadki pierwszych odnog grzbietu Riff.

Tu wrzała już wichura wojenna. Szalony Abd el Krim zerwał walecznych górali Kabiliów z ich skalnych gniazd, z niebotycznych pastwisk i dzikich wąwozów, dał broń w ręce i rzucił w serca wojowników gorące pragnienie zemsty nad przybyszami, co byli niegdyś niewolnikami potężnych emirów Mahrebu, władców, co przychodzili z głębin pustyni, z bezgranicznych przestrzeni stepów i z uwieńczonych śniegami i chmurami gór Wysokiego Atlasu.

Po wsiach i kasbach podróżnicy znajdowali tylko starców, kobiety i dzieci, lecz i ci milczeli ponuro, patrzyli surowo i nieprzychylnie, a po nocach wieźli dokądś wory z mąką, suche placki, mięso i sól.

Marabut jednak odwiedził jakąś wielką zauja *), gdzie mokkadem dał mu przepustkę, z którą podróżowali dalej wygodnie, ponieważ spotykano już ich uprzejmie i z zaufaniem.

*) Meczet, należący do sekty lub bractwa religijnego.

Przejeżdżając przez duże wsie, widzieli formujące się wojska powstańcze. Zdziwiła ich duża ilość cudzoziemców i muzułmanów z innych krajów. Byli oni instruktorami, nauczycielami Kabilów i wprawiali górali Riffa do wojny z Europejczykami.

Szorf ben Ihudi zostawał w różnych miejscach, gdzie były większe zgromadzenia powstańcze, jakieś listy i jechał dalej, tajemniczy i milczący.

Ras domyślał się, że marabut przewoził i dostarczał listy od wodzów niepodległych, lub niezdowolonych z sułtana szczepów z francuskiego Marokka do Abd-el-Krima, lecz milczał i nawet rad był w głębi duszy, że coś się robi przeciwko „rumani”, którzy rękomą kaida Glaui złamali jego życie i rozłączyli z ukochaną kobietą.

Wreszcie wszystkie listy zostały doręczone i marabut szybko posuwać się zaczął na południe ku granicy francuskiej. Szorf ben Ihudi jechał, kierując się znakami jednej ze swoich tabliczek, aż trafili do wąskiego i głębokiego jaru z kilku czarnemi czeluściami grot w jego spadkach. Tu wśród zwalów skalnych podróżnicy rozbili swój namiot i zaczęli poszukiwania.

Marabut z Rasem przetrząsnęli wszystkie jaskinie, aż w jednej znaleźli znaki, podobne do tych, które były wyrznięte na tabliczce. Tu zaczęli dziobić ziemię kilofami i ciąć swemu rydlami, aż doszli do innej groty, widocznie niegdyś rękom ludzkiem umyślnie zasypanej ziemią, gliną i drobnymi odpadkami skał. W jaskini tej, dokąd długo a bezskutecznie starali się przedostać, bo nie mogli w niej narazie oddychać i pracować, gdyż świece w latarkach gasły, znaleźli znaczny skarb. Był to dość duży gliniany dzban z kartagińskimi znakami i rysunkami, do połowy napelniony złotym proszkiem. Poszukiwacze wynieśli z jaskini także dwie kamien-

ne r'yty, pokryte rysunkami i niezrozumiałemi napisami.

Gdy marabut, siedząc w namiocie, dzielił złoto, usłyszeli w wąwozie szczek podków i po chwili kilku jeźdźców otoczyło poszukiwaczy. Nie pomogła przepustka, pokazana przez Szorfa. Marabutowi i Rasowi związano ręce, wsadzono na muły i odstawiono do wielkiego obozu.

Stawiono ich przed człowiekiem o okrągłej, zawijetą twarzy, czarnych oczach i okazałej postaci. Był to Abd-el-Krim, wódz powstańczych Kabiliów, walczących z Hiszpanami. Po krótkiej rozmowie z marabutem, wódz zamknął się z nim w jednym z domów i długo naradzali się. Gdy marabut wyszedł od Abd-el-Krima, żołnierze natychmiast zdjęli więzy z rąk górala i zaprowadzili obydwóch do wielkiej szopy, gdzie ich nakarmiono i ulokowano.

W dwa dni po tym wypadku poszukiwacze jechali już swobodnie, kierując się na Fez — stolicę francuskiego Marokka.

— Zabrali nam nasze skarby! — rzekł z westchnieniem Ras, gdy minęły granicę Riffu. — Zbój!

— Oddadzą, nie bój się! — zawałał marabut. — Bądź dobrej myśli, synu!

Jechali długo, aż ujrzały w oddali strzelające ku niebu minarety dużego, białego miasta, otoczonego ciemno-zieloną ramą roślinności.

— To Fez el Bali, gród świętego sułtana Mulej Idrissa el Azhar! — zawałał marabut i, zsiadłszy z muła, jał bić pokłony do ziemi, powtarzając słowa wielkiej modlitwy;

— Bismi Llahi Rahmani r Rahim u uali Mulej Idriss el Azhar alem, sidi ed mumin *).

*) W imię Boga miłościwego i miłosiernego i świętego Mulej Azhar, nauczyciela i pana wiernych.

Modlił się też i Ras, gdyż wiedział, że oto tam w kotlinie, śród drzew oliwnych, w ramie zielonych gór, uwieńczonych staremi basztami, leży najwspanialsze miasto Mahrebu, stolica wsławiona mądrymi i potężnymi władcami, słynnymi na cały świat muzułmański i zasłużonymi przed Islamem „ulema”; najwybitniejszymi artystami i majstrami; siedziba bogaczy, wodzów, świętobliwych kapłanów, pieśniarzy; marzenie sułtanów wszystkich dynastii, wiedzących, że Fez, Fez-el-Bali, to — perła, to — djament w koronie władców Marokka, wielki sztandar wiary i nauki, kolebka Koranu, przyniesionego tu przez Idryssydów, potomków Ali, zięcia Wielkiego Proroka, ognisko potężnych zamierzeń i niegasnącej nadziei polityków arabskich i berberyjskich.

Słońce jeszcze nie chyliło się ku zachodowi, gdy przez starożytną bramę Bab el Maruk wjechali do miasta, przecięli je i w dzielnicy Medina stanęli w dużym „dar”, pałacu jednego z notabłów, pochodzących ze starej rodziny Kejruańskiej *).

Marabout rozpoczął tu działalność, podobną do tej, jaką Ras zauważał w Rabacie. W izbie Szorfa ben Ihudi znowu roiło się od gości. Uczeni ulema z medersa Bu-Anania, poważna starszyna fezańska, sędziwi mułłowie, bogaci kupcy, prawnicy, studenci-tolba, meskini i jakieś nieznane postacie, zawsze szczególnie otulone burnusami, przychodziły, narażały się i wychodziły w milczeniu i w tajemnicy. Niewolnicy wyprowadzali gości podziemnymi przejściami na ciemne załuki przez boczne, starannie ukryte drzwiczki w grubych murach lub w fundamencie domu gdzie przechodziła „seguja”, czyli kanał.

*) Kejruan — miasto w Tunisji, skąd przybyły do Fezu najstarsze rodziny, po których przeszli Maurowie andaluzyjscy.

Góral kilka razy spostrzegł, przez niedośc starnie zamknięte drzwi pokoju marabuta, że Szorf ben Ihudi przed każdym z przychodzących do niego gości, odsłaniał prawe ramię, coś pokazywał, a wtedy odwiedzający go człowiek, skłaniał się przed nim aż do ziemi i całował go w połę płaszczu. Góral długo przemyślał nad tem, aby ujrzeć zbliska ramię swego towarzysza. Udało mu się to niespodziewanie. Marabut zawałał go pewnego razu i prosił, aby ogolił mu głowę i dopomógł przy wdziewaniu nowych szat, ponieważ Szorf ben Ihudi wybierał się z wizytą do ulema jednej z medersa.

Wtedy to Ras spostrzegł na ramieniu marabuta wydrapany, jeszcze czerwony i ropiący się wyraz:

— Alam akhdar...*)

— Święta wojna? — zapytał drżącym głosem góral.

Marabut drgnął i zmarszczył brwi.

— Może być... może być — szepnął po chwili. —

Ale na Allaha, jeżeli ci życie miłe, — milcz! milcz!

— Rozumiem, sidi! — rzekł Ras. — Lecz gdy zielony sztandar będzie już powiewał, powiedz mi, bo chcę walczyć i zemsty dokonać!...

— Dowiesz się, synu, sam! — szepnął marabut. Bo będzie to godzina burzy, co grzmotem i piorunami spadnie na głowy niewiernych! Czas już nadchodzi...

— In cza Allah! — odpowiedział Ras, całując Szorfa w rękę.

— Hua Llalu elladhi la ilaha illa hua!**) —

*) Zielony sztandar — znak „świętej” wojny muzułmanów z „niewiernymi”.

**) Ten, poza którym niema innego Boga. Werset Koranu w klasycznym języku arabskim, czyli „lughah” (boska mowa).

rzekł natchnionym głosem marabut, podnosząc oczy ku niebu. — On — Wielki i Sprawiedliwy tego chce! Allah el Hadi, Allah Malik el Mulk *) woła do czynu wszystkich wiernych od krańca do krańca ziemi! ...

Więcej o tem nie mówili, lecz Ras padł przed marabutem na kolana i rzekł:

— Zdrowie swoje, swoje szczęście, swoje życie oddaję wielkiej sprawie, tak niech mi dopomoże Allah!

— Słyszał on przysięgę twoją, synu, i da ci pocieszenie tu, na ziemi, czy tam, w obliczu swojem, bo Allah jest „el Dżebbar” i „el Muhyi” **).

Ras odwiedził z przepychem wzniezioną świątynię, gdzie stał grobowiec patrona Fezu — sułtana Mulej Idrissa, założyciela miasta. Tu modły zaniósł gorące o powodzenie sprawy, która miała wywyzszyć Islam nad wszystkie inne nauki, przywrócić starodawną tradycję „hadith”, a z nią razem przywrócić jemu, niegodnemu niewolnikowi Allaha, marnemu słabemu robakowi, — prawo do wolności, życie, miłość i szczęście.

Od tej chwili Ras nie opuszczał nigdy marabuta, był ciągle przy jego drzwiach, jak najwierniejszy niewolnik, jak pies łańcuchowy, gotów na pierwsze zwołanie obronić swego pana i wykonać najtrudniejsze i najniebezpieczniejsze polecenie bez namysłu i bez obawy o swoje własne życie i o swój los.

Dziesiąty dzień już mijał od chwili przybycia do Fezu, gdy marabut skinął na Rasa i szczerle zamknął za nim drzwi.

*) Allah — wódz, Allah — król królów.

**) Wszechmocny i dający zmartwychwstanie.

— Słuchaj, Ras ben Hoggar! — zaczął szepać do niego, ściskając go za rękę. — Sprawy idą dobrze! Wieść o świętej wojnie szerzy się, jak wzbryany potok w głębokich podziemiach. Lada chwila wyrwie się na powierzchnię ziemi, a wtedy nikt go już wstrzymać nie zdoła! Wielki wódz Abd-el-Krim dał mi zlecenie, abym się rozmówił z tymi, którzy dadzą hasło i poprowadzą szczepy i tłuszczyę miejską na „boże dzieło”. Lecz to nie wszystko! Najtrudniejsza robota przed nami!

— Mów, rozkazuj, sidi, spełnię wolę Allaha, wodza i twoja! — zawała Ras.

— Kalif Abd-el-Krim ma wrogów bez liku — ciągnął — więc są tacy ludzie, którzy nie chcą jeszcze uznać go za wodza i za kalifa. Abd-el-Krim polecił mi wynaleźć stary buńczuk sułtanów Saadien, najstarszych szeryfów w Mahrebie *). Musimy szukać go w Marrakeszu, w zburzonym przez Alauitów **) meczecie, gdzie się mieszkały grobowce Saadien. Rozumiesz?

— Rozumiem, sidi! — zawała Ras. — Kiedyż wyruszmy do Marrakeszu?

— Dziś jeszcze! bądź gotów na południe — zakończył rozmowę marabut, otwierając drzwi.

Tegoż dnia, późno wieczorem, duży pasażerski autobus, przybywszy do Marrakeszu, wyrzucił ze swego wnętrza tłum Berberów, a wśród nich Szorfa ben Ihudi i Rasa ben Hoggar. Pozostawiwszy na dawnem mieszkaniu swoje rzeczy, towarzysze wyszli na miasto i skierowali się w stronę Dar el Mahzen ***) , a właściwie w stronę labiryntu uliczek

*) Potomków proroka Mahomeda.

**) Alauit, dynastja, która zwalczyła szeryfów Saadien i panuje do czasów obecnych.

***) Pałac sułtański.

w kasbie, znacznie zburzonej przez sułtana Alauita — szalonego Mulej Izmaila.

Po drodze Szorf mówił do Rasa:

— Mieszka tu gdzieś jeden meskin, który zna wszystkie zakątki panteonu władców Saadien. On nam dopomoże, bo należy do sekty Ajssaua *), która jest w porozumieniu z wielkim wodzem.

— Jak się nazywa ten meskin? — spytał góral.

— Imię jego jest Hassan el Mekki — odpowiedział Marabut.

— Znam starego Hassana! — zawała Ras. — Wiem, gdzie mieszka kulawy, ślepy na jedno oko meskin. Bywałem u niego często, gdy pracowaliśmy tu z Soffem — zaklinaczem. Pokażę ci, sidi, norę Hassana el Mekki... Chcę cię jednak zapytać, sidi...

— Mów!

— Dlaczego wielki wódz życzy sobie mieć buńczuk władców Saadien?

— Stara to tradycja! — odpowiedział Szorf ben Ihudi. — Buńczuk ten został przywieziony szeryfom Saadien ze Stambułu od kalifa prawowiernych, jako oznaka, że Saadien są prawdziwymi szeryfami i mają prawo na kalifat, gdyby przerwała się linia kalifów stambulskich. Gdy teraz padyszacha na tronie tureckim już niema, ten buńczuk w ręku Abd-el-Krima da mu prawo do kalifatu i do naczelnego dowództwa w razie świętej wojny...

*) Ajssaua — relig. bractwo muzułmańskie, założone w 17-ym wieku przez proroka Ajssaua (Jezusa), stanowi ono potężną organizację proletariatu. Z nią się liczą nawet sułtanowie, bo Ajssaua przyjmuje udział we wszystkich zaburzeniach politycznych.

— Rozumiem... — szepnął Ras. — Powinniśmy znaleźć ten buńczuk!

— Będziemy go poszukiwali — kiwnął głową Szorf.

Wkrótce odnaleźli barłog żebraka i razem z nim skierowali się ku panteonowi szeryfów. Wszystkie wejścia do niego były jednak zamknięte, gdyż godzina była późna. Jednak Hassan, mrugając zdrowym okiem, poszedł do bramy i zaczął mocno kłatać i wołać na odzwiernego.

— Wszyscy stróże wyszli z domu — rzekł nareszcie. — Nikogo niema. Dobra nasza! Przejdziemy inaczej!

Doprowadził marabuta i Rasa do koryta kanału, biegającego przez całą kasę.

— Idźcie tem łożyskiem przeciwko prądowi! — rzekł. — Ujrzycie podziemne przejście, którym płynie kanał, i tą drogą dostaniecie się na podwórze meczetu.

Twarzysze posuwali się korytem prawie wysokiego potoku i, doszedłszy do podziemnego kanału, nisko schyleni szli dalej, czując, jak ze sklepienia kapie na nich woda i z cichym szmerem zrywają się spłoszone nietoperze.

Po kilku minutach wyszli na podwórzu meczetu. Skradając się, zwiedzili całą świątynię, świecąc sobie latarkami. Minęły w milczeniu dwie sale z reszkami posadzki, niegdyś marmurowej, z kupami gruzów po kątach, z oknami rzeźbionymi w gipsie przez wprawnych majstrów andaluńskich, lecz pozbawionymi oddawna swoich barwnych szkieł, po których pozostała tylko oprawa z ołowiu. W tych mrocznych salach przy blaskach latarni połyskiwały złocone przed wiekami sufity, zdobne w zwijsające stalaktyty z rzeźbionego cedrowego drzewa, jeszcze roztaczającego miłą woń żywicy; bielały

duże płyty gipsowe z misterną koronką liter, składających opis życia i czynów sułtanów Abu Abd Allah el Kaim i Abu El Abbas El Mansur, który sława nieśmiertelną okrył całą dynastię Saadien. W ciemnych zakątkach gdzieniegdzie wyrastały z ziemi małe marmurowe grobowce dzieci królewskich, a było ich wszędzie dużo, chociaż czasem pozostał z nich tylko odłamek kamienia lub cegły fundamentu. Nareszcie dotarli do głównej nawy. Tu zatrzymali się w zdumieniu i zachwycie. Nie wiedzieli, co mają począć ze sobą—modlić się, lkać nad kimś lub nad czemś, co przeminęło bezpowrotnie, w rozpaczy łamać ręce, lub chwalić Allaha, który w mądrości swej posłał ludzkości śmierć, bo echa jej budzą w sercach rzewne odgłosy, wdzięczną pamięć i chęć do życia, pięknego a pełnego czynu.

Wszedłszy do panteonu, ujrzelii las kolumn, ginących wysoko pod sklepieniem, gdzie zapalały się i gasły złote błyski na ostrych kantach i drobnych płaszczyznach rzeźb. Kolumny majestatyczne i szlachetne w swych kształtach stały w świetle latarek, jak białe i majaczące widma, zastygłe w starym marmurze z Karary. Małe chyże iskierki i świątlane smugi połyskiwały na nich, gdy padały na marmur promienie światła, a z tyłu czaił się mrok tajemniczy i przejmujący, i cisza, przerywana cykaniem nietoperzy i szmerem snujących się wśród gruzów szczurów.

Ani marabut, ani Ras ben Hoggar nie wiedzieli, że każda z tych kolumn była pomnikiem...—pomnikiem ocalonego życia, ponieważ szeryfowie Saadien za każdą kolumnę płacili Włochom pięć miar cukru i pięć niewolnic chrześcijańskich, pędzących ciężkie i poniżające życie w kasbach i osadach wysokiego Atlasu.

Sród kolumn, w prochu i kawałkach odpadającego marmuru, gipsu i cedru stały grobowce szeryfów. Na pozołkły marmur padały niepewne blaski latarek, a wtedy występowalały — napisy, znaki i misterna, artystyczna rzeźba, wykonana dławem chrześcijańskich niewolników z Sycylji, Sardynji i Italji. Niektóre z grobowców tonęły w gęstym cieniu, rzuconym od kolumn.

Szeregi niskich, zapadłych już lub przysypanych do połowy sarkofagów — dużych, pod którymi spoczywały prochy władców i ich żon, małych — przechowujących srebrne trumienki sułtańskich dzieci, zrodzonych przez ukochane żony i ulubione niewolnice, zalegały całą nawę. W jednej ścianie był wykuty, niby w skale „mihrab”, *) na innej — tablica gipsowa z historią któregoś z szeryfów...

Wszędzie były w oczy pustka, zaniedbanie, wilgoć i niewdzięczność ludzka, niewdzięczność podła, rabia, ohydna...

Marabut, ochlonąwszy z pierwszych wrażeń, chodził po panteonie, dotykał drżącemi rękoma kolumn, fundamentów, ścian i nawet grobowców, lecz kamień, co przetrwał wieki, był jednolity i nieruchomy, jak skała, jak granitowa opoka, na której wznosił się gmach historii, tradycji i zaczarowany gród legend i baśni Mahrebu.

Przed północą towarzysze powrócili do domu, zmęczeni i zawiedzieni w swych nadziejach, lecz mimo to pełni jakiegoś niepojętego, cichego smutku, kojącego rozrzewnienia i wdzięczności za przeżyte chwile niezapomnianych wrażeń,

— Co będziemy teraz robili? — spytał marabut Rasa.

*) Niewielka nisza, gdzie staje mułła, czytający Koran.

— Przyprowadzę do ciebie, sidi, jutro Hassan, — rzekł góral. — Musicie się naradzić!

Istotnie nazajutrz jednooki i kulawy meskin przyszedł i, wysłuchawszy marabuta, padł mu do nóg i szybko opuścił dom.

Hassan powrócił w dwa dni później z jakimś nieznajomym Berberem. Rasa nie było o tej porze w domu, gdyż odwiedzał znajomych pieśniarzy, meskinów i zaklinaczy węzłów. Po długiej naradzie z marabutem, żebrak z nieznanym człowiekiem odeszli, odprowadzani błogosławieństwami Szorfa.

Wkrótce po ich odejściu, gdy marabut w swojej izbie modlił się, gdyż muezzin z pobliskiego minaretu wołał wiernych o zachodzie słońca do obcowania z Allahem, wpadł Ras.

Był blady, drżący na całym ciele, a miał tak straszną twarz i taką rozpacz w oczach, że marabut porwał się z kobierca i zawołał:

— Co ci jest? Mów przedzej!

Z głośnym, pełnym straszliwego bólu krzykiem Ras upadł na podłogę, zaczął się wić, jak rozdeptany robak, drapać podłogę i tłuć głową o ściany.

Od czasu do czasu wyrywały się mu głuche łkania i urywane pytania:

— Za co? Za co? Za co?

Z trudem udało się marabutowi uspokoić górala.

— Co ci się przydarzyło, synu mój, powiedz? — mówił Szorf, gładząc towarzysza po głowie i tuląc go do siebie, jak małe, skrzywdzone dziecko.

Przerywanym łkaniem i ciężkimi westchnieniami głosem, Ras zaczął opowiadanie:

— Poszedłem do znajomych, aby dowiedzieć się o Soffa... U Abu Khalima spotkałem męskina, który... który dopiero trzy dni jak powrócił z gór... z moich gór... był w mojej kasbie i spędził tam

dwa tygodnie. Opowiedział mi, że Aziza wyjechała, porzuciwszy dom... i pole... i ogród nasz... i drzewa oliwne...

Ras zaczął głośno łkać, drapać sobie twarz i wyrywać włosy.

— Dokąd i poco wyjechała? — pytał marabut, — co ci mówił o tem meskin?

— O-o! mówił mi ten człowiek, że stary kaid sprzedał Aziza handlarzowi niewolników — Arabowi Saffar el Snussi...

— Jak mógł sprzedawać kadi wolną kobietę? — pytał marabut.

— Podobno sama poszła do Saffara na niewolnicę!.. — wybuchnął Ras. — Zdradliwa żmija, niewierna suka, jaszczurka jadowita!

Góral zaczął biegać po pokoju, gryząc sobie ręce i bijąc się pięściami w głowę.

— Mówiąłeś przecież, że — rzekł, stojąc przed nim marabut, — mówiąłeś, że jest dumna, śmiała i silna, jak orlica? Nie może być, żeby uczyniła to bez przyczyny, dla zdrady, dla siebie samej... Nie wierzę! Coś się musiało stać, co zmusiło ją do tego.

Ras schwycił Szorfa za rękę i przycisnął do niej usta.

— Jestem pies, jestem podły szakal!.. — wołał, łkając. — Skrzywdziłem Czar Aziza, radość i słońce mego życia! Daleś mi opamiętanie, sidi, rzucisz promyk nadziei... Lecz cóż to pomoże teraz? Przecież Arab Saffar odsprzeda ją przedsiębiorcom, którzy handlują po miastach miłością kobiet-niewolnic... Zginie Aziza... Gdzie ją znajdę teraz... i czy mam jej szukać teraz, gdy się stała ladacznicą, należącą do każdego, któremu się podoba i który zapłaci za nią, za jej pieszczoty, za jej miłość, za miłość mojej Czar Aziza, której ślady stóp gotów byłbym całować, dla której chciałem jeszcze godzi-

nę temu podbić cały świat?... O-o-o! Biada mi!
Biada! Allah-Sędzia dotknął mnie karzącą dlonią
swoją i niemasz już dla mnie ratunku, pociechy
i zbawienia! Przeklęty jestem...

Ras padł na ziemię i tarzać się zaczął z bólu
i rozpaczły.

Długo uspakajał go marabut, lecz widząc, że
nic nie pomaga, i że góral odchodzi od zmysłów,
rzekł poważnym głosem:

— Pozostaje ci jeszcze zemsta, synu...

Ras nagle umilkł, zaczął się i po chwili pod-
niósł głowę i oczy pałające wparł w twarz towa-
rzysza.

— Powiedziałeś mocne i sprawiedliwe słowa,
sidi, Szorf ben Ihudil Krwawa zemsta zostanie do-
konana, gdyż wielka i niesprawiedliwa krzywda
spotkała mnie. Zemszczę się!... Dziś jeszcze wy-
ruszę w góry...

Marabut opuścił głowę i zamyslił się głęboko.
Widocznie ważył jakieś myсли i nie miał na nie
odpowiedzi i postanowienia. Wreszcie podniósł oczy
na bladą, skamieniałą w zawziętości twarz Rasa
i wyszeptał:

— W Fezie, gdzie żyje cień wielkiego Mulej
Idrissa, władcy i „uali” *), wyrzekłeś, synu, przede
mną i przed Allahem takie słowa: „Zdrowie swoje,
swoje szczęście, swoje życie oddaję wielkiej spra-
wie, tak mi dopomóż Allah!”

Ras drgnął i wyraz lęku i wahania przemknął
mu po twarzy.

— Powiedziałeś? — pytał marabut surowym
głosem.

Góral głowę stroskaną opuścił, ręce ścisnął,
aż stawy trzeszczeć zaczęły, i szepnął:

*) Święty.

— Powiedziałem...

— Tak — powiedziałeś i słowa twoje słyszał Allah i zapisał je w księdze przeznaczenia, — mówił Szorf ben Ihudi. — Słuchaj, Ras ben Hoggar, słuchaj, człowieku, którego dotknął palec Boży! Oto ja, sługa Allaha, ja — marabut, posiadający wiedzę „tassaruf”, a widzący daleko w przyszłość, oznajmiam ci, że nastął czas, abyś oddał siebie z krwią swoją, swoją myślą i swym bólem wielkiej sprawie, albowiem przychodzi godzina czynu!

Skończywszy, marabut opuścił się na posłanie i rozpoczął nanowo przerwaną modlitwę, a modlił się namiętnie i żarliwie, powtarzając w przerwach gorącym szeptem słowa świętego proroka El Dżilali:

— Nie sądz nas, Allah ecz Czadiel, *) podług słów naszych, lecz osądź podług naszych czynów, o, Allah Ed Darr **).

Z głośnym krzykiem, niby wołaniem o pomoc i zbawienie, rzucił się mu do nóg Ras i, łamiąc sobie ręce i łkając, jęczeć zaczął:

— Spełnię, com zaprzysiągły... Zapomnę o wszystkim, wtłoczę na dno serca ból mój i mękę moją i służyć pójdę sprawie, bo taka jest wola Allaha-Pocieszyciela...

Łzy przerwały mu mowę i, zanosząc się od płaczu, tulił się góral do marabuta i żalił się mu na ludzi i na cały świat swoją niemą rozpaczą i wielkim poświęceniem.

Szorf ben Ihudi powstał, ręce położył na strokanej głowie górala i rzekł natchnionym, przejmującym głosem:

— W imieniu Allaha, ja — sługa Jego, mówię ci, Ras ben Hoggar, że prędko przyjdzie czas, gdy

*) Straszliwy.

**) Groźny.

nieznośny ból twoego serca będzie ukojony na zawsze, bo taka jest wola Stwórcy i Sędziego, starożytne imię którego niech chwalą ludzie przez wieki i wieki od krańca ziemi i do krańca!

Długie milczenie zapanowało w izbie. Natchniony marabut i zboleły góral czuli, że w tej chwili patrzyło na nich groźne, lecz sprawiedliwe oblicze Boga, który wyznaczył drogi życia każdemu człowiekowi, każdemu zwierzęciu, każdej roślinie podług prawa przyczyn i celów, wytkniętych przez niego w mądrości Jego niezgłębionej.

— Wstań teraz i słuchaj, Ras ben Hoggar! — rozkazał marabut.

Ras podniósł się błydy, lecz spokojny, i rzekł surowym głosem:

— Słucham ciebie, sidi!

— Opowiem ci, co dziś zaszło, gdyś był na mieście!

Marabut opowiedział towarzyszowi, że meskin Hassan sprowadził do niego Berbera, który był potomkiem Mahdi *) Bassę, walczącego przeciwko dynastii Alauit. Berber twierdził, że Bassa wykradł z panteonu Saadien buńczuk kalifów i przekazał go swym potomkom.

— Ten człowiek obiecał mi i przysiągł na Proroka, że dostarczy mi buńczuk Saadien — zakończył opowiadanie marabut. — Jest on wrogiem „rumani” i Alauitów i sprzyja Abd-el-Krimowi! Za jakie trzy dni będziemy mieli buńczuk i pojedziemy do wielkiego wodza, do Riff. Nie mogę wieźć go sam! Pojedziesz ze mną, bo gdy ja zginę, ty oddasz wodzowi znak kalifów...

*) Wódz wszczynający świętą wojnę; arabskie znaczenie tego słowa jest „wódz doby”.

— Uczynię, jak każesz! — rzekł Ras i wkrótce opuścił izbę marabuta, gdyż ten zaczął pisać listy i przeglądać jakieś papiery, przyniesione przez posłańca od wodzów szczepów, koczujących na południe od Tazy*).

Szorf czekał w Marrakeszu cały tydzień, aż powrócił Berber. Przyjechał na dwóch wielbłądach, naładowanych długimi wiązankami suchych liści palmowych, używanych do wypalania cegły i dachówek.

Pozdrowiwszy marabuta, Berber jeszcze raz zażądał okazania mu znaku wyciętego na ramieniu Szorfa ben Ihudi, i pisma Abd-el-Krima, poczem wydobył z wiązanki palmowych liści długie, zupełnie czarne drążki, nabijany srebrnemi guzami i blachami. Było to drzewce starożytnego buńczuka Saadien, buńczuka, który nieraz powiewał nad wszystkimi miastami Mahrebu, a później przechodził w ręce „mahdi” i innych wodzów, walczących o niepodległość szczepów górskich, lub o powrót na tron Marokka dawnych szeryfów-władców, potomków Proroka, który widział oblicze i słyszał głos Allaha-Stwórzy, Króla królów i Pana wiernych.

Na końcu drążka pozostały jeszcze resztki zardzewiałego, kruszącego się od starości ostrza i kilka krótkich kosmyków włosów końskich, pomalowanych na czerwono.

Na środku drzewca stał wyrżnięty i wykładany srebrnym drutem zawiły rysunek talizmanu z niezrozumiałymi imionami.

*) Taza — miasto, położone na wschód od Fezu Na południe od Tazy od szeregu lat w re powstanie, podtrzymywane przez niepodległe sułtanowi marokańskiemu szczypy, z którymi walczą Francuzi, broniący praw i władzy sułtana.

— To „El Buni”! — szepnął marabut. — Najstarszy i najpotężniejszy z talizmanów. Daje on moc nadprzyrodzoną i władzę nad życiem i śmiercią człowieka, narodów całych i państw. Przeszedł on do Berberów ze starego Egiptu, gdy tam panowali magowie, którzy pochodzili z krainy ludzi o czerwonej skórze i o włosach, jak złoto.

Marabut Szorf ben Ihudi zaledwie tyle wiedział o talizmanie „El Buni”. Tymczasem dzieje jego były dziwne i nieraz w życiu ludów nabierał on wielkiego znaczenia. El Buni był nakreślony na lasce Mojżesza, który wykrał go ze świątyni egipskiego Ozirisa, gdzie magowie nigdy nie ukazujący się tłumowi, ukrywali i strzegli „Księgi umarłych”; miecz proroka Daniela miał na rękojeści talizman El Buni, znaki jego zdobiły szaty Józefa, gdy był on ulubieńcem, doradcą i magiem faraona; mądry i wspaniały Salomon, król Izraela, nosił El Buni na obuwiu, gdy zasiadał na tronie, aby sądzić lud swój i rozstrzygać losy swego królestwa; prorocy i cudotwórcy, wskrzeszający umarłych, posługiwali się zawsze formułami tego talizmanu *).

Taki skarb, ukryty w wiązance suchych liści palmowych, wieźli już nazajutrz marabut i Ras, jadąc na wielbłądach ku granicy Riffu i starannie omijając miasta i większe osady. Zatrzymywali się tylko w małych „bled” **) i w „duarach” koczowników i pastuchów, mówiąc, iż są pielgrzymami, dążącymi do Kubby Abu Medyana el Andaloci, świętego patrona i cudotwórcy w Tlemsenie ***). W ten sposób posuwali się coraz bardziej na północ, aż

*) Ed. Doutté l. c.; A. Lang. Magie und Religion Kirg. Babylonian Magic and Sozcery.

**) Wioska.

***) Duże miasto w zachodniej Algerji.

od Tazy przedzierać się jeśli wprost, jak sierpem rzucił, ku Riffowi, kryjąc się w górach przed patrolami Francuzów, posiadającymi tu „swe oczy”, czyli małe posterunki warowne, pomagające ludności w rozwoju uprawy roli, handlu i ogólnej cywilizacji, baczone jednak na wszystko, co się działo w pobliżu hiszpańskiego Marokka, a gotowe w każdej chwili bronić praw Francji i spokoju na terytorium swego sojusznika — sułtana Mulej Jussefa.

Dobrze znający cały kraj, a przebiegły i czujny Szorf ben Ihudi przedostał się ze swoim towarzyszem i wielbłądami przez łańcuch placówek strażniczych i już w Riffie wynurzył się na wielką drogę, gdzie został porwany przez patrole powstańcze i odstawiony do głównej kwatery wodza.

Tegoż wieczoru Ras otrzymał zwróconą mu część znalezionych i odebranych skarbów, oraz sutę zapłatę od Abd-el-Krima i padł do nóg marabutowi

— Sidi! — błagał. — Uczyniłem wszystko, co mogłem, ścisnęłem swoje serce żelaznymi obręczami, zdławiłem w sobie ból, rozpacz, łzy i krzyki przekleństwa... Teraz muszę odjechać, bo inaczej oszaleję, oszaleję, sidi! Nie zaznam spokoju, aż nie pomszczę swej żony i utraconego szczęścia...

— Powinieneś ratować swoją Azizę! — rzekł marabut — rozumiem wszystko. Idź i niech pomoc Allaha będzie z tobą zawsze!

— Dziękuję ci z głębi mego biednego serca, dobry sidi! — zawała Ras, całując marabuta w rękę. — Będę szukał Aziza, chociażby ukryli ją pod ziemią, znajdę — żywą czy umarłą!... Sidi... sidi!

Góral zaczął słaniać się i chwytać drżąącimi rękoma za stroskaną głowę.

Gdy uspokoił się, wsiadł na wielbłąda i ruszył w drogę. Przed nim wznosiły się łańcuchy górskie, coraz wyższe i wspanialsze, aż zaczęły wieńczyć je

połyskujące lodowce, skąd zbiegał ten potok, który w swym burzliwym pędzie grzmiał i szumiał w pobliżu jego osieroconej kasby.

Wielbłąda dostał chyżego i mocnego. Był to prawdziwy „mehari” *), więc niósł jeźdza szybko i lekko ku górom, przebiegając równiny wielkim pędem i wspinając się na góry szerokim, zamaszystym krokiem.

W Marrakeszu, gdzie zatrzymał się na jeden dzień, znajomi meskini zrobili Rasa ślepym na jedno oko i wykrzywili mu twarz do niepoznania, pokrywszy ją szerokiemi, krwawemi bliznami.

Góral jechał dalej na swoim „mehari”, jako bogaty kupiec, który odbywał pielgrzymkę pobożną do Mulej Brahim **), oraz do kubb innych „uali”, uznanych przez górali Szleu i Suss. Jechał z nim stary przyjaciel — meskin Hassan, na dobrym mule i wszędzie opowiadał po drodze, że wynajął go za przewodnika kupiec Reszid el Arani z Mogadoru***), odbywający dziękcynną pielgrzymkę po cudownem ocaleniu od zbójów, którzy go poranili, lecz nie zdążyli pozbawić życia.

Hassan, stary włóczęga, chytry, jak lis, i bezczelny, jak każdy żebrak w Mahrebie, był potrzebny Rasowi dla wywiadu, zamydlenia zbytnio ciekawych oczu i dla innych potrzeb w jego niebez-

*) Mehari — wielbłąd rasy, chowanej przez Tuaregów, koczowników Sahary, a posiadający szybszy i wytrwalszy od koni bieg.

**) Małe miasteczko w Wysokim Atlasie, gdzie znajduje się grobowiec Mulej Brahim, uczęszczany przez pielgrzymów.

***) Miasto handlowe i portowe na marokańskim wybrzeżu Atlantyku, położone o 186 klm. na zachód od Marrakeszu.

piecznym przedsięwzięciu. Wszystkie sprawy w drodze załatwiał meskin, Ras zaś z nikim nie rozmawiał, udając prawdziwego „hadż”, zatopionego w rozmyślaniach i modlitwie. Gdy się zbliżali do większej osady lub do „zauja”, Hassan zaczynał bić w tamburyn i wykrzykiwał słowa modlitwy. Wtedy wszyscy wiedzieli, że zbliża się pobożny człowiek, odbywający pielgrzymkę po świętych miejscach Mahrebu, przed daleką podróżą do Mekki, do trzykroć świętej Kaaby, do grobowca — Wielkiego Proroka. Spotykano więc Rasa z honorami, gościnnie i z wielkim szacunkiem, prosząc go o błogosławieństwo dla dzieci i dla chorych członków rodziny.

— Jeżeli tak dalej pojedzie — rzekł ze śmiechem stary żebrak — możemy zatrzymać się na nocleg w kasbie Glaui lub nawet w pałacu kaida w Tarudancie.

— Jedziemy wprost do mojej kasby — odpoowiedział surowym głosem Ras, a na jego bladej skamieniałej twarzy nie zjawił się nawet cień uśmiechu, gdyż wesołość i radość umarły w jego sercu od chwili, gdy się dowiedział o ucieczce Aziza i o swojem nieszczęściu. Powiedziawszy to, znowu utkwił w dal, zaczterwienione od bezsennych nocy, nienawiści i niepokoju oko.

Meskin zżymał się, gdy ujrzał zawziętą twarz towarzysza, wykrzywioną rękoma wprawnych żebraków i pokrytą krwawemi bliznami, przykrywającymi jedno oko i wierzchnią wargę.

— Nie chciałbym być na miejscu kadi i tego Araba, który wykradł Rasowi żonę! O, nie chciałbym! Krew się tam poleje! — pomyślał meskin i odjechał, aby nie patrzeć na górala.

— Śmierć stoi przy tym człowieku... mruczał — Niech Allah broni mnie od gniewu tego mumena!

Tymczasem zagłębiali się coraz bardziej w góry i krótkie wyjechali na stromy brzeg wąwozu, z mknącym na jego dnie potokiem.

Meskin zatrzymał się, zgubiwszy drogę. Ras natychmiast zauważyl to i rzucił:

— Jedź przeciwko prądowi. Kasba stoi już blisko stąd....

Znowu umilkł i patrzał przed siebie z siłą i uporem, jakby chciał wzrokiem przebić ścianę gór i gęste zarośla tuj.

Zrobiwszy kilka zakrętów, wyjechali na obszerną polanę, łagodnie podnoszącą się schyłkami góry, pociętej kwadratami pól i ogrodów. Dalej ciągnął się duży gaj oliwny, a z poza koron drzew wygłyądały mury kasby.

— Zostanę tu — rzekł Ras — ty zaś, Hassanie, jedź i dowiedz się, czy niema tam spahisów lub Francuzów. Jeżeli nie ujrzyesz ich w kasbie, wtedy wpadnij do mego domu, każdy ci go wskaże i dowiedz się o Aziza. Jeżeli to prawda, że wyjechała z Saffarem el Snussi, wstęp do domu kadi, postaraj się zobaczyć z jego synem i szepnąć mu, że jego przyjaciel, Ibn Czair, spadł z konia i leży tu, prosząc go o pomoc. Idź! Nie zwlekaj!

— Bądź ostrożny, sidi... — spróbował radzić meskin.

— Idź i rób, jak kazałem! — syknął Ras, nie patrząc na żebrańca.

— Mogę dostać się w ręce kaida, jeżeli tu coś się złego stanie... — skamlał Hassan.

— Ras podszedł do niego i szepnął:

— Ja sam za czyny swoje odpowiem... Idź już!

Meskin, wzdychając i jęcząc, powłókił się w stronę kasby. Ras zjechał ze ścieżki, uwiązał wielbłąda i muła w gąszczu drzew i, usiadłszy na skraju lasu w gęstych krzakach oleandrowych, czekał.

Mijały godziny, lecz nikt się nie zjawiał.

Już słońce zapadać zaczęło za góry, do wąskiej doliny spływać zaczęły cienie i wspinać się na przeciwnie spadki góry, gdy z daleka dobiegły okrzyk:

— Ibn Czair! Ibn Czair!...

Echo podchwyciło głos ludzki i długą rzucano go od skały do skały, od szczytu do szczytu.

Ras nie poruszył się i nie odpowiadał. Czekał...

Na wąskiej ścieżce, wijącej się przez las, zamajaczyła ciemna sylwetka człowieka, idącego szybko i uważnie rozglądającego się dokoła.

Za nim szedł w oddali, czając się w krzakach, stary Hassan.

Gdy idący człowiek doszedł do kryjówki Rasa, nagle rozległ się jęk.

— Ibn Czair! Odezwij się, Ibn Czair! — wołał przybyły z kasby człowiek, wchodząc do krzaków; Hassan, ujrzałszy to, wybiegł na drogę i zaczął nadsłuchiwać. Żaden dźwięk nie dochodził go jednak. Długą chwilę stał stary meskin, wytwarzając słuch. Nagle drgnął, bo oto od strony lasu dobiegły go krótki, urwany krzyk i — znowu zapanowała cisza.

Hassan właził w krzaki i zaczaił się,

Siedział w gąszczu do chwili, aż ścieżką przejechał na mule Ras, prowadząc za sobą wielbłąda.

Przebiegły Hassan dopiero wtedy wyszedł z kryjówki i pobiegł na miejsce wypadku, mrucząc:

— Muszę wiedzieć, co się tam stało i czego mam się trzymać z tym szaleńcem...

Gdy meskin wyszedł z krzaków, gdzie nastąpiło spotkanie Rasa z synem kadi, był blady i drżący i w wielkim popłochu zaczął uciekać w przeciwną stronę od kasby, oglądając się co chwila i kryjąc się za kamieniami i krzakami.

— On zamordował, — szeptał do siebie, szczerkając zębami, — a ja będę gnił w więzieniach za cudze winy. Na pięknego przewodnika wykierowałem się na stare lata, do dobrego trafilem towarzysza! Niema co! Tfū!

Pluł, szeptał modlitwy, robił jakieś znaki magiczne i zmykał, jak wystraszony szakal.

Góral tymczasem wjeżdżała do kasby i zatrzymał się przy kilku siedzących przy bramie starcach.

— Czy nie wskażecie mi domu Rasa ben Hoggar? — zapytał zmienionym głosem.

— Kim jesteś, gościu, — odpowiedzieli mu chorem.

— Jestem „hadż” Reszid el Araui, — odparł.

— Bądź pozdrowion, czcigodny i bogobojny mumenie! — zawałali starcy. — Poco ci dom Rasa ben Hoggara?

— Przywiozłem o nim wieści jego żonie i wszemu kaidowi, rzekł Ras, słysząc jak serce gwałtownie bić mu zaczęło w piersi.

Starcy zaczęli spozierać na siebie, cicho szepać, aż jeden z nich odezwał się:

— Żona Rasa porzuciła dom, rolę i całą chudobę i wyjechała niewiadomo dokąd z handlarzem niewolników. Kaid zaś mieszka w trzecim domu na prawo, czcigodny hadż...

— Dziękuję wam, ojcowie, — rzekł urywanym głosem Ras, z trudem powstrzymując się od jękiu...

— Może szanowny hadż powie nam coś o Rasie ben Hoggar, o tym, którego ściga wielki kaid! — prosili starcy.

— Ras ben Hoggar zmarł! — rzucił krótko i odjechał.

Zatrzymał się przed domem kaida, uwiązał przy drzwiach swoje zwierzęta i zapukał. Otworzył mu stary czausz i natychmiast wprowadził do biura.

W tej właśnie chwili słońce trysnęło ostatnimi krwawemi promieniami i zapadło na góry. Muzezzin z małego minareciku zaczął nawoływać do modlitwy. Gospodarz i gość, którzy nie zdążyli jeszcze powitać się wzajemnie, stanęli twarzami na wschód i zaczęli mruczeć modlitwy półglosem, wykrzykując niektóre słowa i głośno wzdychając.

Nareszcie modlitwa była skończona. Kadi zaczął witać nieznajomego i prosić go, aby spoczął po uciążliwej drodze, lecz gość był ponury i odpowiadał urywanymi słowami, aż zaczął sam mówić:

— Odbywam, czcigodny kadi, pielgrzymkę po świętych miejscach w waszych górach — spieszę się i dziś jeszcze odjadę, aby dojechać przed nocą do kubby Takerkust. Chcę ci powiedzieć, o co mnie prosił Ras ben Hoggar.

— Ras ben Hoggar? — zwołał, zrywając się ze swego miejsca kadi. Sidi zna Rasa? Rasa?

— Nie znałem, lecz spotkałem go przed samą śmiercią, — odparł gość.

— To Ras ben Hoggar umarł? — padło skwapliwe pytanie.

— Tak — umarł...

— Umarł! — wyrwał się staremu kadi radosny okrzyk.

— Umarł, — powtórzył gość, przyciskając rękę do serca. — Przed śmiercią błagał mnie, abym wstąpił do kasby i rozmówił się z tobą, kadi: wiedział bowiem Ras, że będę przejeżdżał przez tę okolicę...

Stary znowu się zaniepokoił i patrzał pytającco na straszliwą twarz nieznajomego, który tulił się w swój płaszcz, jak gdyby zimno dokuczało mu.

— Ras ben Hoggar prosił mnie, — ciągnął gość, — ażebym zapytał ciebie, co się stało z żoną jego i gdzie ona jest? Muszę zanieść na mogiłę Rasa odpowiedź twoją, mądry i sprawiedliwy kadi,

a potem odnaleźć żonę zmarłego i oznajmić jej, że została wdową. Przyrzekłem Rasowi przed śmiercią, że uczynię to, a przecież wiesz, że umierającego oszukać nie wolno, kadi?

Stary długo milczał, unikając wzroku nieznanego pielgrzyma, wreszcie niecierpliwym głosem rzekł:

— Wiem, że Aziza, żona Rasa ben Hoggar, opuściła naszą kasbę, lecz nie wiem, gdzie pojechała, z kim i po co. Nic nie wiem!

— Dobrze! — odpowiedział, kiwając głową gość. — Taką odpowiedź zaniosę na mogiłę Rasa. Muszę cię tylko uprzedzić, że Ras umarł w wielkiej nienawiści, płonąc zemstą za jakąś wyrządzoną mu tu krzywdę. A ty wiesz, mądry kadi, że w takich wypadkach przy mogile zbierają się najzłośliwsze dżinny, które potrafią dokonać zemsty na krzywdzicielach... Tobie nic z pewnością nie grozi, bo jako kadi jesteś zawsze sprawiedliwy, lecz może masz dzieci?

— Mam syna... — szepnął kadi.

Gość zaczął kiwać z politowaniem głową.

— Bacz, — rzekł poważnym głosem, — aby dżinny nie zemściły się na twoim synu!

Umilkli obaj i ciężka cisza panowała długo, wreszcie gość powstał i rzekł:

— Czuję walkę w twem sercu, kadi, i rozterkę w myślach twoich. Nie chciałbym być tym, który mimowoli rzuci na dom twój nienawiść i zemstę straszliwych dżinnów... Nie chciałbym!... Widziałem tu niedaleko kubbę. Będę tam odmawiał modły, a gdy wszystko się uciszy w kasbie, a ty zdołasz uporać się ze swemi myślami, przychodź do kubby i przynes mi stanowczą odpowiedź! Ostawaj w spokoju, starcze!

Nieznajomy zawiązał się szczelestwem w burnusie, wyszedł z domu i odjechał, pozostawiając kadi w wielkiej niepewności i trwodze. Chciał się naradzić z synem, lecz ten nie powracał, chociaż noc zapadała szybko.

Kadi chodził po izbie, tarł czoło, mruczał do siebie, a myśli, pełne niepokoju, dręczyły go.

— Umarł w nienawiści... złe dżinny, — szeptał drążecimi ustami, oblewając się potem. — Kara od dżinnów zemsty... To — straszne!

— Czy mam zamknąć bramę kasby? — zapytał czaus, wchodząc do biura.

Kadi odpowiedział po chwili namysłu:

— Daj mi klucze! Zamknę sam, bo będę czekał na syna.

Jeszcze czas jakiś starzec chodził zamysłyły po izbie, aż narzucił na siebie ciepły burnus i stanowczym krokiem wyszedł z domu.

Istotnie sam zamknął bramę, lecz od zewnątrz, i poszedł w stronę kubby, stojącej za oliwnym gajem. O syna nie bardzo się troszczył w tej chwili, gdyż wiedział, że młodzieniec znał wszystkie wyłomy w murach i prześlizgnąłby się o każdej porze do kasby, co też nieraz czynił, powracając późno z polowania lub dalekich konnych wycieczek z towarzyszami.

Gdy zbliżył się do kubby, nieznajomy nagle wyrósł przed nim i starzec nie zdołał jeszcze ochłonąć z powodu niespodziewanego zjawienia się gości, gdy ten chwycił go za gardło, ścisnął twarzemi palcami i syknął:

— Mów wszystko, inaczej zginiesz, stary psie!

Trzymając swoją ofiarę za gardło, Ras wysłuchał całej sprawy o Aziza od chwili, gdy on sam uciekł z domu.

— Taką niewiąstę sprzedaleś Saffarowi ben Snussi? — groźnie zapytał Ras. — Gdzie mieszka handlarz niewolnikami? Komu je sprzedaje?

— Mieszką w Konstantynie w Algerji,—ledwie dysząc, odpowiedział zdławionym głosem kadi. — Mówił mi, że sprzedaje niewolnice tamże...

— Dość! — zawała Ras, puszczaając starca.— Słuchaj teraz, ty psie zdradliwy, sędzio, popełniający zbrodnie. Widzisz przed sobą dżinna Rasa ben Hoggar, dżinna, co przybrał kształty ludzkie. Moglibyśmy zadusić ciebie, jak gada, lecz chcę, żebyś majątkę wielką przebył, — taką, jaką przecierpiął Ras. Będziesz wkrótce i już do końca dni twoich, starcze, opłakiwał syna, bo on nigdy już nie powróci do domu swego ojca. Nigdy! Teraz milcz o wszystkiem, jeżeli nie chcesz, żeby cię znaleziono udu szonego na skrzyżowaniu dróg i pogrzebanego w „kbor mensi” *). Pamiętaj! Gdy byłem w kasbie, nie chciałem rzucić okiem na dom Rasa, bo wtedy rozszarpałbym cię, jak stary, znoszony worek, z dymem puściłbym całą wieś, krew bym waszą pił za krzywdę, któreście wyrządzili waszemu człowiekowi, synowi waszego przyjaciela, towarzyszowi waszych młodzieńców, wy — psy zdradliwe, hjeny podstępne! Idź! Idź!

Ras kopnął starca z całej siły, a ten potoczył się z pochyłości pagórka, zdjęty lękiem bezgranicznym i rozpaczą.

Gdy ujrzał, że straszny napastnik wsiadł na

*) Kbor mensi — zapomniana mogiła, która, podług zabobonu berberyjskiego, staje się siedzibą złych duchów, ścigających całą rodzinę pogrzebanego w niej człowieka.

wielbłąda i odjechał, kadi wstał i pobiegł ku kasbie, szepcąc:

— Synu mój! Synu mój!...

Szept ten przeszedł w jęk i rozpaczliwe wołanie; którym odpowiadały swem łkaniem szakale w górach i ponurym krzykiem puhacz, zwiastun nieszczęścia.

ROZDZIAŁ IX.

W s i d l a c h

Saffar el Snussi, czterdziestoletni Arab, wysoki, silny i piękny mężczyzna, należał do tej kategorii ludzi, którzy żyją z ludzkiej nędzy, nieszczęścia i łażu, jak żyje pasorzyt na schorowanem ciele opuszczonego przez wszystkich człowieka. Mieszkał w Konstantynie *), ponieważ tu ciągnęły tłumy koczowników z okolic Biskry i Tugurtu, wieśniacy z dalekich „bled” i Berberowie różnych szczeprów, nie posiadający ani domów, ani stad, a obarczeni licznymi nieraz rodzinami. Wszyscy jechali do Konstantyny, gdzie można było znaleźć pracę u Francuzów przy budowie gmachów rządowych, wodociągów, mostów, przy naprawie toru kolejowego, szos i bruków ulicznych lub też na roli, należącej do bogatych Arabów i kolonistów francuskich, hiszpańskich i włoskich. Poza tem Konstantyna oddawna stała się wielkim targowiskiem ludzkim, gdzie zawsze istniał popyt na siłę ludzką i na ciało ludzkie. Tu nietrudno było, pomimo władz francuskich, spędzić syna lub córkę na niewolników i cieszyć się

*) W Algerji.

później, że chłopak, pięknie przystrojony, gra w orkiestrze kawiarnianej, a córka pół-naga, ozdobiona pstremi, jedwabnemi szmatkami i srebrnemi klejnotami, miota się w wyuzdanych tańcach po spelunkach nocnych.

W tem zbiorowisku ludzi głodnych, a szukających zarobku, Saffar el Snussi czuł się, jak ryba w wodzie. Jego niewolnicy wypatrywali po fondałach i zajazdach, na ulicach i na rynku piękne kobiety, przybywające ze swymi mężami i ojca-mi z głębi kraju i donosili swemu panu. Ten zaś umiał bardzo prędko zapłatać w swoje sidła niedoświadczone, a zawsze głodne ofiary, czarował je obietnicami i słodkimi słowami, kusił podarkami i ogłuszał dźwiękami srebrnych, a nieraz nawet złotych monet.

Kilkrazy do roku w obszernym domu Saffara skupiała się tak wielka ilość kupionych przez niego kobiet, że sam sułtan mógłby pozazdrościć mu tak pięknego haremu. Trwało to jednak niedługo i niewolnicy Saffara w parę dni rozrzucali ten tłum kobiecy po całej Algerji, Tunisie, Maroku i Egipcie, rozwożąc je pociągami, autobusami lub karawanami.

Nieraz, gdy handlarz otrzymywał jakieś tajemnice, a bardzo korzystne polecenie, wyjeżdżała sam na poszukiwanie towaru „najlepszego gatunku”. Jeździł zwykle na południe Algerii; tam przebywało plemię Uled Naïl, gdzie wszystkie dziewczyny są tancerkami i śpiewaczkami, chętnie sprzedającymi swoje pieszczoty za złoto, aż się wzbogacą i staną się wiernymi żonami mężczyzn ze swego szczezu; tam wśród Bu-Saada, Beni Sidi Ibrahim i innych szczełów i rodów Saffar wynajdywał prawdziwe hurysy, cudownej piękności i wiózł je do swego domu, aby odsprzedać komuś innemu tak, jak się odsprzedaje rasową owcę lub kozę.

Istniało też jeszcze jedno miejsce, dokąd nierzaz zaglądał Saffar el Snussi. Były to wsie i kasby, rozrzucone w Wysokim Atlasie. Dlaczego przyjeżdżał tu handlarz niewolnicami?

Saffar znał obyczaje i życie górskich szczećów. Wiedział przebiegły i przedsiębiorczy handlarz, że górale Szleu i Suss są ludźmi niespokojującymi, nie mogącymi pogodzić się z nowemi warunkami życia, z koniecznością porzucenia dawnego zawodu wojowników, myśliwych i bandytów, a przejścia na rolę. Górale ciągle pozostawali w ruchu. Jedni błąkali się po górach, ścigając muflony, jelenie i pantery, drudzy szli do miast, gdzie podziwiano ich jako akrobatów, tancerzy i zaklinaczy węzłów; inni znowu wyjeżdżali na dalekie zarobki — do Algierji, Tunezji, Francji, a nawet do Ameryki, wszędzie marząc o swoich górach, dokąd powracali czasem tylko po to, aby złożyć swe kości w ziemi ojców. Tem się właściwie tłumaczy, dlaczego po wsiach Szleu i Suss rzadko można spotkać młodych mężczyzn. Na długie lata nierzaz pozostają w bled i kasbach same kobiety — stare i młode, a często, bardzo często — urocze, ponętne i silne.

Śród tych porozrzucanych, niemających żadnej opieki i obrony kobiet, Saffar czuł się wyśmienicie, działając różnymi sposobami: uwodząc łaskawemi, gładkimi słówkami, piękną twarzą, pałającemi oczami, obietnicami lub w najordynarniejszy sposób skłaniając je pieniędzmi do opuszczenia domu i wyjazdu z nim na wesołe, huczne życie bez troski i utrapień codziennych.

Saffar odwiedzał właśnie w poszukiwaniu „nadzwyczajnego” towaru Tarudant, został zaproszony do wielkiego kaida i od niego dowiedział się o „orlicy”, jak stary Gloui nazywał żonę Rasa ben Haggar. Powracając z karawaną, wiozącą kilka bar-

dzo pięknych kobiet ze szczezu Suss, Arab zboczył z drogi i wpadł do kasby, gdzie, oszołomiwszy i nastraszywszy kadi swemi stosunkami w Tarudancie i Rabacie, naklonił go do pomocy i dobił interesu.

Jechał właśnie teraz górskaimi drogami w towarzystwie Aziza, doganiając swoją karawanę i chełpiąc się w duchu ze swego rozumu i przebiegłości. Nie zapominał jednak opowiadać kobiecie o zmysłowych szczegółach życia Rasa po jego ucieczce z domu, wychwalając piękność, szlachetność i odwagę jej męża. Jednocześnie coraz to bliżej posuwał ku niej swego konia i, mówiąc z ożywieniem i podnieceniem o Rasie, nieznacznie przyciskał ją do siebie, obejmował jej kibić, a ona, zasłuchana i odurzona myślą, że wkrótce mają się skończyć jej troski i samotność, nie zważyła na to, chwilami nawet sprawiały jej przyjemność te oznaki przyjaźni przystojnego i bogatego Saffara dla jej męża i dla niej samej. Widziała poza tem w Saffarze siłę, która wyrwie ich z toni nieszczęścia.

Przed Marrakeszem, handlarz dojrzał w oddali swoją karawanę, a wtedy rzekł:

— Myślałem, że nie dogonię tych ludzi...

— Co to za karawana? — spytała Aziza.

— Jedzie tam i wiezie niewolnice zły człowiek, marny człowiek, nie mający sumienia w sercu i litości w swej piersi! Nazywa się sidi Rutem ed Kher i jest handlarzem, kupującym i sprzedającym niewolnice.

— Podły człowiek! — zawała kobieta.

— Z pewnością! — potwierdził Saffar. — Lecz niestety musimy przyłączyć się do niego. Jechać we dwoje — niebezpiecznie... Tymczasem przysiąglem Rasowi, że dowiozę i oddam temu szczęśliwcowi jego hurysę, piękniejszą od hurys raju, jego słońce,

jego „płomyk” i radość, zdrową i bez żadnej przykrej przygody w drodze...

— Z tobą, sidi, czuję się jak za wysokim murkiem! — zawała Aziza.

— Dziękuję ci, rokoszy moich oczu, najpiękniejsza z najpiękniejszych, najsłodsza z najsłodczych, pożądana, jak zimna woda podczas skwaru w Tanezruft *).

Saffar nagle przerwał swoją pełną zachwytu i podniecenia mowę i szepnął pokornie:

— Przebacz mi, piękna Czar Aziza, iż nie mogłem powstrzymać serca mego i że nie zmusiłem go do milczenia. Z pewnością obraziłem ciebie memi słowami, ja — niegodny niewolnik twój!

— O, sidi — odparła zmieszana Aziza. — Jesteś zbyt dobry dla mnie, prostej wieśniaczki... Nie obraziłeś mnie, lecz zawstydziłeś słowami swemi...

— Ty — prosta wieśniaczka?! — wołał handlarz. — Tyś perła promienią, jakiej nie posiada sułtan w swoim seralu **). Mówiłem to, o czem i w dzień i w nocy krzyczy moje serce od chwili, gdym cię ujrzał, królowo, czarownico, gwiazdo mila Allahowi.

— Sidi!... — upomniała go Aziza z mimowolnym uśmiechem zakłopotania i dumy kobiecej. — Sidi...

A handlarz objął ją silnem ramieniem i przycisnął do piersi, szepcząc do ucha:

— Tyś radość mej duszy, tyś nagroda za całe moje życie, za wszystko, com dobrego ludziom uczyńił. Ja samotny, smętny i opuszczony — żyję teraz na nowo... O, Czar Aziza, Czar Aziza!

*) Tanezruft — najbardziej niebezpieczna i bezwodna część Sahary.

**) Seral — harem.

— Sidi!... Nie godzi mi się słuchać takiej mowy... — broniła się kobieta, rumieniąc się i zasłaniając sobie twarz połą burnusa.

— Wiem to! Wiem... — szeptał Saffar, mocniej tuląc ją do siebie. — Wiem, że źle, nieuczciwie postępuję wobec swego serdecznego przyjaciecia! — Nie mogę jednak zapanować nad sobą! Wyrywają mi się słowa miłości i zachwytu, jak zrywa się burza na górach, gdy niszczy całe połacie lasu, zrzuca do przepaści skały i druzgocze cyple szczytów, co przetrwały setki pokoleń ludzkich. Nie moge! Ginę! Biada mi!

Zasłonił twarz rękoma i zaczął cicho szlochać, drżąc na całym ciele.

Milczał teraz, uspakajając się powoli. Aziza ukradkiem spoglądała na piękną twarz Araba. Tyle rozpaczły i bólu dojrzała na niej, że aż żal ściągnął jej serce kobiece. Biedne serce, jednakie u niewiast wszystkich krajów i wszystkich ludów, czy białych, czy barwnych, czy przesiąkniętych cywilizacją, czy dzikich — jednakie, gdy słowa zachwytu i nieszczęśliwej, pokornej miłości mężczyzny, przesączą swój słodki jad i zatrują serce, sumienie i myśl kobiety niepokojem i przyjaznem współczuciem dla cierpiącego, a kochającego ją człowieka.

Saffar z jękiem wymownym otrząsnął się, niby zrzucając z siebie ciężkie brzemię, wylęknonem, pełnym skruchy wejrzeniem ogarnął całą postać Aziza, lecz natychmiast opuścił oczy i surowym głosem rzekł:

— Przyrzekłem Rasowi ben Hoggar, że cię odwiozę bezpiecznie do niego i — dowiozę, tak mi dopomóż Allah! Przystaniemy do karawany sidi Rutem ed Khar, gdyż będziemy mieli u niego opiekę i obronę w razie potrzeby. Zapłacię mu za to hojnie... Nie mam chwili spokoju, myśląc, że może

ci się coś przydarzyc. Tobie... tobie!... O, nie przeżyłbym tego!... Zasłoń twarz swoją, piękną jak oblicze hurysy Magul *), która spotkał w lesie cedrowym Alfarabbi, wielki mistrz gry na lutni! Nie rozmawiaj z żadną z kobiet, należących do karawany, bo spali mnie płomień zazdrości... Wybacz, Czar Aziza, moje śmiałe, szalone słowa!... Obłęd ogarnął moje serce i mój mózg... Lecz zduszę w sobie uczucie, zduszę! Wybacz mi, wybacz Czar Azizal! Twoja piękność silniejsza jest od rozsądku mego... Nie będę już nic mówił, wybacz zuchwałość twoego niewolnika!...

Zeskoczył z konia, przywarł ustami do jej strzemienia i, łykając, całował stopy Aziza i tłukł się głową o żelazo.

— Sidi... — pocieszała go oszołomiona i wzruszona kobietą, — sidi dobry i nieszczęśliwy! Nie obawiaj się, nie męcz siebie czarnemi myślami! Nie gniewam się... Żałuję, żem sprawiła ci tyle bólu... Niech Allah pocieszy cię!

— Niema dla mnie pociechy, gdyż prędko zgasnie dla mnie słońce moich dni... Zgaśnic na zawsze! — wołał w rozpaczli.

— Dlaczego? — pytała, nie rozumiejąc jego słów.

— Bo nie będę cię widział, Aziza! — wybuchnął. — Oddam cię Rasowi, a on, gdy się dowie o mojej miłości dla ciebie, stanie się moim wrogiem i zabije mnie...

— Sidi! — wyrwał się kobiecie okrzyk przerażenia.

— Tak! Tak! mówił, łamiąc ręce. — Nie będę się krył przed jego zemstą, nie będę się bronił!

*) Jedna z legendarnych hurys.

Lepsza dla mnie mogiła, niż życie bez ciebie, słońca, siły i radości mojej!...

Aziza miczała, cała wzburzona i przejęta miłością tego człowieka i jego rozpaczą. Przypomniała sobie krótkie, prostackie słowa męża, jego dzikie i gwałtowne pieszczoty pana i władcy i porównywać je zaczęła do cichego bólu, śiodkiego śpiewu miłosnego, błagającej pokory i zachwytu niemal niewolniczego, przepelniąjących przytulonego do jej strzemienia Saffara el Snussi. Żal i współczucie dla niego coraz głębiej zapadały w serce Aziza.

— Nie rozpaczaj, sidi! — szepnęła. Nic nie powiem mężowi, nigdy, nigdy! Nie chcę, aby on stracił takiego szlachetnego i wspaniałomyślnego przyjaciela, jakim jest sidi! Nigdy!

— Dziękuję ci, dziękuję całym porywem mojej miłości i mojej troski, lalla*) Czar Azizal — wykrzyknął Saffar, pokrywając pocałunkami jej nogę aż po kolana. — A teraz zarzuć na twarz haik i dogonimy karawanę!

Pomknęli, pozostawiając za sobą kłęby kurzawy.

Wyprzedziwszy swoją towarzyszkę, Saffar dopadł jadącego na czele karawany człowieka.

— Słuchaj, Harazem! Masz udawać przed kobietą, którą przywiozłem, handlarza niewolnikami — Sidi Rutem ed Khar. Będziesz rozmawiał ze mną, jak równy z równym, i nie dopuścisz tej kobiety do rozmowy z „towarem”.

— Rozkazałeś, sidi! — rzekł schylając głowę, niewolnik Harazem.

— Słuchaj dalej! Znajdziesz chwilę i, zbliżywszy się do kobiety, która przybyła ze mną, będziesz mówił jej o mojej hojności, szlachetności i potę-

*) Pani

dze, a szepnij jej w tajemnicy, że jestem marabutem, i że nie lubię ciebie za to, że handlujesz żywym towarem...

— Dobrze, sidi! — mruknął Harazem, szczerząc zęby i wykrzywiając bezczelną twarz. — Będzie zrobione!

— To wszystko! A teraz przygotuj wielbłąda z najlepszym namiotem dla mojej niewolnicy.

Powiedziawszy to, Saffar zawrócił konia, lecz Harazem ześlizgnął się w tej chwili z wielbłąda, podbiegły do jeźdza i ostentacyjnie z wielkim szacunkiem, pocałował go w połę płaszczu.

— Pierwszy hołd marabutowi... szepnął niewolnik, trzęsąc się od śmiechu.

— Wspaniale! — mruknął handlarz, z powagą dotykając ręką schylonej przed nim głowy pomocnika.

Wszystko to widziała Aziza i dziwiła się w duchu, pytając siebie, dlaczego ten zbrodniarz, handlarz ludźmi, całuje szaty Saffara el Snussi?

Arab tymczasem podjechał do niej i rzekł z pokorą w głosie:

— Wybacz mi, gwiazdo Allaha, żem zmusił cię przebyć uciążliwą drogę na koniu! Kupiłem u sidi Rutema dobrego wielbłąda ze skromnym namiotem dla ciebie. Nie godzien on osłaniać twoego pięknego ciała, lecz w drodze trudno o inny. Wybacz mi nieudolną opiekę moją nad tobą i spocznij w namiocie!

— Sidi, nawykła jestem do siodła... — odparła Aziza. — Mogłabym całą drogę odbyć na koniu, lecz, jeżeli taka jest wola twoja, pojadę w namiocie...

— Dziękuję ci „Mazur nuar“*) — szepnął Saf-

*) Kwiat ukochany.

far. — Zaraz każe pospieszyć z urządzeniem „khami” *).

Arab odjechał. Aziza widziała, jak zdjęto z jednego z trzech wielbłądów wory, rozpakowano je, wydobyto jakieś tkaniny, później ustawiono żółto-czerwony namiot, umocowano go na siodle wielbłądziem i ozdobiono wspaniałym zielonym piropuszem. Nareszcie podprowadziłono do niej wielbłąda. Zwierzę ukleckło, i Saffar dopomógł kobiecie wsiąść do namiotu.

Aziza nie mogła wstrzymać okrzyku zachwytu. Wnętrze namiotu było przybrane jedwabnemi tkaninami, brokatelą, kobiercami z Rabatu i Kejruanu, i miękkimi, bogato haftowanemi poduszkami. Gdy usiadła wygodnie, Saffar podał jej małe pudełko i nisko sklonił się przed nią, oczy, niby przed słońcem, przykrywając dlonią.

— Przyjmij to ode mnie i noś, chociaż chwilami myśląc o mnie, „ghezal” **) — szepnął Saffar, z uwielbieniem patrząc na nią. — Niech nikt nie ujrzy piękności pani mego serca!

Aziza, zarumieniona i zachwycona, otworzyła pudełko i wyjąła z niego cudownej piękności „ltam” — białą, cienką jak pajęczyna, woalkę, przetykaną srebrnemi kwiatami.

— Dziękuję ci, sidi mój! — zawałała, klasząc w dlonie.

Saffar nisko sklonił się przed nią, rzucając na nią ostatnie błagalne spojrzenie i oddawszy cugle w ręce czarnego niewolnika, odjechał.

Aziza zapuściła poły namiotu i zaczęła się stroić, gdyż znalazła, przezornie zawieszony na łemku siodła, worek skórzany ze zwierciadłem, grzebie-

*) Namiot.

**) Gazela.

niami, czarną farbką dla oczu i brwi, henną jaskrawą dla ust i ciemniejszą dla paznogci, dloni i stóp, z różem i bielidłem, wonnemi olejkami, szczotkami i pędzelkami i wszystkiem, czego żądać może wschodnia kobieta, żyjąca wyłącznie dlatego, aby dawać mężczyźnie radość bytu, aby mu się podobać i przywiązać go do siebie. W otwartym worze z żółtej, haftowanej skóry, góralka znalazła cienkie, białe koszule, wzorzyste szaty dolne, cienki burnus, bogate, haftowane złotem i srebrem pasy, obuwie i szkatułkę z klejnotami.

Handlarz żywym towarem dawał te podarki wszystkim swoim ofiarom, aby zagłuszyć w nich tęsknotę, lęk, lub wyrzuty sumienia, znając serca i myśli półdzikich istot, ciemnych, namiętnych, puśtych i leniwych, jakimi są kobiety Wschodu. Nie wiedziała jednak o tem Aziza, a więc serce jej było przepełnione wdzięcznością dla hojnego i pokorneego Saffara el Snussi i, strojąc się, myślała o pięknym a tak nieszczęśliwym, samotnym Arabie. Zdziwiła się nawet, gdy zauważała, że od samego rana prawie nie myślała o mężu, a jeżeli wspominała o nim, to tylko po to, aby porównywać go ze słodkim w obejściu i mowie przyjacielem. Porównanie wypadło niekorzystnie dla Rasa i to gniewało Aziza i smuciło. Stroiła się jednak starannie, gdyż sidi Saffar prosił ją o to, mówiąc, że w pięknych i bogatych szatach łatwiej mu będzie ukryć ją przed możliwym pościgiem kaida, gdyż nikt w możnej i wspaniałości pani nie poznałby prostej góralki z Atlasu.

— Wydam cię za swoją żonę — powiedział jej wtedy Saffar. — Nikt nie osmieli się wtedy podnieść twego „ltam”, a ja chociaż na chwilę będę

**szczęśliwy, nazywając cię przed ludźmi swoją żoną,
o „azel” *) mój najsłodzszy!**

Tak mówił Arab, gdy prosił ją, aby się przebrała w inne szaty i „otoczyła klejnoty piękności swojej bogatym wieńcem przepychu królewskiego, gdyż jest ona królową najpiękniejszych kobiet”.

Dobrze zapamiętała te słowa Saffara el Snussi żona Rasa ben Hoggar, a gdy mimowoli powtarzała je sobie, przejmujący słodki dreszcz i miłe osłabienie ją ogarniały.

Tymczasem handlarz jechał obok swego niewolnika Harazema i nie szczędził mu wskazówek, dotyczących Aziza.

Wreszcie Harazem zapytał ze śmiechem:

— Powiedz mi, sidi, co to za „mra” **) zdobyłeś w górach? Może porwałeś żonę samemu wielkiemu kaidowi? Czy też może wieziesz nową niewolnicę sułtanowi? Powiedz!

— Głupi jesteś, jak pień spróchniałego „zitun” ***), Harazemie! — szepnął, bacznie się oglądając, Arab. — Jest to wolna kobieta ze starego rodu góralskiego. Piękna jest, dumna, śmiała, tańczy jak rusałka, głos ma, jak słowik bahdadski, a pełna płomieni! Wiesz, że za takie „mra” płacą drogo, ale też za to można dostać się do więzienia. Po-zornie wszystko jest w porządku. Podpisała umowę, że sama dobrowolnie się zaprzedała, jednak, gdyby coś wynikło, a ona zeznała, w jaki sposób ja i kadi namówiliśmy ją do tego, nie byłoby z nami dobrze, oj, byłoby bardzo źle! A piękna jest! Hurysa, ghezal, asel, nuar, lalla Aziza, słońce i radość!!! I do tego nic za nią nie zapłaciłem!

*) Azel — miód.

**) Mra — kobieta.

***) Drzewo oliwne.

— O-o-o! — wyrwało się niewolnikowi.

— Głupi i bezczelny jesteś, ty gruby wole! — syknął Sässar. — Nim ją sprzedam, — a wezmę za nią tyle, ile zażadam, — Aziza spędzi długie, czarowne, pełne uciech miłosnych, noce w mojej komnacie, tej, gdzie marmurową posadzkę kryją „getifa” *), gdzie nad łóżem mojem polyskują w świetle przyćmionych świeczników złotogłówia, jakich nie posiada sam sułtan w Rabacie, i gdzie, jak węże, czołgają się w pół mroku siwe strugi nardu i benzoesu **). O Harazemie, Harazemie! Powiadam ci, że takiej hurysy nie widziały jeszcze oczy ludzkie! Czyż miałbym taki skarb zostawić w ubogiej kasbie górskiej, aby czekała na swego brudnego „Amazigh” ***), cuchnącego potem, skórą i nawozem

— Hml — mruknął Harazem. — Pierwszy raz ci się to przytrafiło, gospodarzu!

— Pierwszy! — szepnął Arab. — Mógłbym każeć ci postawić na brzegu tego „uedu” ****) duży namiot, i za godzinę już Aziza stałaby się moją nałożnicą, lecz nie chcę przemocy, chcę jej miłości, chcę, żeby sama tego pragnęła, bo to słodsze, bo to porywa, zmusza krew, aby żywiej i goręcej pędziła w żyłach! I tak będzie! Będzie!

— Rzekłeś, sidi! — powiedział niewolnik, pogardliwie wzruszając ramionami. — Nie rozumiem tylko, poco masz czekać i zadawać sobie tyle kło-

*) Getifa — najdroższe kobierce.

**) Nard i benzoes — ulubione wonności wschodnie.

***) Pogardliwa arabska nazwa górali Atlasu. Bydlęcym, jak poganiacz wielbładow?

****) Ued — rzeka.

potu? Czyż nie lepiej postąpić tak, jak uczyniłeś w zeszłym roku z małą Azaghар z Rudani lub z tą figlarną Delimi z Tiznit?

— Muł nie może zrozumieć piękna i mądrości bajek „Z tysiąca i jednej nocy!” — zawała z obrzemiem Saffar el Snussi. — Nie możesz pojąć tego, Harazemie, więc idź i działaj teraz!

— Słucham, sidi! odparł niewolnik. — Idę do namiotu twojej hurysy i będę jej śpiewał o tobie, jak muezzin z minaretu.

Aziza była już przybrana i wystrojona, gdy usłyszała cichy szept przy swoim wielbłądzie. — Ucieszona, że ujrzy Saffara, a on z zachwytem będzie patrzał na nią — piękną i bogato ubraną, odzuciła połę namiotu, lecz natychmiast cofnęła się wtył.

Jakiś nieznajony człowiek, stojący przy wielbłądzie, zaczął mówić:

— Sidi Saffar el Snussi posłał mnie do ciebie, gwiazdo Allaha, abym zapytał cię, czy nie potrzebujesz czego? Jestem Rutem ed Khar, właściciel karawany...

— Dziękuję, — niczego nie potrzebuję! — odparła Aziza surowym, pogardliwym głosem.

— Zaniosę świętobliwemu Sidi el Snussi odpowiedź twoją, Lalla! — rzekł Harazem.

— Dlaczego nazywasz go świętobliwym? — zapytała zdziwiona Aziza

— Jakto? nie wiesz? — zawała. — Nazywam sidi Saffar el Snussi „świętobliwym”, ponieważ jest on najbardziej poważanym w Algierii marabutem. Nazwałbym go nawet świętym, bo życie jego jest, jako woda źródlana, serce — wielkie ognisko, ogrzewające bliźnich, dusza — studnia mądrości, lecz samotny jest, niezrozumiany, zawsze pełen tęsknoty i zatopiony w swoich niewesołych myślach. Szla-

chetność jego stała się przysłowioną w całym kraju... Piękność jego pociąga do niego oczy i serca kobiet...

— Czy jest żonaty sidi Saffar? — zapytała nagle Aziza.

— Jest wdowcem... — odpowiedział Harazem.

Najpiękniejsze kobiety nie mogą zachować wstydlowości i rzucają się mu do nóg, biegając o miłość, lecz on nie może znaleźć tej, która zapali promień miłości w jego sercu, i pozostaje samotny i teskniący. Biedny, świętobliwy sidi Saffar!

Aziza westchnęła, Harazem zaś ciągnął dalej:

— Sidi Saffar jedzie teraz na czele karawanę i, nie wiem, co mu się stało, bo łka i ręce łamie w rozpacz...

Aziza serce ścisnęło się żałością. Milczała.

— Uwielbiam sidi Saffara — rzekł z westchnieniem Harazem, — i jestem bardzo smutny, gdyż nie lubi mnie ten świętobliwy człowiek za to, że handluję niewolnicami. A co w tem złego? „Święta księga” i tradycja „Hatdih” nie zakazują tego. Kobieta, oddająca się wolnej miłości, daje największej ilości mężczyzn radość, szczęście i zapomnienie w ich ciężkim życiu, a więc spełnia wolę Allaha i ma przed nim zasługę. Nasi mężczyźni nie poniewierają kobietami nawet wtedy, gdy one trafiają do dzielnic zakazanych, jak Abd-Allah w Fezie, i nieraz szukają sobie tam żony *). Ja zaś po-

*) Te rozumowania Harazema najzupełniej odpowiadają ideologii muzułmanów i społecznej sytuacji kobiet prostytutowanych w krajach Islamu. magam kobietom zrzucić z siebie jarzmo nędzy, brzemię ciężkich trosk i kłopotów i daję im możliwość zostać bogatymi, niezależnymi i poszukiwanymi żonami. Coż w tem jest złego? Jaki grzech?

Handlarz odszedł, chyfrze uśmiechając się, a słowa jego zapadły do duszy Aziza. Już inaczej patrzyła na tego człowieka i na jego zawód, współczuła kobietom, którymi handlował, jak zwykłym towarem. Najwięcej jednak myślała o Saffarze i oczekiwала jego przyjścia. Lecz Arab nie zjawiał się. Uchyliwszy namiotu, Aziza ujrzała jego zwinną, silną postać na śmigłym, bułanym żrebcu, który rzucił się i rwał pod nim.

W Marrakeszu, gdzie stali przez dwa dni, nie widziała Saffara i tęskniła za nim, jeszcze bezwiednie, nieświadomie.

W drodze z Marrakeszu do Tazy, Tlemsenu i do Konstantyny, gdy jechali mało zaludnionymi miejscowościami, ponieważ Saffar el Snussi starannie krył się przed ludźmi i omijał miasta i wielkie osady, obawiając się władz francuskich, nieprzychylnym okiem patrzących na niewolnictwo, ten starodawny, uświęcony tradycją obyczaj narodów, wyznających Islam,— Arab zaledwie jeden raz zbliżył się do namiotu Aziza.

Nie patrzył na nią, miał surową twarz i usta zaciśnięte, mówił suchym, prawie szorstkim głosem. Zapytał ją o zdrowie i o to, czy czego nie żąda dla siebie, i chciał odjechać, lecz Aziza zatrzymała go i zmusiła do rozmowy.

— Świętobliwy sidi gniewa się na mnie? — spytała cichym głosem.

Dlaczego mną pogardzają? Dlatego, że ja zarabiam na tem? Lecz przecież ja też muszę żyć! W moim domu trzy żony, ośmioro dzieci proszą o chleb, ubranie, obuwie... Ja — biedny człowiek, pracujący w pocie czoła! Jestem dobrym mumenem, mającym litościwe serce!.. Bądź zdrowa, hurysko, i każ zwołać mnie, jeżeli będziesz czegoś potrzebowała...

— O, nie! — zawałał. — Walczę ze swoją miłością ku tobie, Czar Aziza, a gdy widzę ciebie przed sobą, gdy tonę w otchłani twoich oczu, płonie moje serce i błaga o miłość i pocieszenie...

Uderzył konia ostrogami i odjechał szybko, nie oglądając się.

Aziza pozostała sama ze swemi myślami, a były one rojne i niespodziewane, bo który odgadnie i zrozumie myśli kobiety, gdy poczuje ona miłość tuż przy sobie? Łatwiej ujać burzliwy potok górski w łóżysko z kamieni, niż skierować myśli niewiasty, poruszonej miłością mężczyznny, na drogi rozsądku...

Karawana przybyła wreszcie do Konstantyny.

Aziza ze zdziwieniem i przykrością przyznała się samej sobie, że radość przedkiego spotkania męża zbladła i przygasła. Robiła sobie wyrzuty bez końca, lecz nic nie pomagało. Oblicze Rasa w jej wyobraźni ciągle zasłaniała piękna twarz Saffara el Snussi. Czekała na niego. Późnym wieczorem przyszedł smutny i przybity.

— Stało się nieszczęście! — rzekł drżącym głosem. — Listy gończe kaida, ścigające Rasa, doszły aż tu i spahisi wtargnęli przedwcześniej do mego domu, aby schwytać mego przyjaciela, lecz on zdolał zbiec i ukrył się w Biskrze *). Znajdziemy go przedko, gdyż posłał do mnie zaufanego człowieka. Gorzej to, że ciebie także, Aziza, poszukują ludzie kaida, chcą wziąć, jako zakładniczkę, wiedząc, że Ras stawi się w Tarudancie, aby zwolnić żonę. Wtedy zginiecie oboje... oboje!

Saffar zakrył twarz rękoma.

— Co robić? — spytała Aziza, czując, że serce jej bić przestało. — Ratuj, świętobliwy sidi, ratuj!

*) Biskra — jedna z największych oaz w północnej Saharze.

Mówiąc to, padła przed nim na kolana i ucałowała połę jego płaszczu.

On zaś podnosił ją z ziemi, przyciskając mocno do siebie i szepcząc:

— Miłości moja, słońce, radośći...

Zamyślił się, trzymając ją w objęciach, aż zaczął szeptać:

— Dziś w nocy spahisi będą cię tu szukali...

Nie mogę temu przeszkodzić... jest jedna tylko rada! Jedyna... Zostaniesz w nocy w mojej komnacie, a ja powiem, że jesteś żoną moją... moją!

Aziza drgnęła, ale słowa te nie były dla niej przykro.

— Uczynię, jak poradzisz, sidi! — odpowiedziała.

On zaś padł jej do nóg szczęśliwy itał mówić namiętnym głosem, rzucając słowa pieszcztot, pociechy i miłości. Aziza spłonęła cała od mowy pięknego Araba i milczała, ciężko oddychając.

— Ras ben Hoggar sam winien, że się naraził i zdradził się przed ludźmi kaida — rzekł po chwili Saffar. — Odurzył się dymem kifu wśród tancerek Uled Nail, do których uczęszczał codziennie, i nieopatrznie wykrzyknął swoje imię.

Aziza zmarszczyła brwi i błysnęła oczami.

— Uczęszczał do tancerek? — szepnęła.

— Tak! Powiedział mi o tem mój niewolnik... — odparł Saffar.

Aziza nic nie odpowiedziała, tylko nozdrza jej latały i groźnie płonęły oczy.

Znawca kobiet — Saffar el Snussi — podawał im zawsze w porę odpowiedni rodzaj trucizny...

Tegoż wieczoru czarne niewolnice handlarza, milczące i wytresowane, szybko ubierały Azizę,

podając najpiękniejsze szaty, obuwie i klejnoty. Góralce przypomniały się czasy, gdy w domu jej rodziców przygotowywano ją przed ślubem dla nocy, w której miał przybyć po nią Ras ben Hoggar.

Gdy niewolnice skończyły stroić piękną kobietę, do komnaty wszedł Saffar. Swoim obyczajem zasłonił oczy rękami i nisko skłonił się przed Azizą, a później zwracając się do niewolnic, rzekł:

— Idźcie i, gdy przybędą ludzie kaida, powiadomcie mnie o tem. Teraz zaś podajcie nam kawę, słodycze, owoce...

Skinął na nie ręką, aby odeszły, i zaczął opowiadać Azizę o życiu miejskim, bawiąc ją i zmuszając do śmiechu.

Gdy pili kawę, mocną i aromatyczną, Aziza bez ustanku śmiała się z wesołych opowiadań Saffara, czując, jak bije jej serce coraz silniej i częściej i lekki zatrzymanie głowy, słodki i obezwładniający, chwilami pozabawia ją przytomności, a wtedy wydawało się jej, że leci w jakąś bezdenną otchłań i widzi obok siebie rozpromienioną twarz Araba i jego płonące oczy.

Jak przez sen, słyszała okrzyk wbiegającej niewolnicy:

— Spahisi kaida szukają Czar Aziza!

Pozwoliła Saffarowi unieść ją na rękach i, czując gorąco, bijące od jego piersi, przycisnęła się do niej, i było jej słodko, radośnie i spokojnie.

Ujrzała we mgle bogato ozdobioną komnatę, połyskujące w łagodnym półmroku hafty, naczynia z bronzu, kobierce i szerokie łóża, oświetlone zwiastującą na łańcuchach latarnią, o grubych szkłach różnobarwnych.

— Moja żono, najpiękniejsza z kobiet, Czar Aziza, miła, czarująca Aziza! Za jedną twoją piesz-

czotę, oddam ci całe swoje życie... — doszedł jej szept Araba.

Po chwili Aziza oszołomiona i bezwładna leżała na łóżu i drżała pod palącemi pocałunkami Saffara. Daremnie usiłowała zakryć nogi i piersi. Słabość coraz większa ogarniała ją, a pocałunki zapalały w jej nagiem, bezwładnym ciele ten płomień, w którego wirze giną i milkną wszystkie echa, dźwięki, myśli i wspomnienia...

ROZDZIAŁ X.

Szlakiem nędzy

Cały miesiąc odurzając Aziza ziółkami, oszukując ją i budząc w niej namiętność wschodniej kobiety, Saffar trzymał żonę Rasa ben Hoggar w swojej komnacie, czołgając się u jej nóg, wyznając miłość, lękając i oszałamiając pieszczotami, hojnością i uwielbieniem.

Pewnego wieczoru Arab wszedł do komnaty i rzekł:

— Huryszo moja! Musimy się rozstać...

Aziza podniosła się z posłania i ręce przycisnęła do piersi, gdzie było kobiece serce, — niemające, naiwne serce, żądne zachwytu, miłości i przywiązania.

— Tak! musimy się rozstać, bo Ras przysłał po ciebie zaufanego człowieka...

— Pojadę do... Rasa? — zapytała cicho. — Cóż mu powiem teraz? Jak nazwę go swoim mężem?

Zaczęła szlochać.

Saffar zmarszczył brwi i odparł:

— Powiedziałaś mi, że nigdy nie zwierzysz mu się z tego, co się stało. Jednak, gdybyś uczy-

niła inaczej, niech mój przyjaciel Ras przyjeżdża tu i niech dokona zemsty. Ja bronić się nie będę! Niech mnie zabije...

Z głośnym okrzykiem rozpaczły Aziza zawisła mu na szyi, szlochając i tuląc się do Araba.

— Nie powiem nic, nigdy, chociażby żyły ze mnie wyciągał mąż! — mówiła namiętnie. — Musisz przyjechać do nas, bo już nie mogę nie widzieć twoich oczu i nie słyszeć głosu twego, który brzmi, jak lutnia, panie mój, panie mój!

Zanosiła się od płaczu i drżała w porywie rozpaczy, w szale rozstania, być może, na zawsze.

Saffar el Snussi śpieszył jednak z odjazdem góralki, gdyż niewolnik Harazem stał już przed domem z wielbłądami, mającemi rozwieźć sprzedane kobiety po różnych miastach.

W pół godziny później Aziza w towarzystwie dwóch innych kobiet jechała w namiocie, kiwającym się na grzbiecie wielbłąda, i cięcho płakała.

Nie rozumiała dobrze Aziza, nad czem rozpaczala, — czy nad tem, że straciła prawo nazywać Rasa mężem, czy też nad tem, że rozstaje się z ukochanym człowiekiem, takim wspaniałym, pięknym i rozkochanym w niej.

Wielbłady szły kilka dni, zatrzymując się tylko na noclegach, aż nareszcie doszły.

Jakiś stary człowiek o twarzy, zoranej przez ospę, kazał kobiecie wysiadać.

Aziza zobaczyła, że stoją na podwórzu fonda, że jest tu około dwudziestu dziewczyn i że jacyś Arabowie i otyłe, obwieszone klejnotami, europejskie kobiety oglądają każdą, rozdzielają całą partię na grupy i wyprowadzają na ulicę.

Do Aziza zbliżyła się jedna z cudzoziemek,

obejrzała ją uważnie, uśmiechnęła się drapieżnie i wykrzyknęła niezrozumiałe słowo w jakimś obcym języku.

Kobieta wsadziła Aziza do powozu i odjechała razem z nią, ciągle coś mówiąc, czego nie rozumiała góralka. Widząc to, cudzoziemka zaczęła mówić po arabsku, kalecząc i przekręcając słowa;

— Piękna jest... bardzo piękna... Będzie u mnie prawdziwa gitana...

Aziza nic z tego nie rozumiała. Jej góralskiej mowy Szleu nie znała gruba cudzoziemka, więc rozmówić się nie mogła. Powtarzała ciągle:

— Piękna!.. bardzo piękna!.. Dużo srebrnych duros *) mieć!.. Cały worek duros!.. Złote bransoletki... brylantowe pierścionki... jedwabne suknie... Piękna! bardzo piękna!..

Powóz zatrzymał się przy długim jednopiętrowym budynku ze szczelnie zamkniętymi okiennicami i czerwoną latarnią nad niezrozumiałym cudzoziemskim napisem.

Był to znany w Melilli **) podejrzany dom „Alkazar”, należący do senory Rita del Costagnarez.

Wprowadził Aziza do małego pokoiku, wyklejonego jaskrawemi, zielonemi tapetami, z wiszącemi na ścianach obrazkami nagich kobiet, z szerokiem niklowem łóżkiem, małym stolikiem i umywalnią.

*) Duros — hiszpańska srebrna moneta wartości pięciu pezet.

**) Melilla — bogaty port w hiszpańskim Maroku, na brzegach Śródziemnego morza.

— Śliczne gniazdko... śliczne gniazdko! — terkotała po hiszpańsku czcigodna seniora. — Chcieć jeść? chcieć pić?

Aziza zrozumiała, że chcą ją nakarmić i napoić, a że była istotnie głodna, skinęła głowę w odpowiedzi.

Rozczochrana, obdarta Arabka przyniosła natacy jakieśjadło i butelkę wina.

Aziza jadła nieznane jej potrawy, pełne pieprzu i octu. Krzywiła się, lecz jadła, bo głód dokuczał jej.

— Pij to wino! — ochrypłym, świszącym głosem doradzała jej usługująca Arabka.

— „Święta księga” zabrania pić wino, — odparła Aziza. — Nie będę piła, przynieś wody.

— Głupia! — zaryczała służąca. — Tu w „Alkazarze” trzeba pić wino...

Aziza jeszcze nic nie rozumiała, gdyż nie wieała o istnieniu „Alkazarów” i o życiu ich mieszkańców.

Napiwszy się wody, położyła się i usnęła, gdyż zmęczyła ją długa podróż na kołyszącym się wielbłądzie, w zaduchu namiotu i w zgiełku zajazdów, gdzie karawana zatrzymywała się na noclegi.

Obudziła ją sama senora Rita del Costagnarez, wystrojona w balową, wydekoltowaną czarną suknię i obwieszona złotemi łańcuchami, dużymi ciężkimi kolczykami z perł i turkusów, broszkami i innymi świecidełkami.

Aziza przeraziła się, zauważyszy smagłe ramiona i rozrosłe zbyt hojnie, uposażone przez naturę, piersi senory, wyłaniające się z wycięcia sukni.

— Gdzie mój mąż? — zapytała.

Hiszpanka nie mogła zrozumieć mowy góralki,

więc zawałała służąca. Arabka, szczerząc duże żółte
zęby; wysłuchała Aziza i zaczęła tłumaczyć jej sło-
wa po hiszpańsku. Obie kobiety zaczęły się nagle
śmiać na głos, trzęsąc się i klepiąc się po biodrach.
Uspokoiwszy się trochę, Arabka, pomówiąwszy ze
smutną panią, powiedziała:

„...Iaż twój później przyjdzie... po półno-
ć... Pędziesz z niego zadowolona!... Piękny jest,
możny i możny... Każda kobieta w „Alkazarze” ma-
rzy o nim... Jest on tu — komisarzem policji.

Aziza nie wiedziała, co to znaczy — „komisarz
policji”, tem bardziej, że Arabka powiedziała to po
hiszpańsku, lecz góralka zrozumiała, że Ras stał
się bogaty i możny. To ją ucieszyło...

— Allah wynagrodził go za krzywdę, którą ja
mu wyrządziłam — pomyślała z ciężkiem westchnie-
niem.

— No, a teraz — ubierać się! — rozkazała Se-
nora.

Arabka przyniosła jakieś pstre, czerwone, żółte
i zielone szmatki, które się okazały suknią cygań-
ską, odsłaniającą ramiona, piersi i nogi wyżej kolan.

Gdy włożono na Aziza ten strój, góralka za-
pytała:

— Dajcie mi teraz długą koszulę, szaty dolne,
burnus i haik... Kobiety znowu parsknęły śmiechem
i odeszły, rzekłszy:

— Natychmiast...

Aziza pozostała sama. Siedziała na łóżku i my-
ślała nad tem, że ujrzy niebawem męża, że nie bę-
dzie śmiała patrzeć mu w oczy, bo nie może po-
wiedzieć mu o Saffarze... Saffar! Przypomniała sobie
jego cichy, zakradający się do serca głos, jego oczy
gorejące, pokorne ukłony i pieszczyty płomienne...

Zasłoniła twarz rękoma, ciężko oddychając i płonąc cała ze wstydu i pożądania zarazem.

— Chodź, chodź! — zawała, wpadając Arabka. — Już przyjechał!..

Aziza, nie zdając sobie sprawy z tego, co czyni, a czując, że jedyny jej ratunek przed samą sobą, przed wspomnieniami, przed pałacym wstydem jest w mężu, wypadła z pokoju, przebiegła za służącą korytarz i znalazła się nagle w dużej, rzęsieście oświetlonej sali, pełnej mężczyzn. Oszłomiona, zatrzymała się w świetle lamp i ich odbicia w zwierciadlanych ścianach, nie mogąc się poruszyć, jak tygrysica, wypuszczona z ciemnej klatki na zalaną światłem elektrycznych słońc arenę cyrku.

Niby grzmot w górach wstrząsnął nią krzyk, klaskanie w dlonie i ogłuszający gwizd mężczyzn zebranych na sali i patrzących na nią, prawie nagą.

Krzyknęła i rzuciła się do ucieczki. Wbiegła do swego pokoju i blada, z bijącym, niby młotem, sercem padła na posłanie.

— Hańba! Hańba! — szepnęła drżącemi wargami.

Próżno senora Rita: Arabka namawiały ją do powrotu na salę. Ani słowa nie odezwała się do nich, leżąc wciśniętą głową w poduszkę, skulona i drżąca.

— No, dobrze! — rzekła Arabka. — Przyprowadzimy ci męża tu, do ciebie... Może tak będzie lepiej... na początek!

Aziza zerwała się i usiadła na łóżku.

— Dajcie mi mój burnus i haik! — szepnęła. — Nie mogę spotkać Rasa bez ubrania.

— Dobrze... dobrze! — kiwnęła głową Arabka i, śmiejąc się, wyszła razem z właścicielką „Alkazaru”.

Po chwili drzwi się szeroko otwarły i na program stanał nieznajomy mężczyzna. Był to człowiek okazałej postawy, otyły, o piersi wypukłej, wysoki i mocny, jak rozrosły dąb. Miał na sobie mundur oficera policji, order na szyi, długi, brzęczący pałasz, śmiał się wesoło i bezczelnie, błyskał oczami, zębami i brylantami na palcach, dzwonił ostrogami i nisko się kłaniał, patrząc na Aziza.

— Wołałaś mnie? — rzekł dobrym arabskim językiem, z lekkim akcentem cudzoziemskim.— Jestem! Jak się nazywasz, piękna „lalla”?

Aziza jednym skokiem była już w kącie tuż za łóżkiem. Stanęła tam, zakrywając sobie pierś rękoma i patrzyła, jak dzikie zagnane zwierzątko pałającymi, wylekłemi, lecz groźnimi oczami.

— Niech pan komisarz policji wchodzi! Niech wchodzi! — zapraszała, ciągle dygając przed otyłym panem, senora Rita. — Zaraz podam wino, cygara... Może czekolady? lodów?

Komisarz wszedł do pokoju i, zamknawszy drzwi na klucz, zbliżył się do Aziza.

— Chodź tu, mała, śliczna „lalla” — rzekł z uśmiechem.

Kobieta milczała.

— Masz ci na początek duro! — zawałał, rzucając jej dużą srebrną monetę i spodziewając się, że nowa mieszkanka „Alkazaru” złapie ją w locie ze zwykłym okrzykiem drapieżnej radości.

Moneta spadła z brzękiem na podłogę; Aziza zaś nie poruszyła się z miejsca, wpatrując się ponuro błyszczącymi oczami w twarz mężczyzny.

— N — no, chodź tu! — wołał pieszcotliwym głosem.— Bądź dobrą, rozumną dziewczynką. Chodź milutka „lalla”!...

Wyciągnął do niej rękę i zamierzał dotknąć jej ramienia.

Aziza uskoczyła na bok i szepnęła:

— Nie ruszaj mnie! słyszysz?...

— Jaka niedobra, a taka piękna, cudownie piękna kobietka! — zaśmiała się komisarz i schwycił góralkę w objęcia.

Wtedy stała się rzecz dziwna, niewytłumaczona. Oto ramiona komisarza, z łatwością obezwładniające najsilniejszych zbrodniarzy, zostały rozerwane jakąś niewidzialną siłą i opadły bez mocy i ruchu, a następnie na głowę jego spadł cios tak straszliwy, że komisarz z okropnym krzykiem runął na podłogę.

Aziza niby przez sen widziała leżącego na ziemi człowieka, ostre, pokrwawione kawałki straszanej butelki i ściekającą się po podłodze strugę wina, słyszała krzyki i gwar tłumu, dobijającego się do drzwi, lecz po chwili oprzytomniała i znowu wcisnęła się do kąta, gotowa do obrony i oporu.

Z trzaskiem wywaliły się drzwi, i tłum ludzi, poprzedzany przez policjantów, wdarł się do pokoju. Podniesiono i wyniesiono ciężko ranego i zemdłonego komisarza i dopiero wtedy zwróciły się do Aziza. Jacyś umundurowani ludzie coś mówili do niej, nie rozumiała ich jednak i stała pochylona i zaczajona, podobna do drapieżnego zwierza, którygotuje się do rozpaczliwego skoku.

Długo broniła się Aziza, drapiąc, szarpiąc, gryząc ludzi, którzy usiłowali związać jej ręce, kopających nogami, biła pięściami, wyrywała im włosy i nie dawała się. Wreszcie, osłabiona i wyczerpana, zemdlała, wydając krzyk taki, jaki wyrywa się po raz ostatni z piersi człowieka, zanurzającego się do otchłani, aby już nigdy nie ujrzeć światła słońcańskiego.

Przebudzenie góralki nastąpiło w więzieniu.

Dochodzenie i sąd trwały dugo. Była to męka beznadziejna, znęcanie się nad duszą i rozumem ludzkim, ohydna komedja sprawiedliwości, szalbierstwo prawa...

Opowiedziała o wszystkiem, co zaszło i co doprowadziło ją do zbrodni i więzienia, lecz to, co zeзнаła, obróciło się przeciwko niej wobec sędziów hiszpańskich.

Mąż jej, napadający na hiszpańską karawanę, podpisanie przez nią umowy z Saffarem el Snussi, znajdującej się w posiadaniu senory Rity del Costagnarez, ciężkie rany, zadane butelką komisarzowi policji Jego Królewskiej Mości króla Hiszpanii — stanowiły szereg ciężkich zbrodni.

Aziza [zaś nic nie wiedząc, że stoi przed sądem hiszpańskim, mówiła o wszystkiem otwarcie, nic nie kryjąc i nic nie zmieniając.

Hiszpania nie mogła darować jakiegś berberyjskiej góralce napadu na swego urzędnika, w chwili, gdy Abd-el-Krim, zuchwały powstańczy wódz, śmiały marzyć o wyzwoleniu Kabiliów z pod władzy urzędników królewskich.

Zemsta musiała być dokonana dla przykładu innych pogardzanych barwnych „dzikusów”.

Sąd skazał Czar Aziza, żonę Rasa ben Hoggar, rodem z Wysokiego Atlasu, na pięć lat ciężkich robót.

Brama więzienna natychmiast po skończeniu sądowej komedji z głuchym łoskotem zamknęła się za góralką.

Tu, w wielkiej sali, gdzie siedziały za kratami inne kobiety, tu dopiero zrozumiała Aziza, co się z nią stało. Zrozumiała też, kim był Saffar el Snussi

i co uczyniła, słuchając jego namów, słów pieczętliwych, błagań pokornych i namiętnych.

Nie mogła tylko zrozumieć, co teraz z nią będzie i co ma robić dalej.

Myślała o tem i w dzień i w nocy, chodząc i pracując jak we śnie, przybita, zdumiona, ponad wyraz i zrozumienie, zrozpaczona, prawie obłedna.

Ona — córka Hadża, co dwakroć odwiedził grobowiec potężnego Proroka, przestała oczy swoje zwracać ku Niebu, a modły i myśli ku Allahowi.

Nie śmiała, a może czuła wielką niesprawiedliwość, przed którą nie obronił jej Allah-Muhaimin, Allah-Hadi, Allah-Adl *). Był dla niej słabiej i opuszczoną — Allahem Czadid i Madhill **).

Za co?

Buntowała się w niej dusza i zrywała się szal nienawiści i zawziętości, rodzącej myśli bluźnierskie i krwawe zamiary.

Odpędzała od siebie myśl o Rasie, całą siłę wspomnień wytężając, aby ciągle widzieć przed sobą oblicze Saffara el Snussi. Namiętność zmysłów, szal upojenia, przeszedł w zacieklą nienawiść, zimną, jak ostrze noża, wbijanego w gorące ciało człowieka. Gdy się z mgły minionych dni zjawiała piękna, pełna zachwytu i uwielbienia, twarz Araba, Aziza czyniła dziewięć magicznych znaków i szepała formułę zemsty i przekleństwa.

— Azail! Rudail! Demrat i Afrit! Nar, adżaż, hanecz, ifri, demmgabor! ***)

*) Muhammin — obrońca, Hadi — przewodnik, Adl — sprawiedliwy.

**) Czadid — straszliwy, Madhill — poniżający.

***) Duchu północy! duchu zachodu! Demoni ognia, huraganu, wężów, przepaści, krwi, mogił! (Patrz E. Doutté, l. c.)

Ulepiła sobie z chleba figurę człowieka i napisała na niej imię „Saffar”. O północy podniosła się z pryczy i, ukrywszy się w najciemniejszym kącie, szeptała straszliwe zaklęcia „khankatirija” i po każdej strofie jego odłamywała części figurki, zaczynając od nóg i kończąc na głowie. Powinno to było spowodować śmiertelną chorobę całego ciała i śmierć człowieka, imię którego było wypisane na zniszczonej figurce *). Teraz była pewna, że dzinny chorób, wezwane przez nią o północy doby, spędzonej bez modlitwy do Allaha, dokonają straszliwej zemsty nad Saffarem el Snussi.

Aziza nagle się uspokoїała.

Powoli zaczęła jej powracać rozwaga, zdrowa myśl, a nawet nadzieja. Zaczęła bacznie się rozglądać i nad czemś rozmyślać. Upłynęło jeszcze kilka dni, i Aziza, po raz pierwszy po długiej przerwie odnalazła „gibla” **) i znowu zanosiła gorące mody do Allaha, prosząc go o przebaczenie i pomoc.

Kobiety, osadzone w więzieniu, pracowały dla wojska hiszpańskiego, szyły, prały bieliznę dla żołnierzy, sortowały wystrzelone naboje karabinowe, piekły i pakowały do blaszanek galety.

Upłynęło kilka miesięcy, gdy pewnego razu do celi, gdzie siedziało kilkanaście kobiet wraz z Aziza, wszedł dozorca więzienny i kazał wszystkim wyjść na podwórze. Wyprowadzono wszystkie pod pieczę jednego żołnierza na ulicę i pogano przez miasto do szpitala wojskowego, gdzie kazano im myć podłogi, trzepać sienniki, koce, zamiatać korytarze i podwórze.

Gdy kobiety powracały już o zmierzchu do

*) Patrz E. Doutté, Mulieras, l. c.

**) Kierunek na Mekkę.

więzienia, żołnierz prowadził je przez rynek, gdzie tłok był znaczny, gdyż targ jeszcze trwał, a setki wielbłądów i mułów pozostawało jeszcze na placu, gdzie ładowano na nie jakieś ciężkie skrzynie.

Aziza obejrzała się na żołnierza. Ten zatrzymał się właśnie i rozmawiał z kilku piechurami, głośno smiejąc się i paląc cygaro. Góralka przepuściła swoje towarzyszki, udając, że poprawia obuwie, spadające jej z nóg, a później zmieszała się z tłumem Arabów i Kabiliów.

Żołnierz, prowadzący aresztantki, nic nie zauważał, przeszedł spokojnie, pykając cygaro.

Aziza szybko szła przez miasto, minęła kasę, zbudowaną na spiczastym pagórkiku, i wyszła na brzeg morza. Tu ukryła się wśród skał, wcisnęła się do głębokiej szczeliny.

Góralka spędzała na brzegu morza kilka dni, nic nie jedząc, trapiiona głodem i pragnieniem. Wreszcie lęk przed głodową śmiercią pognął ją do miasta.

Szła, słaniając się na nogach i kryjąc, jak mogła, twarz w łachmanach brudnego, dziurawego burnusa. Trafiła na placik przed małym meczetem i zaczęła skamlać o chleb, czepiąc się nóg przechodniów. Mowa jej zdradzała jednak kobietę z obcego plemienia i Arabowie i Kabiliowie ze szczezu Gelaja i Kebdana przechodzili obojętnie.

Spostrzegłszy ją, inne żebrazki, otoczyły i obrzuciły ją pogrózkami i przekleństwami, aż zaczęły ją bić i szarpać.

Aziza z trudem wyrwała się i uciekła.

O głodzie chodziła żona Rasa ben Hoggar jeszcze trzy dni, żywiąc się odpadkami, zbieranymi po śmiertnikach zamiejskich, i zrzadka rybą, wyrzu

cioną na brzeg, gdy fale siwemi smugami pokrywały morze.

Kobieta zupełnie osłabła, zobojętniała na ból, głód i mękę, widziała przed sobą tylko śmierć i czekała na nią, jak na zbawienie. Do Allaha już nie biegły jej myсли, gdyż zrozumiała, iż Allah nie jest sprawiedliwy, nie jest wszechmocny i dobrośliwy.

Jakaś posiadająca mniej twarde od innych serce żebraczka z rynku, widząc upadającą z głodu kobietę, młodą i, mimo wyczerpania i bólu, piękną, rzekła:

— Głupia jesteś! Nic nie zrobisz tu — umrzesz, jak pies bezdomny! Chcesz, żeby cię nakarmiono?

— Chcę. — odparła krótko i złośliwie Aziza.

— Idź do starej Ghalizat, — tej, co mieszka tuż pod kasbą. Ona pewnie przyjmie ciebie, boś młoda i warta pary duros.

Aziza powlokła się we wskazanym kierunku i tegoż dnia stała się już mieszkanką arabskiego „Alkazaru”, gorszego i tańszego od zakładu czcigodnej senory Rity, lecz utrzymywanego przez Arabkę. Zdołała ona wszystko objaśnić samotnej, głodnej kobiecie i przekonać ją, że wolna miłość podług Koranu nie jest „haram”, czyli zakazana, i że kobieta, zmuszona uprawiać ją, nie może być pogardzana, szczególnie zaś wtedy, gdy dla ocalenia swego życia używa tego ostatniego środka, danego jej przez naturę i Allaha, który „uposażył mężczyznę w siłę i rozum, aby kierował życiem rodziny i narodu, niewiąstę — serce i piękność, aby dawała mu radość i zapomnienie” *).

*) Słowa wielkiego marabuta Sidi el Hadż i Ali Abd el Kader el Dżilali (Revue Africaine).

Starą Ghalizat przeszła wszystkie stopnie kobiecej nędzy i umiała przemawiać do rozumu i serc bezpomocnych i bezbronnych „mra”. Długo rozma-wiała serdecznie i otwarcie stara Arabka z Aziza, nic nie tając przed nią, lecz uciszając ostatnie bły-ski wyrzutów sumienia, wstydu i walki wewnętrznej.

Teżże nocy, nakarmiona, wymyta i wystrojona Aziza siedziała wraz z innymi kobietami na sali, śpiewała, tańczyła i z ponuremi oczami i zaciśnię-temi ustami spełniała życzenia tych, którzy płacili za to.

Wlokły się jednostajnym trybem dni, tygodnie i miesiące.

Aziza nauczyła się już nie myśleć o przeszło-ści, nie marzyć o przyszłości, stępiła, zobojętniła i pędziła leniwe, zwierzęce, podłe życie.

Zaszedł jeden wypadek, który wzburzył zgniłą powierzchnię tego życia, obudził dawne wspomnie-nia i zmusił do czynu.

W domu Ghalizat zjawił się pewnego razu jakiś żołnierz hiszpański, młody, zuchwały i okruty-ny. Napiwszy się wina, zaczął wyrzucać ohydne, pełne pogardy słowa i znęcać się nad Aziza. Zda-rzyło się to jej po raz pierwszy, gdyż Arabowie, zwykli gości w tym domu, obchodzili się z kobie-tami łagodnie i nawet z szacunkiem. Gdy Hiszpan uderzył Aziza, góralka wpadła w szal. Obudziła się w niej duma kobiet jej szczepu, poczucie godności ludzkiej i niesprawiedliwości, która dręczyła ją w każdej chwili jej teraźniejszego życia, gdy mo-dliła się do Allaha, lub przeklinała jego „starożytnie imię”, ubóstwiane i wychwalane przez niewolników nierożumnych, przez kretów ślepych i głuchych.

Aziza na cios żołnierza odpowiedziała po-liczkiem. Rozwścieczony, pijany drab pchnął ją nożem.

Odwieziono ją do szpitala nieprzytomną, niemal umierającą.

Jednak młoda, zdrowa krew zwalczyła śmierć.

Odeszło blade widmo skonu, pozostawiając blade, wyczerpane, zboalałe ciało sponiewieranej, nikomu już nie potrzebnej kobiety, co tak niedawno jeszcze była żoną Rasa ben Hoggar, śmiałą „orlicą”, rzucającą w oczy wielkiemu kaidowi słowa surowej prawdy bez trwogi i zmieszania.

Teraz był to już zniszczony, poszarpany łachman, nikły cień, widmo istoty ludzkiej.

O, Allahu! Allahu, którego surowi mumeni nazywają Miłosiernym, Obrońcą, Wszechmocnym, Sprawiedliwym, Wodzem i Prawem, cożeś uczynił Ty, Sprawiedliwy i Wszechmocny, dla słabiej, zблąkanej na rosztajnych drogach życia żony ściganego górala z Atlasu?

ROZDZIAŁ XI.

Z e m s t a

Ras ben Hoggar sunął śladami Saffara el Snussi, jak głodny szakal skrada się do stada baranów.

Tracił ślady, znowu je odnajdywał i znowu sunął dalej, aż doprowadziły go one do domu handlarza.

Napaść na Araba, utoczyć jego krwi, nacieszyć się zemstą? A co dalej? Czy znajdzie Ras w tym, niemal warownym domu swoją żonę? Jeżeli już odsprzedał ją Saffar, jak i od kogo dowie się, gdzie teraz jest Aziza?

Walczyły w nim gniew i rozsądek.

Przebrał się w swój strój żebraczy, nie spuszczał z oka domu handlarza i nareszcie udało mu się zatrzymać znajomość z niewolnikiem Harazem, pomocnikiem Saffara.

Chytrością Ras wyciągnął od niego potrzebne wskazówki i wtłoczywszy nienawiść i zemstę do serca, ruszył dalej.

Długo szukał, aż pewnego wieczoru zapukał do drzwi Ghalizat w Melilli. Tu rzucił garść srebrnych monet, dowiedział się o wszystkim, zapa-

miętał nawet imię i nazwę pułku żołnierza, który zranił Aziza, i poszedł do szpitala.

Hiszpańskie władze nie chciły go dopuścić do chorej i zapowiedziały, że jeżeli jeszcze raz tu przyjdzie, to zaaresztują go i odstawią do policji.

Ras nie wiedział, co robić. Usiadł na ziemi pod ścianą szpitala i myślał.

Nagle ktoś położył mu rękę na ramieniu. Podniósł głowę i krzyknął radośnie. Ujrzał nad sobą pochyloną twarz marabuta — Szorf ben Ihudi.

— W oczach twoich widzę troskę, synu! — rzekł Szorf. — Co ci jest?

— Sidi! — szepnął, zgrzytnąwszy zębami Ras — Allah wciąż ściga mnie i nieszczęście, jak cień, chodzi za mną!

— Allah jest różny w różnej chwile życia, Ras ben Hoggar! — powiedział marabut. — On — Mądry, wie, dlaczego wywyższa i dlaczego poniża... On wie, na jaką drogę mają wejść stopy każdego człowieka — czy jest on wielkim i możnym, czy małym i niedźnym. Mów!

Ras opowiedział wszystko, co wiedział o Azizie. Szorf, wysłuchawszy opowiadania, wstał i, kawawszy Rasowi czekać, oddalił się. Powrócił wkrótce z kilku poważanymi w mieście Arabami i wszedł do szpitala.

Ras, nieruchomy, jak kamień przydrożny, oczekiwał...



W kilka dni później w małej izbie w domu bogatego kupca — Kabilia Ras słuchał opowiadań żony. Milczał, tylko oddychał ciężko, głowę na pierś uronił i ścisnął ręce.

Aziza spokojnym głosem, niby z poza grobu, mówiła o wszystkiem, co zaszło w jej życiu, nic nie ukrywała, nic nie objaśniała, nie broniła się, nie błagała i też nie wylewała.

Gdy skończyła, szepnęła:

— Nie mogę ciebie, panie mój, nazywać mężem, bom grzeszna, nieczysta, przeklęta przez Allaha, który odwrócił ode mnie oblicze swoje. Wyędź mię, jak psa zadżumionego, nie żałuj, bom nie warta tego lub zabij mnie, bo panem moim jesteś! Ratuj siebie i nie myśl o mnie...

— Ras nic nie odpowiedział. Poszedł do marabuta, długo z nim się naradzał, a potem skierował się do hiszpańskiego sędziego i skargę zaniósł na żołnierza Juana Hernandez, żądając dla niego kary za rany i krzywdę żony.

Woźni i żołnierze wyrzucili górala za drzwi, śmiejąc się i drwiąc z niego.

— To wszystko, co może uczynić dla mnie wasza sprawiedliwość? — zapytał, podnosząc się z kurzu ulicznego i patrząc na Hiszpanów ponurem wzrokiem.

— Możemy ci jeszcze coś dodać, abyś pamiętał przez całe życie! — krzyknęli z uraganiem i pogrózkami.

Ras odszedł, nic więcej nie powiedziawszy.

Powrócił do domu i podszedł do skulonej w kącie, nieruchomej, milczącej żony. Położył jej rękę na głowie i szepnął:

— Aziza! Żono moja! W otchłań zapomnienia rzucam przeszłość naszą, albowiem wina spada na męża, który bez opieki porzuca dom i rodzinę swoją. Już wszystko minęło, pozostaje tylko zemsta. Bądź gotowa do drogi za godzinę. Jedziemy!

Padła mu do nóg, cicha, pokorna i szeptała:

— Nie zostawiaj mnie samej, nigdy, nigdy!
Chcę być z tobą razem wszędzie i zawsze! Rozumiesz, panie mój, wszędzie!...

— Tak będzie! — zawała Ras i oczy mu pło-
nać zaczęły.

Przez całą noc trzech jeźdźców przedzierał się
przez góry północnego Riffu. Przed świtem trzy
konne postacie prześlizgnęły się, jak majaki, głęboko-
kim wąwozem, pozostawiając za sobą ostatnie pla-
ćówki hiszpańskich wojsk.

Zatrzymali się przed wartami powstańców
Abd-el-Krima.

Przepuszczono ich dalej i wkrótce dotarli do
obozu oddziału, prowadzącego atak na pozycje
Hiszpanów.

O zmierzchu mały oddziałek powstańców skra-
dał się ku okopom nieprzyjaciela.

Śród wojowników szli uzbrojeni w karabiny
marabout Szorf ben Ihudi i Ras ben Hoggar. Obok
niego, jak cień, lub, jak pies, idący przy nodze,
kroczyła postać kobiety, zawinięta w burnus. Była
to Aziza. Szła, niosąc worki z nabojami.

Dowódca oddziału zatrzymał ludzi i cichym
głosem rzekł:

— Musimy wpaść do okopów niespostrzeżenie
i wywołać popłoch. To odciągnie uwagę Hiszpanów
od innych części odcinka, na który zamierzone jest
ogólne uderzenie. Czy wszyscy gotowi? Na Allaha,
naprzód, mumeni!

Ludzie rozprószli się i pełzać zaczęli, jak
węże, lub skradające się do kuropatw szakale.

Szorf ben Ihudi szepnął do Rasa:

— Rozumiesz teraz, jakiemi drogami Allah wywiódł ciebie, synu, na prawą drogę wielkiej sprawy?

— Dokonam zemsty! — odszepnął góral.

— Zemsty, o, zemsty! — niby echo padł w ciemność nocy i w zaczajoną ciszę gorący szept Aziza.

— W imię Allaha! Naprzód! — rozległa się gromka komenda, i powstańcy rzucili się do ataku.

Zagrzmiały bezładne, lecz coraz gęstsze strzały, a po chwili odpowidać im zaczęły salwy z okopów.

Ras nagle wypuścił z rąk karabin i potknął się, czując, jak krew mu biegnie z ust i tamuje oddech, potknął się raz jeszcze i padł na kolana.

Postać niewieścia schyliła się nad nim, dźwignęła go do góry, włożyła karabin w słabnącą rękę i szeptać zaczęła, a później krzyczeć, jak orlica w górach, cienkim, ostrym i drapieżnym głosem:

— Naprzód, panie mój, naprzód! Upij się słodką zemstą! Naprzód!

Głos jej znikł, utonął w złośliwym turkocie i pośpiesznem szczekaniu kulomiotu.

— W imię Allaha-Mściciela! naprzód! Zemsty!...

Paszczę kulomiotu, ziejąc ogniem, zwróciła się ku ślaniającemu się Rasowi, opartemu o ramię żołny, i ziąć poczęła kulami...

— Ta-ta-ta-ta! — niosło się z szańca.

— Ta-ta-ta! — odpowiadało echo w górach.

Nagle wszystko umilkło. Na pobojuwisku zaległa cisza...

Allah El Muntakim oczami gwiazd patrzał na ziemię, zroszoną krwią i na szaleństwo tych, których On stworzył na obraz i podobieństwo swoje.

Z okopu wybiegło kilku hiszpańskich żołnierzy. Obeszli pole bitwy, świecąc latarkami.

— Czysta robota, — nikt nie pozostał! — rozległ się radosny okrzyk.

— Patrzcie. Znowu wśród powstańców — kobieta — zawała w ciemności inny żołnierz, opuszczając do samej ziemi latarkę*).

— Piękna była i śmiała ta... orlica! — dodał cichym głosem.

K O N I E C.

*.) Wypadki udziału kobiet w bitwach Riffenów i południowych niepodległych szczepeów z Hiszpanami i Francuzami zdarzają się dość często.

SPIS RZECZY.

Od Autora	5
ROZDZIAŁ I.	
Na starej drodze karawanowej	7
ROZDZIAŁ II.	
Włoczęga	16
ROZDZIAŁ III.	
Wśród węzów	27
ROZDZIAŁ IV.	
Orlica	40
ROZDZIAŁ V.	
Ku nieznanemu celowi	54
ROZDZIAŁ VI.	
W morzu ludzkiem	73
ROZDZIAŁ VII.	
W kasbie	85

ROZDZIAŁ VIII.

Poszukiwacze skarbów 100

ROZDZIAŁ IX.

W sidłach 144

ROZDZIAŁ X.

Szlakiem nędzy 164

ROZDZIAŁ XI.

Zemsta 179

„BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH”

jedyne dziś w Polsce najtańsze wydawnictwo stałe, którego dingoletnia tradycja wydawnicza objęła najwybitniejszych pisarzy —

POLSKICH I OBCYCH

poza szeregiem pierwszorzędnych utworów w trzech kwartałach poprzednich b. r.

DAJE W KWARTALE CZWARTYM

od października do końca grudnia — utwory najbardziej cenionych u nas autorów, jak;

Wł. Perzyński, St. Krzywoszewski,

G. Daniłowski i A. Ossendowski.

Nadto ukażą się w tym kwartale „Biblioteki Dzieł Wyborowych” utwory oryginalne autorów młodszego pokolenia, a więc: sensacyjna, dedyktywna powieść Błażejowskiego „Czerwony błazen”, niezwykle interesująca w przeprowadzeniu problemu powieść J. Sosnkowskiego p. t. „Auto, ty i ja”, której przekład niemiecki wyjdzie równocześnie z wydaniem polskim, świetnie i interesująco pomyślana powieść Jana Grabowskiego „Spadające gwiazdy” oraz współczesna powieść J. Lasockiej p. t. „W wieczór lipcowy”, dotykająca głębokich problemów społecznych dzisiejszego pokolenia, Obca literaturę reprezentować będzie w tym kwartale: G. Flaubert ze swym arcydziełem „Salambo” i P. Bourget z powieścią psychologiczną p. t. „Sens śmierci”.

Od stycznia roku przyszłego ukaże się obok 26 tomów powieści autorów polskich, po dwa najcenniejsze utwory trzydziestu narodowości obcych.

**JUŻ OD PAŹDZIERNIKA KSIĄŻKA
za ZŁOTEGO.**

DZIEWIĄTY

NUMER MIESIĘCZNIKA ILUSTROWANEGO

„Z całego świata”

przynosi niezwykłą sensację literacką, a mianowicie głos znanego autora francuskiego Margueritte'a w sprawie jego powieści p. t. „CHŁOPCZYCA”

Z nowelistyki wybija się na czoło delikatna nowela Z. Rabskiej „Tajemniczy podróżny” i bardzo oryginalnie pomyślana i skomponowana „Partja Mah-jonga” Kachelówny. Interesujący szkic podróżniczy Antoniego Ossendowskiego oraz artykuł Le Tesson'a o areoplanach i areostatkach, nadto szereg innych ciekawych artykułów wraz z bogatą stroną ilustracyjną wypełniają resztę numeru. —

Numer **PAŹDZIERNIKOWY** przyniesie wraz z ciekawą treścią szereg aktualności z dziedziny literatury i teatru. Nowością będą listy literackie, których autorem będzie znakomity krytyk i znawca literatury p. JAN LORENTOWICZ.



GEBETHNER i S-ka

DAWNIEJ

GEBETHNER I WOLFF

WARSZAWA, KRAK.-PRZEDMIEŚCIE 17.



**FORTEPIANY,
PIANINA,
FISHARMONJE.**

WYNAJEM NA RATY.

+ 1300
d

U.C. BERKELEY LIBRARIES



C096413693

